„DO RZECZY" ALARMUJE

Światowa Organizacja Zdrowia zagraża suwerenności Polski?

Na Ukrainie bez zmian – wojna już dawno wkroczyła tam w fazę pozycyjną

TYGODNIK LISICKIEGO

DO RZECZY

NR 48/555 27 LISTOPADA–3 GRUDNIA 2023

CENA 9,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)

DLACZEGO PAPIEŻ ODWOŁAŁ BISKUPA STRICKLANDA

Czy nasze pieniądze z KPO posłużą do ratowania niemieckiego Siemensa?

ISSN 2299-8500 Nr. ident. 288 829

Nakład: 52 000 egzemplarzy

ROZMOWA „DO RZECZY"

Profesor Andrzej Nowak o swojej nowej książce

ROZPRAWA Z KOMPLEKSEM POLSKI WOBEC ZACHODU

eprasa.pl 16066071830

Wystartowaliśmy z budową

MIRADOR
Szrenica

Kup apartament i zarabiaj na wynajmie

WYPOCZYWAJ I CIESZ SIĘ NAJLEPSZYM WIDOKIEM
W SZKLARSKIEJ PORĘBIE

APARTAMENTY JUŻ OD

445 000 zł netto

Z WYKOŃCZENIEM I WYPOSAŻENIEM

DOWIEDZ SIĘ WIĘCEJ

+48 222 645 261
miradorszrenica.pl

eprasa.pl 1606071830

PAWEŁ LISICKI

W RZECZY SAMEJ

Metoda chińskiego rabusia

Środowe głosowanie w Parlamencie Europejskim jest podręcznikowym wręcz przykładem stosowania metody, którą w książce „Kiedy opadły maski" opisał francuski polityk i publicysta konserwatywny, Philippe de Villiers. Wielu nazywa ją metodą Monneta (od nazwiska jednego z założycieli Unii), inni wolą mówić o metodzie chińskiego rabusia. A polega ona na tym: „Aby ukraść cenną wazę wystawioną na środku lady, chiński złodziej przychodzi codziennie przestawić ją o centymetr, aż w końcu znajdzie się ona nad brzegiem lady, poza zasięgiem wzroku sprzedawcy. Wówczas, przez nikogo niezauważony i niekłopotany, wrzuca ją sobie po prostu do worka".

Ponoć Monnet nauczył się jej od Chińczyków w Nowym Jorku. Pewne jest, że cenną wazą w tej opowieści jest suwerenność narodowa, rabusiem eurokraci z Brukseli. Metoda polega na tym, żeby przez ciągłe drobne zmiany i pozornie nieznaczące reformy pozbawić państw narodowych tego, co jest największym skarbem: samodzielności i podmiotowości. W ten sposób suwerenność zostaje wydrążona ze swojej treści.

Dodatkowym elementem, który ma zapewnić powodzenie operacji, jest retoryczna zasłona dymna. Wystarczy odpowiednio często powtarzać takie slogany jak „przyszłość", „transparentność", „przejrzystość", „uproszczenie" – za częstotliwość odpowiada ogół sprzyjających budowie europejskiego państwa postępowych mediów – a opinia publiczna nie będzie się buntować.

Dokładnie tak to wyglądało teraz. Mimo że było to jedno z najważniejszych głosowań w historii Parlamentu Europejskiego, zainteresowanie zmianami było ograniczone. To ważny element taktyki: rabuś chiński przesuwa wazę codziennie o centymetr. Nie więcej, nie szybciej. Robi to cicho i jakby od niechcenia. Robi to tak, żeby wywołać wrażenie, że właściwie tego nie robi. Że waza przesuwa się sama, a może właściwie w ogóle się nie przesuwa, skoro to za każdym razem tylko centymetr.

Podczas głosowań w Strasburgu eurodeputowani opowiedzieli się za raportem Komisji Spraw Konstytucyjnych (AFCO), który zalecał zmianę unijnych traktatów. Dokument, nad którym głosowano, ma 110 stron. Już samo to sprawia, że większość wyborców nigdy go nie przeczyta. Podobnie jak nie będzie w stanie ocenić propozycji 267 zmian w obu traktatach – o Unii Europejskiej oraz o Funkcjonowaniu Unii Europejskiej. Za tym wszystkim kryje się jednak rzecz zasadnicza: likwidacja zasady jednomyślności w głosowaniach w Radzie UE w 65 obszarach oraz transfer kompetencji z poziomu państw członkowskich na poziom UE. Abstrakcyjność języka ukrywa drastyczność zmiany.

A więc prościej: przyjęcie zmian traktatowych oznacza, że za całą politykę ochrony środowiska będzie odpowiadać wyłącznie Unia. A skoro we współczesnym świecie wszystko wszystkim kojarzy się ze środowiskiem, zielonym ładem i polityką klimatyczną, to Unia faktycznie będzie w coraz większym stopniu decydować o całej polityce gospodarczej i zagranicznej osobnych państw. Nawet jeśli Polska nie będzie się chciała na propozycje Brukseli zgodzić, to i tak będzie musiała je przyjąć. Nawet jeśli dla Polski będą one niekorzystne, to rząd w Warszawie (zakładając, że w ogóle będzie się próbował temu przeciwstawić) straci prawo weta. Jeśli Unia uzna, że np. polskie krowy wydzielają za dużo metanu i że jest to niekorzystne dla klimatu, to trzeba się będzie ich pozbyć.

Nazywanie tego „dostosowywaniem się do potrzeb świata" lub „podążaniem za zmianą" albo jeszcze „otwarciem na przyszłość" to zwykłe propagandowe slogany. Przyjęcie tych rozwiązań praktycznie sparaliżuje już i tak osłabioną suwerenność państwową. Zyskają na tym najsilniejsi i najwięksi – Niemcy i Francja.

Jedyne, co budzi moją nadzieję, to sam wynik głosowania. Parlament Europejski poparł projekt zmian bardzo niewielką różnicą głosów. Za nowymi regulacjami głosowało 291 europosłów, przeciw było 274, od głosu wstrzymały się 44 osoby. Różnica wyniosła zatem zaledwie 17 głosów. To skądinąd komiczne: ci sami politycy europejscy, którzy na prawo i na lewo opowiadają o potrzebie większej demokracji, nie zauważają (nie chcą zauważyć), że przyjęta przez nich procedura zmian w traktatach urąga podstawowym zasadom prawa.

Traktaty europejskie są przecież swego rodzaju aktem założycielskim, można powiedzieć – konstytucją Unii. W każdym systemie demokratycznym takie prawa – podstawowe, pierwsze, fundamentalne – chronione są w szczególny sposób. Do ich zmiany nie wystarcza nigdy zwykła większość głosów, konieczna jest zawsze tzw. większość kwalifikowana. Mogą to być dwie trzecie, trzy piąte głosów, mogą to być inne mechanizmy opóźniające. Tymczasem w przypadku Unii zmiany traktatów przeszły mniejszością głosów wśród tych, którzy głosowali! To tak, jakby polski Sejm dokonał zmiany konstytucji po głosowaniu, w którym 150 posłów było „za", 140 „przeciw", 30 się wstrzymało, a reszta w ogóle nie przyszła na głosowanie.

Naprawdę nie ma to nic wspólnego z przejrzystością, a wszystko z metodą działania chińskiego rabusia. ©℗

eprasa.pl 1606071830

TEMAT TYGODNIA

16 ROZMOWA Z PROF. ANDRZEJEM NOWAKIEM
OPOZYCJA Z „ZAGRANICĄ" PRZECIW KRÓLOWI
Jak narodził się kompleks Polski wobec Zachodu

KRAJ

22 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
JAK STRACIĆ CNOTĘ ZA WŁASNEGO RUBLA
Czy nasze pieniądze z KPO posłużą do ratowania niemieckiego Siemensa?

24 PIOTR SEMKA
NA ZACHODZIE BEZ ZMIAN

28 ROZMOWA Z JANEM KRZYSZTOFEM ARDANOWSKIM
PIS MUSI WYMYŚLIĆ SIĘ NA NOWO

30 MARIUSZ JAGÓRA
„DO RZECZY" ALARMUJE: ŚWIATOWA ORGANIZACJA ZDROWIA ZAGRAŻA SUWERENNOŚCI POLSKI?

32 ZUZANNA DĄBROWSKA
NIEPOKORNA

KULTURA

34 PIOTR GOCIEK
SZUKAJĄC NAPOLEONA
Filmowe portrety cesarza Francuzów

NIE PRZEGAP

38 NASZ PRZEWODNIK
FILMY, KSIĄŻKI, PŁYTY, GRA

OPINIE

44 WOJCIECH GOLONKA
WĘGIERSKA LEKCJA TRANSAKCYJNOŚCI
Spóźniony przykład dla Polski

46 JAN FIEDORCZUK
KONSERWATYWNA KOTWICA?

50 ŁUKASZ WARZECHA
SZCZYT ABSURDÓW

54 PAWEŁ CHMIELEWSKI
TO DOPIERO POCZĄTEK?

HISTORIA

56 ŁUKASZ CZARNECKI
NAJGORSZY CESARZ
Jak upadało imperium

ŚWIAT

62 OLIVIER BAULT
PRZENICOWANA HISZPAŃSKA PRAWORZĄDNOŚĆ
Podwójne standardy Komisji Europejskiej

64 MACIEJ PIECZYŃSKI
WOJNA POZYCYJNA

66 JAN BOGATKO
JAK ROSJA WSPIERA „WOLNE MEDIA"?

EKONOMIA

70 ŁUKASZ ZBORALSKI
ŻEGNAJ, METROPOLIO?
Małomiasteczkowość pożądana

ŻYCIE I NAUKA

74 ADAM ZUBEK
WYBUCHOWA WYSPA
Wulkany Islandii

FELIETONY:

SEMKA (6), ZIEMKIEWICZ, JUREK (8), KOWALCZUK (9), GMYZ, GOCIEK (12), ŻEBROWSKI, KOPER (60), PRZYBYLSKI (68), GABRYEL, WARZECHA (72), KOMUDA (77), POSPIESZALSKI, KARWELIS (79), JASTRZĘBOWSKI, WIEROMIEJCZYK (80), SIEDLECKA (81), CEJROWSKI (82)

eprasa.pl 1606071830

TYGODNIK LISICKIEGO
DO RZECZY

ADRES: Tygodnik DO RZECZY
Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00, *fax:* +48 22 529 12 01
e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.PL

REDAKCJA: Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
Zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabryel**

SEKRETARIAT REDAKCJI: **Jacek Przybylski** (I sekretarz redakcji), **Łukasz Zboralski** (II sekretarz redakcji), **Radosław Wojtas**

KOLEGIUM KOMENTATORÓW:
Cezary Gmyz, Piotr Gociek, Krzysztof Masłoń, Piotr Semka, Łukasz Warzecha, Rafał A. Ziemkiewicz

STALI WSPÓŁPRACOWNICY I FELIETONIŚCI:
Olivier Bault, Joanna Bojańczyk, Grzegorz Brzozowicz, Wojciech Cejrowski, Wiesław Chełminiak, Dominika Ćosić *(Bruksela)*, **Tomasz Cukiernik, Krzysztof Czabański, Łukasz Czarnecki, Wojciech Golonka, Ryszard Gromadzki, Piotr Gursztyn, Marek Jurek, Jerzy Karwelis, Jacek Komuda, Sławomir Koper, Piotr Kowalczuk** *(Rzym)*, **Grzegorz Kucharczyk, Tomasz Lenczewski, Piotr Litka, Łukasz Majchrzyk, Monika Małkowska, Gabriel Michalik, Andrzej Nowak, Maciej Pieczyński, Katarzyna Pinkosz, Jan Pospieszalski, Tomasz Rowiński, Witold Repetowicz, Wojciech Roszkowski, Joanna Siedlecka, Teresa Stylińska, Artur Szeremeta, Błażej Torański, Piotr Włoczyk, Marcin Wolski, Dariusz Wieromiejczyk, Jakub Wozinski, Tomasz Wróblewski, Tomasz Zbigniew Zapert**

PORTAL DORZECZY.PL redaguje **Karol Gac** z zespołem: **Zuzanna Dąbrowska, Anna Szczepańska, Marcin Bugaj, Damian Cygan, Jan Fiedorczuk, Grzegorz Grzymowicz, Dawid Sieńkowski, Łukasz Żygadło**

STUDIO GRAFICZNE: **Wojciech Niedzielko** (kierownik studia), **Marta Michałowska, Jakub Tański** (skład), **Jacek Nadratowski** (obróbka zdjęć)
Fotoedycja: **Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk**
Korekta: **Anna Zalewska, Magda Zubrycka-Wernerowska, Agata Błaszczyk-Stefaniak**

RYSOWNICY: **Andrzej Krauze, Cezary Krysztopa**
Okładka: **„Hetman Jan Karol Chodkiewicz z husarią pod murami Chocimia", mal. Wojciech Kossak, 1936, Muzeum Wojska Polskiego/East News**

WYDAWCA: **Orle Pióro sp. z o.o.**
Batory Office Building II, Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00, *fax:* +48 22 347 50 01
Wydawca tytułu, spółka Orle Pióro, wchodzi w skład Grupy Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW

Zarząd PMPG Polskie Media SA:
Katarzyna Gintrowska, Jolanta Kloc
Zarząd Spółki Orle Pióro:
Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki
MARKETING: **Piotr Pech** tel. +48 500 112 377, marketing@dorzeczy.pl
BIURO REKLAMY: reklama@dorzeczy.pl; tel.: 500 112 386
PUBLIC RELATIONS: (PR manager), pr@pmpg.pl

DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA:
Adam Borzęcki (kolportaż); **Joanna Nowakowska** (prenumerata wydawnicza), prenumerata@pmpg.pl, tel.: 539 953 631; **Joanna Gosek,** tel.: 508 040 664, pon-pt w godz. 10.00-16.00

ISSN nakładu podstawowego 2299-8500
Nr indeksu 288 829, Nakład 52 000 egzemplarzy

DRUK: WALSTEAD CENTRAL EUROPE
Sprzedaż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna ustalona przez wydawcę jest zabroniona i grozi odpowiedzialnością karną.
PRENUMERATA: **Prenumerata realizowana przez RUCH SA:**
Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej i na e-wydania można składać bezpośrednio na stronie www.prenumerata.ruch.com.pl
Ewentualne pytania prosimy kierować na adres
e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując się z Centrum Obsługi Klienta „RUCH" pod numerami: 22 693 70 00 lub 801 800 803 – czynne w dni robocze w godzinach 7–17. Koszt połączenia wg taryfy operatora.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiustacji tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy" jest zabronione.
© ℗ Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin

Drodzy Czytelnicy!

Dziękujemy za wszystkie Państwa listy i e-maile. Przypominamy, by korespondencję elektroniczną kierować na adres: listy@dorzeczy.pl.

Gruszki na wierzbie

Zrobiłem przerwę w nicnierobieniu, przestałem chlać, a nawet przestałem bić żonę i dzieci i 15 października poszedłem na wybory, a teraz trochę refleksji nad wynikiem. Mam wrażenie, że te ostatnie i wszystkie poprzednie przez te ponad 30 lat były niestety spełnieniem tego, co powiedział towarzysz „Wiesław" (Władysław Gomułka): „Władzy raz zdobytej nie oddamy nigdy". Wydarzenia ostatnich dni (inauguracja Sejmu i Senatu) jeszcze dobitniej to potwierdzają. Bo nawet jeśli wynik był inny, niż życzyli sobie oświeceni demokraci, to późniejsza działalność różnej maści kodziarzy i puczystów potwierdza tylko trafność tego stwierdzenia towarzysza Wiesława.

Wolałbym mieć do czynienia ze zwykłą demokracją, a nie z socjalistyczną czy obecną jej odmianą, liberalną. Ale co to ma za znaczenie, co ja bym wolał? Boli tylko, że mija już tyle lat, a wciąż daleko do Polski jako normalnego państwa. Tutaj przychodzi mi na myśl mądrość innego towarzysza z PZPR, którego wypowiedź z okresu triumfu wyborczego SLD posłużyła mi do rozwinięcia i chyba trafnego zdiagnozowania trapiącego wciąż stanu państwa. Otóż towarzysz Leszek M., rozpoczynając zwycięską kadencję w 2001 r., był łaskaw powiedzieć, że teraz, jak zechcą, to nawet na wierzbie wyrosną gruszki. Posłużyło mi to do rozwinięcia, pewnie nie po myśli wypowiadającego te słowa. Dla mnie symboliczne gruszki to dostatek i zadowolenie z bycia Polakiem, mieszkania i pracy na terenie Polski, a wierzba to niestety państwo polskie. U schyłku drugiej wojny światowej w 1944 r. gałąź wierzby została przywieziona na czołgach z czerwoną gwiazdą, wetknięta w ziemię, ukorzeniła się, wypuściła liście, rozgałęziła się na dobre. Po pewnym czasie wierzba trochę się zatrzęsła – na tyle, żeby wynajęta aktoreczka stwierdziła, że ta wierzba już jest sucha. Jednak wierzba miała się całkiem dobrze, a ja chcę jeść gruszki.

Późniejsze lata przyniosły różne zabiegi w postaci przycinania gałęzi, tępienia chorób i szkodników, ale dalej wierzba pozostała wierzbą, a ja chcę jeść gruszki. Według mojej wiedzy sadowniczej wierzba zawsze będzie wierzbą, gruszki mogą urosnąć tylko na gruszy. Czyli wierzbę-państwo należy wykarczować, w to miejsce posadzić odpowiedniej odmiany gruszę, potem pielęgnować i pilnować, aby nie było odrostów wierzby. Dotychczasowe działania w postaci przycinania gałęzi, korzeni, a nawet sadzenie gruszy w cieniu wierzby nie dały trwałego efektu. Tylko wykarczowanie wierzby może zapewnić, że w Polsce jako państwie mogę doczekać się smakowitych gruszek. Jeszcze nie teraz, ale może nadejdzie taki czas, już chyba nie dla mnie, ale może chociaż dla moich wnuków.

Na deser chciałbym oświadczyć, że ja, Eugeniusz NIPARKO, ciemny i niewykształcony stary wieśniak, szarańcza, szczur, faszysta... (brakujące dopisać) 15 października 2023 r. miałem czelność głosować na Prawo i Sprawiedliwość, no i co mi teraz uśmiechnięci, praworządni, kochający konstytucję szczerzy demokraci ZROBICIE?

Eugeniusz Niparko

eprasa.pl 1606071830

PIOTR SEMKA

NA PIERWSZY OGIEŃ

Suwerenizm

Każdy, kto obserwuje prawą stronę polskiej eseistyki, zna teksty Wojtka Stanisławskiego. I wie, jak bardzo unika on posądzeń o bezpośrednie zaangażowanie partyjne. W swoich felietonach zastrzega, że „stara się nie gonić za przekazami dnia" ani nie idzie „za każdym dyżurnym parsknięciem" w wojnie polsko-polskiej.

Ale całkiem niedawno Wojtek zwierzył się swoim czytelnikom, że przeżył szok.

Jak pisze, poczuł to „schnięcie i syczenie dziwnych, obcych nam słów", kiedy w ubiegłym tygodniu przeczytał na stronach „Rz" artykuł wstępny jej redaktora naczelnego, zatytułowany, aż mróz po kościach przeszedł: „Idzie agresywny suwerenizm".

Stanisławski pisze: „Suwerenizm! – choć niby oswojony z różnymi -izmami, nie spotykałem się dotąd często z tym terminem. Prawdę mówiąc, przemknął mi on (a i to za sprawą Google'a) tylko w artykule Eugeniusza Smolara z lipca 2020 roku, w którym dawał on wiele cennych (lecz, niestety, najwyraźniej niewysłuchanych) rad sztabowi Rafała Trzaskowskiego przed drugą turą wyborów prezydenckich. To tam celnie potępił »populistycznych suwerenistów« (zwyczajowi podejrzani, a właściwie osądzeni: »Kaczyński, Orbán, Marine Le Pen, Salvini i AfD w Niemczech«). Potępił – i znów cisza, przez trzy lata!".

Doskonale rozumiem Wojtka. „Suwerenizm" – na naszych oczach wpełzło i zasyczało to dziwne słowo. „Ktokolwiek nie jest urzeczony perspektywą szybkiej federalizacji Europy, a szczególnie przyjęcia przez aklamację pakietu 267 poprawek szykowanych przez PE, odbierających państwom członkowskim Unii prawo weta (a więc i decyzji) w sprawach migracji, rolnictwa, gospodarki, zdrowia, polityki zagranicznej, energetycznej i klimatycznej – niech się odtąd nie zdziwi, jeśli nazwany zostanie – SUWERENISTĄ".

Byłem naiwny. Wydawało mi się, że suwerenność państwa – szczególnie po doświadczeniach PRL – będzie u nas szanowana w sposób specjalny. Pamiętam swoje bezsilne upokorzenie, gdy w czasach komunizmu wysłuchiwałem tyrad partyjnych propagandystów, że musimy zrozumieć geopolityczne realia i akceptować dominację Związku Sowieckiego nad Polską.

Wydawałoby się, że nawet najbardziej zagorzali euroentuzjaści przeżyją jakiś dysonans poznawczy, gdy pojawią się w Unii propozycje radykalnego ograniczenia kompetencji państw narodowych.

Ale gdy mówi się „A", to po pewnym czasie przychodzi powiedzieć „B", a nawet „C".

Dziś pejoratywne określenie „suwerenizm" zgrzyta w uszach nawet miłośnikom Unii. Ale to kwestia czasu. ©℗

FOT. REMKO DE WAAL/EPA/PAP

HOLENDERSKI TRUMP WYGRAŁ WYBORY

Partia Wolności wygrała w Niderlandach wybory parlamentarne – uzyskała 37 miejsc w parlamencie ze 150. Jej lider, Geert Wilders, od 2004 r. ma policyjną ochronę. Grożono mu śmiercią za opowiadanie się za zamykaniem meczetów i zakazem posiadania Koranu.

Wilders jest przeciwny muzułmańskiej imigracji. W kampanii wzywał do tego, by przestać przyznawać takim ludziom azyl w Europie. Opowiadał się także za wyjściem Niderlandów z Unii Europejskiej. ***(luz)*** ©℗

eprasa.pl 1606071830

HISTORIA DO RZECZY

NAJNOWSZY NUMER JUŻ W SPRZEDAŻY!

BOLSZEWICKA WOJNA Z BOGIEM – SZATAŃSKI PLAN LENINA I STALINA

Golgota polskich księży – część kapłanów pozostała po wojnie w ZSRS i krzewiła wiarę pomimo brutalnych represji

Pierwszy wróg Polan – jak Mieszko I uporał się z zagrożeniem ze strony Wichmana

Niderlandy na drodze do potęgi – „szał obrazoburców" był początkiem dramatycznej serii zdarzeń, które doprowadziły do niepodległości Holandii

Pyrrusowe zwycięstwo Rumunów – gen. Antonescu już latem 1941 r. zrealizował swoje cele wojenne, po czym przyjął propozycję Niemców, czego efektem były olbrzymie problemy

Zapomniana rosyjska „demokracja" – Republika Nowogrodzka to dowód, że w Rosji nie zawsze i nie wszędzie panował despotyzm

Polska Sowietka – nikt inny z Polski nie spotykał się ze Stalinem tak często. Co tak naprawdę łączyło Wandę Wasilewską i Stalina?

I WIELE, WIELE WIĘCEJ

CZYTAJ TAKŻE NA **HISTORIA.DORZECZY.PL**

eprasa.pl 1606071830

RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

Palenie Morawieckiego

Trudno zrozumieć, dlaczego lider PiS postanowił właśnie Mateusza Morawieckiego obciążyć odium nieudanego tworzenia rządu „byle nie Tusk". Rozumiem oczywiście, że PiS chciał zyskać na czasie, skoro konstytucja daje mu taką możliwość. Ale po co zużywać do tego celu polityka, którego – jeśli wierzyć kuluarowym pogłoskom – Jarosław Kaczyński promował na swojego następcę?

Można było przecież – i należało – ogłosić potrzebę „wielkiej koalicji ratowania Polski" przed, powiedzmy, zapędami UE do odebrania nam niepodległości i powierzyć misję „premierowi technicznemu". Znaleziono by jakiegoś profesora, tak jak kiedyś wykorzystał Kaczyński jako „premiera z tabletu" Piotra Glińskiego, albo jakiegoś polityka z dalszych szeregów, któremu per saldo opłaciłoby się fiasko za zbudowanie sobie rozpoznawalności. W dodatku taką akcję można by było jakoś PR-owsko sprzedać: wiecie, rozumiecie, spróbujmy porozumienia ponadpartyjnego, my się trochę cofniemy i wy tam w Trzeciej Drodze i Konfederacji też się cofnijcie, bo moment historyczny… Pewnie też by nic z tego nie wyszło, ale obciach byłby nieporównanie mniejszy.

Musi być coś, czego nie wiemy. Może prezydent wskazał Morawieckiego bez wiedzy i zgody Komendanta, żeby wyeliminować rywala do przywództwa po przewidywanym odejściu Kaczyńskiego? Wydaje się to nieprawdopodobne, a zwłaszcza żeby w takiej sytuacji prezes nie dał po sobie nic poznać. A może Kaczyński już postawił na premierze krzyżyk? Albo naprawdę wierzy, że misja Morawieckiego może zostać uwieńczona powodzeniem? Może zresztą – choć w chwili, gdy piszę te słowa, brzmi to jak odlot – ma naprawdę jakieś przesłanki, by w to wierzyć?

Jeśli jednak jest tak, jak wszystko na to wskazuje, to Morawiecki wyjdzie z tego ośmieszony. Rząd sformułuje, ale wotum zaufania dla niego nie uzyska. Na Twitterze ktoś bardzo celnie porównał to z „połowicznym sukcesem" ze starej anegdoty o swatce, która chciała połączyć w stadło chłopską córkę z następcą tronu i częściowo się udało – zgodę panny młodej i jej rodziny uzyskać zdołała. ©℗

MAREK JUREK

OD POCZĄTKU

Nowa islamofilia

Wojna domowa w Jemenie pochłonęła życie setki, a może (szacunki są różne) setek tysięcy arabskich cywilów, wojenna klęska głodu dotknęła miliony. Trwanie tej wojny liczy się nie w tygodniach, ale w całych latach. Mimo to nie wywołała u nas większego zainteresowania – ani humanitarnego, ani nawet politycznego, choć napięcie irańsko-saudyjskie (jego projekcją jest wojna jemeńska) to jedna z najbardziej zapalnych kwestii współczesnej geopolityki. Angażuje kluczowego sojusznika i kluczowego przeciwnika USA.

U nas nie zwrócono uwagi nawet na niespodziewane odprężenie w ich relacjach, zrealizowane pod patronatem Chin komunistycznych. Wszystko to traktowano jako kwestie najzupełniej (by użyć modnego określenia prezydent Dulkiewicz) egzotyczne. I nagle w trakcie trwania jemeńskiej tragedii doszło do ożywienia uczuć humanitarnych wobec świata arabskiego. Jemenu jednak to nie objęło, choć skala tragedii jest tam bez porównania większa niż w Gazie.

To niejedyna osobliwość tego zaskakującego fenomenu. Słyszymy co jakiś czas, że Wołyń, który Hamas urządził na Negewie, to wynik „rozpaczy". Hamas wywodzi się z egipskiego Bractwa Muzułmańskiego, którego duchowego mistrza, Sajjida Kutba, do „rozpaczy" doprowadzał stan współczesnych społeczeństw muzułmańskich. Uważał, że są za mało islamskie. Z Bractwa wywodzili się zabójcy prezydenta Sadata. Bractwo odegrało też istotną rolę w obaleniu prezydenta Mubaraka, ale po krótkich rządach w okresie Arabskiej Wiosny zostało odsunięte od władzy przez marszałka as-Sisiego. Egipscy chrześcijanie przyjęli to z wielką ulgą, ale u nas i na to nie zwrócono większej uwagi.

Przyczyna nagłej zmiany jest więc chyba niezależna od wypadków historii. Gdyby polscy Żydzi zamiast do Ziemi Świętej wyjechali na Madagaskar, dziś nasi palestyniści zapewne fascynowaliby się nacjonalizmem malgaskim. Tu najwyraźniej tkwi wyjaśnienie problemu. ©℗

eprasa.pl 1606071830

RYSUJE CEZARY KRYSZTOPA

PIOTR KOWALCZUK
Z RZYMU

PIECZEŃ RZYMSKA

O czystym szaleństwie

Cygańscy kieszonkowcy od lat są plagą włoskiego transportu publicznego, szczególnie metra. Okradają pasażerów, zwłaszcza turystów. O bezpieczeństwo złodziei dba męska obstawa. Kradną wyłącznie Cyganiątka i Cyganki w ciąży. Dlaczego? Bo nic im za to nie grozi. Cyganiątka przed więzieniem chroni młody wiek, a Cyganki ciąża lub maleńkie dziecko.

Złapanych na gorącym uczynku policja spisuje na komisariacie. Cyganiątka oddawane są do rodzin zastępczych, z których natychmiast uciekają. Natomiast Cyganki w ciąży (lub z niemowlakami) stają przed sądem, dostają wyrok i puszczane są wolno, ponieważ tak mówi prawo.

Sfrustrowani agenci policji skarżą się, że schwytane złodziejki nierzadko wracają do „pracy" jeszcze tego samego dnia.

Rekordzistka, złapana na kradzieży kilkadziesiąt razy, została skazana łącznie na 30 lat odsiadki, ale nie spędziła w celi ani jednego dnia i spokojnie kradnie nadal. Teraz jest w ciąży po raz dziewiąty. Przed kamerami włoskiej telewizji skarżyła się, że policja przeszkadza jej w pracy, zgodnej z cygańskim modelem życia.

To się jednak nieco zmieni. 16 listopada włoski rząd wydał dekret bezpieczeństwa, który umożliwia sędziemu skazanie złodziejki w ciąży lub po niedawnym porodzie na pobyt w specjalnym zamkniętym ośrodku, by uniemożliwić jej kontynuowanie procederu.

Debora Serracchiani, jedna z liderek włoskiej lewicy, odpowiedzialna w Partii Demokratycznej za kwestie wymiaru sprawiedliwości, ostro zaprotestowała, wskazując, że rząd w bardzo poważny i haniebny sposób łamie prawa dzieci, w tym nienarodzonych, które nie mogą odpowiadać za przestępstwa swoich rodziców. Jej partyjny kolega Alessandro Zan, ekspert od praw człowieka, zawyrokował, że rząd sięgnął po sadystyczne metody faszystowskie.

Przypominam, że gdy w akcie samoobrony zorganizowana grupa mediolańczyków niedawno zamieściła w sieci filmiki ze stacji metra ze złodziejkami w ciąży w rolach głównych, lewica uznała, że to karygodne naruszenie prywatności. ©℗

Autor jest korespondentem Polskiego Radia.

eprasa.pl 1606071830

ZUZANNA DĄBROWSKA

GWIAZDOBZDUR

BYĆ JAK LADY DI

Za nami premiera ostatniego sezonu niezwykle popularnego serialu „The Crown", opowiadającego o losach brytyjskiej rodziny królewskiej. Seria podbiła serca nie tylko zwykłych ludzi, lecz także celebrytów, nakłaniając do wyznań. „Pamiętam bardzo dobrze, mimo że było to bardzo dawno temu, tragiczny wypadek i żałobę światową po śmierci księżnej Diany. Pamiętam też publikowane w gazetach »skandaliczne« zdjęcia paparazzi z jej pobytu na jachcie Dodiego. Nie zdawałam sobie wówczas sprawy, że ta nagonka i szaleństwo paparazzi na jej punkcie przekroczyły wszelkie granice i doprowadziły do tej tragedii" – analizuje aktorka Weronika Rosati. Gwiazda wspomina własne niezbyt przyjemne doświadczenia z fotografiami. „Ciarki mnie przeszły po plecach, bo sama pamiętam, jak kilkanaście lat temu miałam tzw. ogon paparazzi i musiałam jechać na policję, żeby ich się pozbyć (oczywiście to były dwa samochody a nie jak u Diany 20)" – żali się Rosati. Weronika zwraca uwagę na presję, pod którą znalazła się Diana. „Nagłówki bywały dla niej wyjątkowo okrutne, niesprawiedliwe i złośliwe. Przykro się na to patrzy" – stwierdza. Według aktorki w obecnej rzeczywistości księżnej żyłoby się łatwiej. „Jakby żyła do dziś, miałaby może swój profil na Instagramie, dzięki czemu mogłaby się bezpośrednio komunikować z ludźmi, bez przekręcanych newsów w szmatławcach" – pisze celebrytka, dodając, że czuje pewną więź z Lady Di ze względu właśnie na podłe plotki. „Wiem, że w mediach połowa tego, co o mnie jest utrwalone jako fakty, połowa tych newsów to kompletne bzdury stworzone dla sprzedawalności, klikalności. Myślę o tym, że Instagram dał mi szansę dzielenia się z wami moją historią w moich słowach [...]. W końcu po 25 latach choć częściowo mogłam przejąć narrację swojego życiorysu dzięki temu profilowi" – podsumowała Rosati. Czyżby Weronika ubiegała się o tytuł „królowej ludzkich serc"?

FOT. VIPHOTO/EAST NEWS

INTRUZ W SYPIALNI

Wynurzenia powyborcze. Mamy obecnie trzy grupy: tych, którzy nie śpią z ekscytacji po wygranej opozycji i nie mogą się doczekać życia w „uśmiechniętej Polsce"; grupa numer dwa to przerażeni wizją rządów Tuska sympatycy PiS; trzecia – to ci, których kaczystowski reżim pognębił tak bardzo, że niby się cieszą, ale wciąż nie mogą uwierzyć. Do ostatniej należy aktor Arkadiusz Jakubik. Aktor bardzo dobry, analityk chyba nieco słabszy. – Dzisiaj już żyjemy, obudziliśmy się w nowej Polsce. Ale dla mnie te osiem ostatnich lat to był raczej niestety mrok, smutek i melancholia – stwierdził w Kanale Sportowym. Wspominając rok 2019 i kolejne zwycięskie dla PiS wybory, Jakubik mówi o złości i wkurzeniu. – I tak się zastanawiałem, co się musi wydarzyć w tym kraju, żeby ludzie wyszli z domów na ulice, żeby zaczęli głośno krzyczeć „nie!" – wspomina. – Nie pasowało mi to, co się dzieje. Nie pasowało mi, że władza ogranicza mi moją wolność. Wchodzi mi do domu i mówi mi, jak mam myśleć i w co wierzyć. Mało tego – wchodzi mi do sypialni i mówi, kogo mogę kochać i jak mam to robić. Miałem niezgodę. Załamałem się po przegranych wyborach i taki bezwład, który wtedy funkcjonował. Większość udawała, że jest fajnie, że potrafimy się w tej czarnej dupie urządzić – podsumował aktor. Wiedziałam, że Jarosław jest wszechmocny. Ale żeby wchodzić ludziom do domów? Prawdziwy dyktator.

DOBRE IMIĘ PIELĘGNIAREK

Inba niepoważno-poważna. Niepoważna, bo zaczęła się od bzdury. Tancerka Edyta Herbuś pokazała w Internecie zdjęcia w skąpym stroju imitującym fartuch pielęgniarki. Do tego dobrała białe podkolanówki i buty na obcasie. Nie wszystkim spodobała się taka stylizacja. „Proszę tego nie robić. Seksualizowanie naszego zawodu nie pomaga ani nam, ani pacjentom" – napisała jedna z obserwatorek. Herbuś postanowiła odnieść się do tej opinii w obszernym wpisie. „Mój dzisiejszy post niespodziewanie sprowokował ważny temat i dyskusję dotyczącą poważnego problemu, z którym zmagają się kobiety wykonujące zawód pielęgniarki" – zaczęła. „Drogie panie pielęgniarki i panowie pielęgniarze. Nie spodziewałam się takiej reakcji na moje zdjęcia, bo nie miałam świadomości o skali tego problemu. Ale słyszę Was i współczuję, że spotykacie się z nieprzyjemnymi sytuacjami w swojej tak ważnej i potrzebnej wszystkim pracy. Może warto poruszyć ten problem i zrobić np. live'a. Dajcie znać, co o tym sądzicie i z kim najlepiej na ten temat porozmawiać?" – zaproponowała tancerka, chcąc chyba ugasić tlący się wizerunkowy pożar. Co ciekawe, w sprawę zaangażowała się Naczelna Izba Pielęgniarek i Położnych i w tym momencie inba okazała się poważna. „Dziękujemy serdecznie za chęć podjęcia tematu i pomoc w edukowaniu pacjentów na temat problemu seksualizacji zawodu pielęgniarki i położnej. Problem jest wieloaspektowy i dotyczy niepożądanych zjawisk, z jakimi spotykają się profesjonaliści naszych zawodów, m.in. molestowaniem" – wskazała organizacja. Zapewniono, że przedstawicielka Izby weźmie udział w proponowanej przez Herbuś rozmowie. Czasami nawet z celebryckich bzdurek może wyjść coś dobrego. ©℗

eprasa.pl 1606071830

MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW

Kochani, podobno co drugi Polak chodzi do pracy, mając gorączkę i infekcję. Kiedy o tym usłyszeliśmy, to w pierwszej chwili chcieliśmy się oburzyć, bo wiecie – lata pandemii, izolacji, lockdownów itd., a Polacy jak to Polacy, czyli niczego się nie nauczyli.

Ale potem pomyśleliśmy, że przecież to nie do końca jest ich wina. Żyjemy w neoliberalnym społeczeństwie, które wymusza na nas produktywność, w dodatku musimy pracować jak najwięcej, iż – jak wiadomo – to my utrzymujemy całe to nieróbstwo na „500+".

I tak naprawdę to nie możemy pozwolić sobie na chorowanie. Zwłaszcza w przypadku tak trudno zastępowalnych wykwalifikowanych pracowników biurowych jak my. Pod naszą nieobecność korpo pewnie by padło, iż nie ma zbyt wielu specjalistów, którzy równie sprawnie jak my potrafią przenosić dane z excela do excela i odpowiednio formatować pliki w wordzie.

Dlatego też nie pochwalamy, ale rozumiemy. Gospodarka ma swoje wymagania i jest to ofiara, którą jesteśmy gotowi ponieść.

Jak tam, kochani, świeckowaliście Black Friday? My of kors nie – i to z przynajmniej kilku powodów. Przede wszystkim: jak mamy świeckować dzień o takiej nazwie? Skąd ona w ogóle się wzięła? Czujemy się z nią bardzo niekomfortowo, nawet myśleliśmy o zorganizowaniu jakiejś akcji klękania przed galerią handlową, ale nikt się nie chciał przyłączyć, iż wszyscy poszli na wyprzedaże.

Poza tym uważamy, iż jest to świecko będące efektem niesłychanego cebulactwa, które mieszkańcy tego kraju wyssali z mlekiem matki (razem z antysemityzmem of kors). Wiecie: polowanie na promocje, weekendowy shopping po dyskontach, iżby sprawdzić, w którym jest promka na piwerko 10+10, a w którym 12+12, byle taniej – jedyne kryterium prawdziwego Polaka na zakupach.

A my jako awangarda, w proteście przeciwko takiemu podejściu oraz aby udowodnić, iż jako młode pokolenie mamy jednak inny mindset niż typowy wąsaty Janusz, specjalnie zaczekaliśmy, aż skończą się promocje, iżby pójść na zakupy jak normalna osoba i zapłacić przy kasie albo w necie normalną cenę za normalny produkt.

Uważamy, iż powinniśmy dawać przykład globalnym korporacjom, że bezustanne rozdawanie promocji to tak naprawdę jak rozdawnictwo socjalne. Ktoś inny za to musi zapłacić – i tym razem, co za zaskoczenie, znów jesteśmy to my.

Dlatego w ramach protestu przeciwko polskiemu mindsetowi nie dość, że nie kupujemy na promce, to jeszcze bierzemy na raty, ale nie na 0 proc., iż one też są w końcu jakąś formą rozdawnictwa. Normalne RRSO na poziomie 8763475 proc. rocznie – żeby pokazać wszystkim, iż nas stać i nie trzeba nam robić żadnej łaski, a co.

A w ogóle to bojkotujemy film „Chłopi", iż to nie może tak być, iż opowieść, w której najważniejszą postacią jest waginoosoba, nazywa się „Chłopi". Dlaczego nie „Baby"?

My rozumiemy, iż pisał to późnośredniowieczny pisarz Reymont, w którego czasach rola osób waginopozytywnych w społecznościach była marginalizowana, ale teraz mamy XXI w., no kaman.

Naprawdę nie można było tego trochę dostosować do oczekiwań współczesnej publiki? Sami widzieliśmy, jak nasi stażyści z pokolenia Z płakali nad tym tytułem. Czy ktoś myśli o szkodach psychicznych tej młodzieży? ©℗

FASHYSM NIE PRZEJDZIE! BĄDŹ Z NAMI OSOM NA FEJSIKU: FB.COM/MWIZWO

PODSŁUCHANE

Kuszenie

Pani Basiu, może pani wyjrzeć na korytarz, czy ktoś nie czeka?
Ale, panie premierze, wyglądałam już trzy minuty temu. Nie było nikogo.

No wiem, wiem. Ale może ktoś przyszedł przez ten czas? Wyjrzy pani?
... nie ma nikogo.

W zaproszeniu napisaliśmy, że będą kanapki z kawiorem?
Tak, było napisane.

A ci z Konfederacji przyszli i nawet wody się nie napili. O kanapkach nie mówiąc. Ech, no nie będzie tego rządu. Przecież sobie koalicjanta nie wyczaruję...
Panie premierze, północ zaraz. Już nikt nie przyjdzie. Mogę sobie te kanapki z kawiorem zabrać do domu? Po co się mają zmarnować.

Proszę. Ale trzy proszę zostawić. Ja jeszcze poczekam. Może ktoś się skusi. ©℗ ***Łukasz Warzecha***

OD RZECZY

„Jak Morawiecki chce rozmawiać o rządzie, to najpierw niech zlikwiduje barierki przed KPRM".

TOMASZ LIS, *publicysta, na Twitterze*

eprasa.pl 1606071830

dwaj panowie g

Głupia sprawa. Z kim byśmy nie chcieli poplotkować o tym, kto wejdzie do nowego rządu Mateusza, ten macha ręką i mówi, że go to nie interesuje. Za to nawet PiS-owskie wiewiórki chętnie plotkują o potencjalnych ministrach rządu Tuska. Doszło do tego, że ludzie kibicujący Mateuszowi (podobno tacy są) muszą szukać pociechy u bukmacherów. Tam można obstawiać. Na przykład: czy Ziobro wejdzie do nowego gabinetu. Podpowiadamy: bukmacherzy twierdzą, że nie wejdzie.

Poznaliśmy kulisy afery z rzekomym cytatem z prezydenta Andrzeja Sebastiana. Czyli słów: „Premier Tusk nie jest moim premierem". Oryginalny cytat brzmiał inaczej: „Nie jest moim kandydatem na premiera". A to jednak spora różnica. W pałacu Andrzeja Sebastiana zastanawiano się długo, co z tym fantem zrobić. Ostatecznie postanowiono nie wszczynać wojny z braćmi Karnowskimi, którzy zmieniony cytat dali na okładkę. Natomiast uznano, że sporo wody w Wiśle upłynie, zanim na łamach „Sieci" ukaże się kolejny wywiad z osobą głowy państwa.

Musimy odnieść się do plotki, że prezydent Andrzej Sebastian powoła rząd Złego Donalda złośliwie, to znaczy 13 grudnia. Żeby się Polakom odpowiednio kojarzyło. Otóż znamy lepszą datę, tylko że czekać trzeba długo. Po ostatnim głosowaniu w europarlamencie w sprawie zmian w traktatach nie mamy wątpliwości, że rząd PeŁo i Lewicy powołać należy 24 października. Na pamiątkę pewnego wydarzenia z 1795 r., które podobno nie miało się nigdy powtórzyć, ale wydarzyło się wtedy trzeci raz. Ależ naiwni ci Polacy!

Skoro już jesteśmy w ponurym nastroju, to czas na humor czarny, ale na czasie. Dzięki Marszymkowi Hołowni wiemy już nawet, jak w nowej superzjednoczonej Unii mogłaby się nazywać dawna Rzeczpospolita Polska: Rzeczpospolita Podcast.

Historia powtarza się jako farsa. Kiedyś ministrem zdrowia PeŁo był Bartek Arłukowicz, który miał aż dwie zalety: pracował wcześniej w szpitalu oraz jarał fajki równie intensywnie jak prof. Religa. Teraz po pomyśle, by resort objęła polonistka Izabela Leszczyna, pojawił się koncept, by jednak była nią katoekonomistka Joanna Mucha. Dlaczego kato? No bo robiła ekonomikę zdrowia na KUL. Na szczęście dla równowagi tworzyła też Akademię Janusza Palikota, inaczej w ogóle by się z tą talibką nie dało rozmawiać.

A teraz serio: ewentualny fotel ministra zdrowia byłby dla Joanny Muchy doskonałą okazją, by zrobić coś dla ludzi. A dokładnie – dla starych ludzi. A jeszcze dokładniej – żeby zakazać im chodzenia do lekarza. Gdyż jak to kiedyś ogłosiła: „Starsi ludzie są przyzwyczajeni do traktowania wizyt u lekarza co dwa tygodnie jako rozrywki". No więc jak się zakaże, to i lekarze odetchną, i emeryci wreszcie zajmą się czyś poważniejszym. Niestety, Donaldowi bardziej podoba się kandydatura Leszczyny.

Wizytowaliśmy w ubiegłym tygodniu DGAP. To taka instytucja w Berlinie, gdzie swojego czasu występował Radek Sknerus Sikorski i prosił Niemców o wzięcie odpowiedzialności za Europę. Niemcy niestety chyba go posłuchali. Teraz w Deutsche Gesellschaft für Auswärtige Politik Radka akurat nie było, ale pojawił się Witek Jurasz ze złOnetu. Zaskoczył publikę, bo zamiast przyłączyć się do chóru zachwyconych upadkiem rządu PiS, przejechał się po Niemcach. Z grubsza powiedział, że o ile w Polsce mieliśmy do czynienia z retoryką antyniemiecką, o tyle w Niemczech mieliśmy do czynienia nie z retoryką, ale z praktyką antypolską. Nie jesteśmy pewni tłumaczenia, jednak Niemcy bili Witkowi brawo.

FOT. ROBERT GARDZIŃSKI

Na marginesie, a dokładnie przed rozpoczęciem dyskusji – w DGAP urządzono imbiss. Czyli po naszemu bufet. Podano krem z dyni i wrapy, w tym również wegańskie. Podczas konsumpcji podsłuchaliśmy dowcip, który opowiadał jeden z Niemców: „Dlaczego w Sejmie zabrakło przedstawiciela mniejszości niemieckiej? Nie ma takiej potrzeby, tam jest teraz większość niemiecka". O dziwo, nikt nie uznał dowcipu za suchar. Wręcz przeciwnie, wszyscy bardzo byli rozbawieni. My też, choć właściwie nie powinno nam być do śmiechu.

Kronika towarzyska. Z pierdla wyszedł niejaki Włodek Karpiński, gwiazda PeŁo. Został wypuszczony, aby mógł objąć mandat europosła. I od razu jął się żalić, że w więźniu nie miał ciepłej wody i dezodorantu. Sprawdziliśmy. Otóż w areszcie w Mysłowicach woda ciepła jest przynajmniej sześć godzin dziennie. Z dezodorantem to już zupełna nieprawda. Karpiński go miał, ale nie taki, jak chciał. Problem polegał na tym, że w więźniu dopuszczalne są jedynie dezodoranty w sztyfcie. Bierze się to stąd, że dezodorant psikany może być użyty jako miotacz ognia (co sprawdziliśmy). Dodatkowo z kilku dezodorantów psikanych można skonstruować małą bombę. Tego nie sprawdzaliśmy, ale wierzymy na słowo.

Tymczasem w Sejmie i okolicach znów, jak przed laty, bryluje Rysiek Swetru Petru. Ale tym razem z brodą. Poszedł tym samym w ślady Władka Tygrysa-Kamysza, który już jakiś czas temu też zapuścił. Widzicie, są tacy politycy, którzy aby uchodzić za choć trochę poważnych, mogą zrobić tylko jedno. No i to właśnie zrobili. Czekamy niecierpliwie, aż brodę zapuści Marszymek Hołownia. Wtedy wreszcie też będzie wyglądał jak ktoś poważny. Na przykład dorosły Harry Potter. ©℗

VISTA MIKOŁAJKI

MARINA & RESORT

Zainwestuj

Zarabiaj

Wypoczywaj na Mazurach

już od

363 000 zł *netto*

APARTAMENT 2-POKOJOWY

Luksusowy resort nad brzegiem jeziora Mikołajskiego

Bogata infrastruktura: marina, boiska, restauracje

ZAPYTAJ BEZPOŚREDNIO

70% **przychodu** dla właściciela apartamentu

Nieograniczony pobyt właścicielski

VISTAMIKOLAJKI.PL

+48 222 645 287

eprasa.pl 1606071830

Uczymy języka bratanków

Już od ponad trzech lat udowadniamy, że język Madziarów nie jest wcale tak trudny, jak go malują. Dzięki darmowym kursom organizowanym i finansowanym przez Instytut Felczaka języka węgierskiego uczy się obecnie ok. 200 uczniów szkół średnich, a także kilkudziesięciu studentów. A na Węgrzech uczniów i studentów uczymy języka polskiego

Wiecie, dlaczego w niebie będziemy mówić po węgiersku? – zapytał członków komitetu powitalnego papież Franciszek, gdy w roku 2021 pierwszy raz wylądował na lotnisku w Budapeszcie. – Bo nauka tego języka trwa całą wieczność! – żartował Ojciec Święty.

Na szczęście, jak co roku udowadniają uczniowie Felczaka, węgierski dla Polaków nie jest wcale aż tak trudny. – Zainteresowanie naszymi lekcjami jest bardzo duże. Zgłaszający się na zajęcia deklarują, że chcą się osobiście przekonać, czy język węgierski jest faktycznie aż tak trudny, jak głosi stereotyp. Przyciąga ich także „egzotyczne" brzmienie. Są również osoby zakochane w węgierskiej kulturze, a także takie, które z węgierskim zetknęły się podczas wakacyjnych wyjazdów i zapragnęły się go nauczyć – zauważa zastępca dyrektora Instytutu Felczaka Agnieszka Barátka.

LICEALIŚCI I STUDENCI

Instytut Felczaka promowanie języków bratanków nad Wisłą i nad Dunajem rozpoczął już w roku 2018. W 2020 r. nauczanie ojczystej mowy Węgrów w ramach oferty fakultatywnej rozpoczęło dziewięć szkół. Nauczanie w systemie zdalnym kontynuowaliśmy nawet w trudnych czasach pandemii koronawirusa. O sukcesie naszego programu nauki języków świadczyć może to, że w ciągu zaledwie trzech lat liczba szkół biorących udział w programie nauczania języka się podwoiła. Obecnie w ramach Programu Nauczania Języka Instytut Felczaka współpracuje już z 18 szkołami, w których uczniowie na bezpłatnych i fakultatywnych lekcjach mogą uczyć się języka bratanków w kilkunastu miastach Polski, m.in. w Warszawie, Krakowie, Lublinie, Przemyślu czy Rzeszowie.

W obu krajach lekcje prowadzone są przez doświadczonych i znakomicie wykształconych nauczycieli. Są bezpłatne dla uczniów, bo wszelkie koszty ponosi Instytut Felczaka. – Uczniowie reagują bardzo pozytywnie i błyskawicznie robią postępy. Węgierski jest językiem uporządkowanym i logicznym, więc osoby, które przebrną przez pierwszy rok, chętnie kontynuują naukę. A już po pierwszym roku mogą się porozumiewać przynajmniej w niektórych tematach. Nasze lekcje można traktować jako hobby, jako drogę do zdobycia praktycznego narzędzia znacząco ułatwiającego kontakty w sferze prowadzonych badań naukowych lub jako poszerzenie kwalifikacji – dodaje wicedyrektor i koordynator Programu Nauczania Języka w Instytucie Felczaka, podkreślając, że wśród osób, które uczyły się węgierskiego na naszych kursach, kilka zdecydowało się już kontynuować naukę na studiach hungarystycznych.

Wielu naszych uczniów widzi również w lekcjach szansę na karierę dzięki znajomości języka, którym na całym świecie włada zaledwie 15 mln osób (w tym 10 mln, dla których jest to język ojczy-

eprasa.pl 1606071830

sty). – Znajomość języka węgierskiego to niewątpliwie duży atut w CV – podkreśla Agnieszka Barátka. Po angielsku, francusku czy niemiecku mówi bowiem bardzo wiele osób. Tymczasem z Madziarami porozumieć potrafi się tylko elitarne grono. O tym, że język węgierski ułatwia zdobywanie atrakcyjnych ofert na rynku pracy, w tym w biznesie, mówiła też nieraz ambasador Węgier w Polsce Orsolya Zsuzsanna Kovács. Między innymi do ambasady zgłaszają się bowiem z prośbą o pomoc w poszukiwaniach talentów pracodawcy, którzy chcą zatrudnić osoby mówiące po węgiersku.

Instytut Współpracy Polsko-Węgierskiej im. Wacława Felczaka organizuje również lekcje języka polskiego w szkołach średnich na Węgrzech, w takich miastach jak choćby Budapeszt czy Veszprém. – Wielu Węgrów chciałoby się uczyć polskiego, jednak nasz język jest dla nich większym wyzwaniem niż węgierski dla Polaków – tłumaczy wicedyrektor Agnieszka Barátka.

WĘGIERSKI W LUBLINIE, POLSKI W BUDAPESZCIE

18 października 2023 r. Instytut Współpracy Polsko-Węgierskiej oficjalnie odnowił porozumienie o współpracy z Katolickim Uniwersytetem Lubelskim Jana Pawła II. Dzięki niemu grupa kilkudziesięciu studentów i pracowników uczelni może bezpłatnie uczyć się języka węgierskiego w ramach kursu organizowanego i w pełni finansowanego przez Instytut Felczaka. Od listopada lektorat z języka polskiego uruchomił zaś współpracujący z naszym instytutem Narodowy Uniwersytet Służby Publicznej Ludovica w Budapeszcie.

NIE TYLKO ZWYKŁE LEKCJE

W szkołach średnich lekcje ojczystego języka Sándora Petőfiego (wybitnego węgierskiego wieszcza romantyzmu) odbywają się w wymiarze dwóch godzin lekcyjnych tygodniowo. Ale to nie wszystko. Instytut Felczaka, aby rozbudzić miłość do języka i kultury bratanków, organizuje również wiele imprez towarzyszących. Uczniowie Felczaka biorą udział w wykładach dotyczących historii Polski oraz Węgier, w zajęciach przybliżających węgierskie tradycje ludowe (np. związane ze świętowaniem Wielkiej Nocy lub Bożego Narodzenia) czy historyczne dokonania Madziarów (wśród Węgrów jest nie tylko wielu wynalazców, lecz także aż 17 laureatów Nagrody Nobla). Uczniowie Felczaka biorą także udział w praktycznych lekcjach tradycyjnych węgierskich tańców ludowych, słuchają koncertów w wykonaniu polskich i węgierskich artystów, a także wygrywają nagrody w licznych quizach, konkursach i zagadkach językowych.

W warszawskiej siedzibie instytutu regularnie prowadzone są również zajęcia z cyklu „Węgierskie zagadki". Są to warsztaty dla młodzieży szkół podstawowych i ponadpodstawowych, gdzie poprzez rozwiązywanie zadań lingwistyki matematycznej uczniowie nie tylko uczą się podstaw wymowy węgierskiej czy rozumienia podstawowych zwrotów, lecz także rozwijają umiejętność wnioskowania i kreatywnego myślenia. I chociaż termin „matematyka lingwistyczna" dla niektórych może brzmieć groźnie, to prowadząca zajęcia w siedzibie Instytutu Felczaka dr Anna Grzeszak z Katedry Hungarystyki UW za każdym razem udowadnia, że metoda ta słusznie nazywana jest również lingwistyką rekreacyjną, pozwalającą w przyjemny i nowatorski sposób błyskawicznie przyswoić sobie dziesiątki nowych słów.

Po zajęciach uczniowie w najprzyjemniejszy z możliwych sposobów poznają również węgierską sztukę kulinarną, degustując w siedzibie Instytutu Felczaka tradycyjne langosze, krem z ostrej papryki etc.

OBOZY KULTUROZNAWCZE I LETNIE SZKOŁY LIDERÓW

Wszyscy uczniowie Felczaka na zakończenie roku szkolnego otrzymują świadectwa potwierdzające udział w kursie. Najlepsi mogą zaś brać udział w organizowanych przez Instytut Felczaka obozach językowych na Węgrzech. Uczniowie mają wówczas szansę, aby w praktyce zastosować zdobytą w lekcyjnych salach znajomość języka bratanków. Nad Dunajem poznają również węgierskie zabytki, podziwiają perełki architektury, zgłębiają lokalne tradycje oraz poznają bogatą kulturę oraz historię Madziarów. Każdego dnia biorą udział nie tylko w lekcjach językowych, lecz także w licznych zajęciach praktycznych, od nauki tańca po zajęcia w warsztacie garncarskim (w maju obecnego roku uczniowie Felczaka mogli samodzielnie wykonać bransoletkę, kékfestő madárka oraz ozdobić torbę bawełnianą, komponując wymyślony przez siebie wzór.

Elitarne grupy studentów od lat zapraszane są również na organizowany przez instytut Letni Uniwersytet na zamku w podprzemyskim Krasiczynie (w tym roku odbyła się już szósta edycja tego wydarzenia, a udział w niej wzięło niemal 200 studentów z Polski, Węgier, Czech i ze Słowacji). W sierpniu 2023 r. młodzi liderzy z Polski, Węgier, Czech i ze Słowacji wzięli udział w pierwszej edycji Letniej Akademii Wyszehradzkiej w Budapeszcie.

ZAPRASZAMY DO WSPÓŁPRACY!

Z roku na rok Instytut Felczaka rozwija swoją ofertę programową. Przyjmujemy zgłoszenia szkół pragnących poszerzyć własną ofertę zajęć fakultatywnych o bezpłatne lekcje języka węgierskiego!

e-mail: instytut@kurier.plus,
tel. 22 845 08 52

ARTYKUŁ SPONSOROWANY

eprasa.pl 1606071830

FOT. MICHAŁ WOŹNIAK/EAST NEWS

eprasa.pl 1606071830

Z prof. Andrzejem Nowakiem, autorem „Dziejów Polski”
rozmawia Krzysztof Masłoń

Opozycja z „zagranicą” przeciw królowi

KRZYSZTOF MASŁOŃ: Szósty tom „Dziejów Polski”, który właśnie się ukazał, obejmuje czas niezwykle ważny dla naszej historii, a także dla współczesności. To w XVII w. z całą mocą ujawnia się kwestia ukraińska. Opozycja wobec władzy królewskiej nie tylko szuka poparcia za granicą, lecz także wręcz wspiera obcą interwencję zbrojną. Wreszcie pojawia się tyleż dziwne, ileż haniebne zupełnie nowe zjawisko, a mianowicie wstyd za Polskę, wstyd za Rzeczpospolitą. Czy istniały ku temu powody?

PROF. ANDRZEJ NOWAK: Czterdziestolecie między wstąpieniem na tron Władysława IV w roku 1632 a śmiercią króla Michała Korybuta Wiśniowieckiego w 1673 r. okazało się przełomem w funkcjonowaniu elit Rzeczypospolitej. Przez elity te rozumiem tych, którzy świadomie uczestniczyli w życiu sejmowym i sejmikowym, a więc życiu politycznym. W sumie było to od kilkunastu do kilkudziesięciu tysięcy osób. Pod wpływem tragedii kozackiej wojny i następującego po niej potopu część owych elit, zwłaszcza ich najwyższych warstw zwanych magnatami, przeżyła załamanie wiary w Rzeczpospolitą, wiary w Polskę.

Celowo używam tych dwóch form, które nie są tożsame – ale właśnie w tamtych latach, o których opowiadam w szóstym tomie „Dziejów Polski”, są już stosowane wymiennie. Rzeczpospolita jako forma ustrojowa wyróżniała się na tle większości państw ówczesnej Europy swoją podstawą wolnościową. To miał być ustrój wolności, będący powodem do dumy, a nie wstydu. I z tą dumą odpierano wcześniej rozmaite kalumnie, bo przecież negatywnych opinii o Polsce nie brakowało, nie były one zresztą niczym wyjątkowym. Od wieków średnich istniała oś podziału Północ – Południe, ta pierwsza była uznawana za barbarzyńską, ta druga za kulturalną. Niccolò Machiavelli w „Księciu” wzywa do wyzwolenia Italii z rąk barbarzyńców, mając na myśli Francuzów. W samych więc atakach na Rzeczpospolitą, w wytykaniu naszym przodkom, że są mniej ogładzeni, mniej kulturalni, gorsi od europejskiego centrum sytuowanego gdzieś na południu, nie było nic nowego. Mierzono się z nimi, dowodząc jak Jan Ostroróg na dworze papieskim jeszcze w XV w., że w istocie jest przeciwnie – że jesteśmy ze wspaniałego kraju. A przechodząc do XVII stulecia, o którym mówimy, trudno pominąć sławny wjazd Jerzego Ossolińskiego do Rzymu w roku 1633, jego znakomitą mowę, a i konie, które miały gubić złote czy srebrne podkowy…

To już chyba element legendy…

Celowo zostawiam te szczegóły na marginesie, niemniej jest udokumentowany przepych, z jakim Ossoliński wystąpił, bogactwo – eksponowane podobnie jak np. orientalizm – niezwykle efektownych strojów. Kiedy więc pojawiły się na zachodzie Europy teksty zawierające krytykę Rzeczypospolitej, takich autorów jak Tomasz Lansjusz, profesor protestanckiego uniwersytetu w Tybindze, czy pochodzący ze Szkocji John Barclay, piszący o Polakach jako o „narodzie zrodzonym do gwałtów i swawoli”, dowiadywali się w uczonych odpowiedziach Sarmatów (drukowanych oczywiście po łacinie), że nic o nas nie wiedzą, nie znają naszej kultury, nie pojmują naszej wolności, bo sami żyją w niewolnym ustroju. Tak odpowiadał Starowolski, tak odpowiadał Opaliński.

Kiedy młody Jerzy Sebastian Lubomirski – który później miał zasłynąć zarówno zwycięstwami w ważnych dla Rzeczypospolitej bitwach, jak i fatalnym rokoszem – przyjechał do Paryża, przyjmowany był przez Ludwika XIII i kard. Richelieu, podziwiał wspaniały dwór i miasto, niemniej wiedział, że jest bogatszy, że może pozwolić sobie na wspaniałe fundacje klasztorów czy pałaców i że żyje w kraju dla ludzi takich jak on wolnym. A Francja jest monarchią absolutną, krajem ludzi zniewolonych przez monarszy dwór i jego urzędników – nie ma więc wobec niej żadnego poczucia niższości.

Na progu okresu, który opisuję, wciąż żywa jest pamięć incydentu, który miał miejsce przy wyborze francuskiego kandydata do tronu polskiego Henryka III Walezego, kiedy to polsko-litewska delegacja Rzeczypospolitej postawiła warunki Francji, bo nie

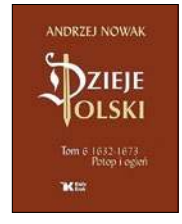

ANDRZEJ NOWAK „DZIEJE POLSKI”, TOM 6
BIAŁY KRUK 2023

eprasa.pl 1606071830

tylko chodziło o osobę króla mającego przyjechać do Polski i przyjąć ustalenia artykułów henrykowskich, lecz także o tzw. postulata polonica. Wtedy, w 1573 r., było to powiedzenie wprost, że powinniście zmienić ustrój, bo ten, który macie, jest – przepraszam za wyrażenie – dziadowski w porównaniu z naszym tolerancyjnym, wolnym.

Po 100 latach od tamtego wydarzenia wszystko jednak się odmieniło i przed Francją biliśmy pokłony.

W 1672 r. starosta radomski Piotr Kochanowski pisał do posła francuskiego w Warszawie: „My decydujemy się nie tylko na przymierze z Francyą, ale na wcielenie (incorporationem) Królestwa Polskiego do Królestwa Francuskiego, niech tylko Jego Najjaśn. Arcy-Chrześcijańska Mość (czyli Ludwik XIV) raczy przyjąć rządy tak rozległego królestwa, albo sam bezpośrednio (per se), albo przez vice-króla. Przeklinamy niepotrzebne (superfluas) prawa nasze, znosimy szkodliwe zwyczaje. Chcemy żyć w ojczyźnie naszej podług wolności francuskiej".

Czy był to krewny znanych z literatury polskiej Kochanowskich?

To była bardzo rozrośnięta rodzina, tam właśnie w Radomskiem, ale ten miłośnik Króla Słońce nie miał nic wspólnego z Piotrem Kochanowskim, tłumaczem „Goffreda", ani z wielkim Janem Kochanowskim. Zacytowałem ten akt poddańczy, bo jest to stwierdzenie, że wszystko, co do tej pory Rzeczpospolita stanowiła, nic nie jest warte.

W nie tak znów dawnych czasach pół żartem, pół serio mawiano, że najlepiej byłoby dla Polski, gdyby stała się – cóż, że zamorskim – jeszcze jednym stanem USA... Teraz niedalecy od podobnych pomysłów wydają się fanatyczni zwolennicy pomysłów powstających w głowach polityków Unii Europejskiej.

Wiele się jednak pod tym względem zmieniło, i to w ostatnich paru latach. Żaden wzorzec zagraniczny nie ma już u nas takiej siły przyciągania jak jeszcze kilkanaście lat temu – a już na pewno ani Niemcy, ani Francja. Może Szwajcaria, ale też nie byłbym tego pewny. A fatalne pismo starosty radomskiego zacytowałem, by unaocznić kontrast między XVI a XVII stuleciem.

Coś się w tym czasie zepsuło w Polakach?

Zadecydowały dramatyczne doświadczenie roku 1648 i kwestia kozacka – bezpośredni zapalnik całego kryzysu potęgowanego przez inny kryzys, wewnątrzustrojowy, rozwijający się już wcześniej. To od czasów Jana Zamoyskiego wokół najbardziej ambitnego magnata tworzy się rodzaj opozycji, która odwołując się do hasła wolnościowego, blokuje działania króla, oskarżając go o absolutyzm.

Skład tej opozycyjnej partii będzie się przez lata zmieniał, różne będą motywy przynależności do niej. Poza osobistymi ambicjami skrytymi za parawanem złotej wolności szlacheckiej ważna będzie odrębność litewska, podkreślana przez Radziwiłłów czujących się na Litwie gospodarzami i odżegnujących się od związków z Koroną. Jeszcze istotniejszy bywał motyw wyznaniowy. W Polsce stopniowo przeważać będzie kontrreformacja, co wywoła gorączkową reakcję elit protestancko-prawosławnych. No i mamy Kozaków, nabierających coraz większego znaczenia, odkąd w 1621 r., pod Chocimiem, wydatnie przyczynili się do uratowania Rzeczypospolitej.

Żeby za czasów Władysława IV stać się nieomal królewskimi faworytami.

Król Władysław IV prowokował ustrój Rzeczypospolitej i wzywał Kozaków do walki z Rzecząpospolitą. Wiemy o tym od Marka Sobieskiego, brata Jana, któremu powiedział to sam Chmielnicki

FOT. ZAMEK KRÓLEWSKI NA WAWELU

eprasa.pl 1606071830

Źródłem istnienia Kozaczyzny jest wojna. Kozacy musieli walczyć, a obywatele szlacheccy wojny nie chcieli. Może to niejednego dziwić, ale istotą obywatelstwa Rzeczypospolitej jest pacyfizm. Zaprawiamy się do sztuki wojennej, ćwicząc np. w husarii, ale po to, by bronić ojczyzny, a nie by prowadzić agresywną wojnę zewnętrzną. Za wojną czai się wzmocnienie władzy królewskiej, nie chcemy więc silnego wojska, nie chcemy płacić na nie podatków. W ogóle nie chcemy ich płacić, ale już na armię szczególnie, jako że król zacznie wszystkim dyrygować. I co się stanie z naszą wolnością? A tu Kozaczyzna popycha Polskę w stronę budowy imperium, wskazuje naturalny dla nas kierunek – albo do Dunaju i dalej, do Turcji, albo na Ruś, na Moskwę. Władysław IV, jak każdy młody, ambitny władca, nie pozostaje głuchy na takie podszepty.

Ten król ma w naszej historii dobre notowania, choć do cesarza Ferdynanda pisał, że „nie może zżyć się z Polską", jego wielkie aspiracje pozostały niezrealizowane, a po swoich rządach pozostawił ogromne zadłużenie. W dużej mierze takie postrzeganie Władysława IV zawdzięczamy Henrykowi Sienkiewiczowi, który go chyba przecenił. Swoją drogą, pan profesor też nie kryje swego zauroczenia prozą autora „Potopu"?

Oczywiście. A Władysław IV nie bierze pod uwagę tego, że obywatele nie chcą wojny. I łamie ustrój Rzeczypospolitej poza plecami Sejmu i pierwszych urzędników Rzeczypospolitej, hetmanów nawet, przygotowuje operację wojenną – w porozumieniu z Kozakami. A to już wywołuje strach obywateli, że król uczyni z nich swoją gwardię. Stanisław Lubomirski, najpotężniejszy magnat w Małopolsce w 1647 r., napisze, że jak tak dalej pójdzie, to za akceptacją króla Kozacy wedrą się do pałaców pierwszych obywateli.

Na dobrą sławę Władysława IV nakładają się cieniem rządy jego młodszego brata, Jana Kazimierza. To dopiero za jego królowania na Rzeczpospolitą zwaliła się cała góra nieszczęść.

W uproszczeniu można to ująć tak: za Władysława IV wszystko było jeszcze w najlepszym porządku, budowano piękne pałace – i nagle nastąpił krach. Otóż nie, tę tragedię przygotowało właśnie jego panowanie. Król prowokował ustrój Rzeczypospolitej i – co najgorsze i czego nie da się obronić – kiedy spotyka się z Chmielnickim i paroma jeszcze przywódcami Kozaczyzny i oni skarżą mu się na lokalnych podstarościch, Władysław IV mówi im: „No, ale macie szable przy boku". Wzywa Kozaków do walki z Rzecząpospolitą! Wiemy o tym od Marka Sobieskiego, brata Jana, któremu powiedział to sam Chmielnicki…

Ten sam, na którego rozkaz zostanie Marek Sobieski ścięty w 1652 r. w „Sarmackim Katyniu", po bitwie pod Batohem.

Wcześniej jednak, po bitwie wygranej przez Chmielnickiego, wypuści on po ugodzie zborowskiej Marka Sobieskiego jako cennego jeńca. I wtedy opowie on Sejmowi o królewskiej zdradzie.

A całkiem niedawno, bo w roku 2002, w rocznicę rzezi pod Batohem, na Ukrainie wybito jubileuszową monetę…

Zasmuciła mnie ta informacja, bo to niemal tak, jakby rosyjska mennica państwowa wybiła okolicznościową monetę czy medal w rocznicę zbrodni katyńskiej. Batoh był kulminacją nienawiści, kulminacją świadomie przez Chmielnickiego zbudowaną. Bitwy w tamtym czasie nieraz kończyły się rzeziami, tak było m.in. pod Beresteczkiem; mawiano, że dobijano wrogów „na rozgrzanego". Ale pod Batohem dokonano zbrodni na zimno. Chmielnicki wykupił polskich jeńców od Tatarów i przez dwa dni po skończonej bitwie ścinano im głowy.

W 1648 r. w uniwersale do ludu ukraińskiego Chmielnicki wzywał: „Gotujcie się na tych nieprzyjaciół naszych i wiary starożytnej naszej, Lachów, wrogich narodowi naszemu. Tak swoich panów i sług ich Żydów wybijajcie, ścinajcie, wytracajcie dla świętości ziemi naszej, którą za błogosławioną być obiecujemy". A hołota zaporoska słuchała… Skądinąd na pewno przed tym rokiem żadnego narodu ukraińskiego w dzisiejszym rozumieniu tego słowa, nie było. Nie mogło więc być mowy o żadnym narodowym ucisku. Ale czy Bohdan Zenobi Chmielnicki miał jakieś wyjątkowe powody, by nienawidzić Polaków?

Miał powody do osobistej wrogości; to, co pisał na ten temat Sienkiewicz, było prawdą. Rzeczywiście został skatowany, pobito mu syna, zamknięto go w więzieniu – niesłusznie, bo z powodu prywatnego zatargu o kobietę i majątek, ale i słusznie, bo już się domyślano, że szykuje bunt, że przygotowuje do użycia w tym celu odpowiednie papiery (które dał Kozakom Władysław IV!). Dalej poniosła Chmielnickiego nie tylko jego osobista nienawiść. Jego sukcesy były pochodną słabości Rzeczypospolitej i – co staram się pokazać w swojej książce – błędów popełnianych przez konkretnych ludzi w konkretnym miejscu i czasie.

A Chmielnicki traktował kozackie interesy i samych Kozaków czysto instrumentalnie. Dotyczy to np. kwestii prawosławnej. Słusznie pisał mój mistrz z Uniwersytetu Jagiellońskiego, prof. Władysław Serczyk, że dla Kozaków religia nie miała większego znaczenia – byli w istocie areligijni. Prowadzili taki tryb życia, żyli z zabijania i Dekalogiem specjalnie się nie przejmowali. Chmielnicki, odwołując się więc do prawosławia, miał na względzie umocnienie swej roli w całej społeczności, którą ahistorycznie nazywamy ukraińską, a którą raczej na tym obszarze należałoby nazywać ruską czy rusińską, w której byli zarówno wierna Rzeczypospolitej ruska, prawosławna szlachta, jak i wojewoda kijowski Kisiel czy metropolita Mohyła, i masy chłopskie. Chmielnicki nie był żadnym drugim Spartakusem i chłopstwo ruskie potrzebne mu było jedynie do realizacji własnych ambicji, a te sięgały idei wybudowania imperium – Bohdana Chmielnickiego. Po wielu próbach usiłował w końcu doprowadzić do jego powstania na terenie dzisiejszej Rumunii, żeniąc swego syna Tymosza z córką hospodara Mołdawii. I to się już zdecydowanie Kozakom nie spodobało, bo oni chcieli walczyć

W 1648 r. w uniwersale do ludu ukraińskiego Chmielnicki wzywał: „Gotujcie się na tych nieprzyjaciół naszych i wiary starożytnej naszej, Lachów, wrogich narodowi naszemu. Tak swoich panów i sług ich Żydów wybijajcie, ścinajcie, wytracajcie dla świętości ziemi naszej"

eprasa.pl 1606071830

o swoje, a wymarzone przez Chmielnickiego imperium mieli za nic.

Tak czy inaczej XVII-wieczne kozackie powstania wywarły ogromny wpływ na dalsze losy Rzeczypospolitej.

One zmieniły historię Europy! A ponieważ skruszyły siłę Rzeczypospolitej i nie udało się ich stłumić w zarodku, ze zwielokrotnioną mocą pojawiły się wszystkie te odśrodkowe elementy, o których mówiliśmy wcześniej. Kiedy Rzeczpospolita znajduje się w kryzysie, zmagając się z Kozakami i z Moskwą, pojawia się wykorzystujący tę sytuację nowy, agresywny sąsiad, czyli Karol Gustaw, w którym część naszych obywateli widzi swego patrona lub choćby obrońcę przed najeźdźcą moskiewskim. Przypomnę, że w tragicznym roku 1655 połowa wschodniej Rzeczypospolitej zajęta była przez Moskwę i Kozaków i choć Jan Kazimierz próbował jeszcze organizować obronę, to znaleźli się magnaci, w tym katolicy, którzy postanowili nie bronić się przed Szwedami, głównie zresztą w imię wrogości wobec własnego króla. Taka była motywacja elit wielkopolskich z Opalińskim na czele, niemających żadnych powodów, by zrywać z Polską, tylko tę jedną – nienawiść do własnego rządu…

W efekcie pod Ujściem doszło do…

… kapitulacji bez walki. Hańby większej, moim zdaniem, niż ta, która okryła Radziwiłłów, bo tamci byli w tragicznej sytuacji i Janusz Radziwiłł w obliczu Wilna zajętego przez Moskwę wybierał mniejsze zło. Wielkopolska natomiast poddała się Szwedom, bo dla niej większym złem był polski król. Pod Zborowem w czasie walk z Kozakami wielkopolskie elity też zresztą odmówiły jakiejkolwiek pomocy. To działo się 800 km od nich. Co tam będą się bić z Kozakami! Oczywiście znamy przypadki pochodzących z Wielkopolski wspaniałych patriotów czy wręcz bohaterów, jak Mikołaj Skrzetuski, pierwowzór postaci wykreowanej przez Sienkiewicza, który okrył się chwałą nie tylko pod Zbarażem.

Może Rzeczpospolita byłaby w stanie zebrać siły, gdyby nie zaprzepaszczono zwycięstwa odniesionego pod Beresteczkiem w 1651 r., kompletnie niewykorzystanego. Dlaczego?

Po pierwsze, udała się wówczas dywersja Chmielnickiego, którego agent

Hieronim Radziejowski, arcyzdrajca, który w imię własnych interesów gotów był zniszczyć Rzeczpospolitą, oskarżał króla o złe dowodzenie w bitwie pod Beresteczkiem, choć wszyscy historycy wojskowości są zgodni, że Jan Kazimierz najlepiej się tam spisał i dowodził wojskami bardzo sprawnie FOT. DOMENA PUBLICZNA

Aleksander Kostka-Napierski wszczął na tyłach Rzeczypospolitej powstanie i choć nie stało się ono masowe, to wywołało ogromne zaniepokojenie wśród walczącej szlachty rozumującej, nie bez racji, w ten sposób: my tutaj ścieramy się z Kozaczyzną, a nasze domy są plądrowane, a żony piłami rżnięte.

Wanda Wasilewska swego czasu zrobiła z Kostki-Napierskiego ludowego bohatera.

Dzisiaj jest on znacznie bardziej popularny, bo Wand Wasilewskich wszystkich płci mamy dziesiątki. Ale pod Beresteczkiem znów dała znać o sobie opozycja antykrólewska, nie cofając się przed żadnym oszczerstwem. Hieronim Radziejowski, arcyzdrajca, który w imię własnych interesów gotów był zniszczyć Rzeczpospolitą, oskarżał króla o złe dowodzenie w bitwie, choć wszyscy historycy wojskowości są zgodni, że pod Beresteczkiem Jan Kazimierz najlepiej się spisał i dowodził wojskami bardzo sprawnie. Jednak kampania Radziejowskiego, w którego wydaniu opozycyjność przekroczyła granicę zdrady, nie pozostawała bez echa i wpływała na nastroje wśród szlachty. Oficerowie i żołnierze powtarzać zaczęli, że nie chcą już dalej walczyć, bo to leży tylko w interesie króla dążącego do absolutyzmu i zagrażającego ich wolności. Pospolite ruszenie powróciło do domów, a Jan Kazimierz nie mógł go zatrzymać. Tymczasem zdrajca Radziejowski dopiero zaczyna swą karierę. I niebawem przedstawi na dworze szwedzkim projekt wspólnego uderzenia z Kozakami Chmielnickiego na Rzeczpospolitą, do tego we współdziałaniu z opozycją antykrólewską na Litwie i w Polsce.

Mimo ciążącego na nim wyroku nic mu się nie stało, a swój żywot zakończył, o zgrozo, jako poseł na służbie Rzeczypospolitej!

Rzeczywiście żaden z tamtych zdrajców nie został ukarany. Na mocy pokoju w Oliwie amnestiowano tych wszystkich, którzy na początku potopu szwedzkiego przeszli na stronę Karola Gustawa, no ale Radziejowski skazany został wcześniej, a mimo to nic mu się nie stało. Popierała go część magnatów, także szlachty z ziemi, z której się wywodził, a w końcu okazał się przydatny królowej Ludwice Marii, gdy ta zmierzała do ustanowienia tronu dziedzicznego i wprowadzenia elekcji vivente rege, by po abdykacji Jana Kazimierza królową Polski uczynić swoją wydaną za Francuza siostrzenicę.

Cóż, para królewska sięgnęła wtedy po najgorszy element, antagonistyczny obóz robił zresztą to samo; i gdy takiego męta jedni wyrzucili, znajdował u drugich przytulisko. Parze królewskiej potrzebni byli nagle, po rokoszu Lubomirskiego, fałszywi świadkowie gotowi do krzywoprzysięstwa przed Sejmem, i Radziejowski takich znajdował. W końcu jednak godnie reprezentował Rzeczpospolitą w poselstwie do Turcji, gdzie nie dał sobie zginać karku. Mamy w historii – i nie tylko w niej, bo współcześnie aż roi się od postaci, które żadnych, ale to żadnych karier w służbie publicznej nie powinny robić – przypadki nawróconych grzeszników i choć słaba to nadzieja, to wierzymy, że dopóki człowiek żyje, dopóty choć częściowo naprawić może swoje błędy.

Czytając szósty tom pańskich „Dziejów Polski", myślałem o tym, że to właśnie w czasach, które pan przybliża, narodziło się imperium rosyjskie, wcześniej będące tylko Moskwą. Stało się to za sprawą Kijowa, co – niezależnie od wszystkich naszych ocen – nadaje agresji Putina jeszcze jeden, i to ważny, aspekt.

Nie ma Rosji bez Kijowa – to zdanie brzmi strasznie dla Ukraińców, ale taki jest właśnie sposób rozumowania Rosjan. Możemy na to pomstować i to czynimy, nie zmienia to jednak tego, że ten punkt widzenia utrwalił się w XVII, a nie w XXI w. Wcześniej też chodziło o Kijów władcom moskiewskim walczącym z Jagiellonami, jeszcze z królem Aleksandrem, Janem Olbrachtem i Zygmuntem

eprasa.pl 1606071830

Starym. Iwan III, a potem Wasyl III dążyli do Kijowa jako do „matki miast ruskich", a zarazem duchowego centrum ruskiego prawosławia. To przez Kijów szła droga do Konstantynopola, Drugiego Rzymu. I właśnie uzyskane w roku 1654 panowanie nad Kijowem sprawia, że Moskwa osiąga stałą strategiczną przewagę nad Rzecząpospolitą. W momencie, w którym Chmielnicki daje Moskwie prezent w postaci Kijowa, trudno się dziwić, że ta korzysta z okazji. Ale nie uczyniła tego bez namysłu, pamiętała bowiem jeszcze lekcję, której udzieliła jej Rzeczpospolita pod Smoleńskiem w 1633 r. W końcu jednak, widząc polską słabość, będącą wynikiem – powtórzę raz jeszcze – błędów konkretnych ludzi, sięgnęła po Kijów. Przypomnę jednak, że na mocy rozejmu andruszowskiego w 1667 r. Kijów miał być tylko dwa lata po stronie moskiewskiej, a potem być polski.

Tak się jednak nie stało...

A dlaczego? Proszę przeczytać ostatnie rozdziały mojej książki. Opozycja zrobiła wtedy wszystko, by obalić króla wybranego ledwie parę tygodni wcześniej – Michała Korybuta Wiśniowieckiego, syna wielkiego Jeremiego. Na czele tej wyjątkowo brutalnej opozycji stała partia francuska z Janem Sobieskim i prymasem Prażmowskim. Te wszystkie ataki na króla miały miejsce wówczas, gdy trzeba się było zjednoczyć, przeciwstawiając się Moskwie. Michał Korybut, abstrahując od tego, czy był władcą dobrym czy nie, na pewno nie miał złych zamiarów wobec Rzeczypospolitej i w żadnym wypadku nie zasłużył na to, jak potraktowany został...

... przez totalną opozycję, która posłużyła się wobec niego, używając dzisiejszego języka, hejtem. Wypominano mu kalectwo i wygląd fizyczny – porównując z małpą; posądzano o homoseksualizm, a nawet pedofilię, wytykano rzekome niedostatki wykształcenia.

Od początku do końca były to kłamstwa, a palce u nóg, które stracił, odmroził sobie w wyprawie na Moskwę. Nastał jednak wtedy czas druków ulotnych, w których wypisywano, co komu tylko przyszło do głowy. Z tych wierutnych kłamstw zawsze coś zostawało w opinii publicznej. I to jest z pewnością smutna lekcja płynąca dla nas z tego dramatycznego opisywanego przeze mnie czasu, który kończy się zdobyciem przez Turków Kamieńca i śmiercią, po krótkim panowaniu, Michała Korybuta Wiśniowieckiego. Ale mamy też lekcję budującą. Tę, że w momencie, gdy wydawało się, iż Rzeczypospolitej już nie ma, w listopadzie i grudniu 1655 r., kiedy mieliśmy przystawiony nóż do gardła, znaleźli się ludzie wierzący w celowość walki nawet w takiej – beznadziejnej, zdawałoby się – sytuacji. To byli konfederaci od Kmicica – Samuela Kmicica, bo tak miał na imię prawdziwy chorąży orszański – ludzie z zawiązanej przeciw Januszowi Radziwiłłowi konfederacji wierzbołowskiej, z marszałkiem Kazimierzem Żeromskim, i szlachta z następnej konfederacji – tyszowieckiej. Wreszcie powracają i ci hetmani, którzy opuścili króla, i nagle 100 tys. szabel chce walczyć o Rzeczpospolitą, domaga się jej powrotu na mapę. I tak się staje, będzie ona istniała jeszcze 120 lat, bez Kijowa – to prawda, okrojona od wschodu, ale będzie, a miało jej nie być już od połowy XVII w. To nie jest do pogardzenia.

Rozbiory Polski nie były wcale nowym pomysłem. W 1656 r. zdarzył się pierwszy traktat rozbiorowy, w siedmiogrodzkim Radnot. Państwo polsko-litewskie miało zostać podzielone między Karola Gustawa, księcia Jerzego Rakoczego, Bohdana Chmielnickiego, elektora brandenburskiego Fryderyka Wilhelma i Bogusława Radziwiłła, jeszcze jednego zdrajcy, który zawsze spadał na cztery łapy. Tyle było w tym dobrego, że elektor czegoś się jednak nauczył, bo w testamencie politycznym zalecił ponoć swym następcom: „Trzymajcie się Rzeczypospolitej nigdy niewymierającej".

Traktat w Radnot poprzedziło wiele dwustronnych negocjacji między stronami, nowy był w nim jedynie udział Brandenburgii. Prusy Książęce były dotąd mało znaczącym księstewkiem, do tego wasalem Rzeczypospolitej, aż tu raptem zgłosiły ambicje zajęcia całej Wielkopolski i części Pomorza. Po 100 latach powtórzą je Fryderyk II i jego następca Fryderyk Wilhelm. W swej słynnej mowie sejmowej Jan Kazimierz powie proroczo, że jeśli się nie zreformujemy, to Brandenburgia, Habsburgowie i Moskale rozbiorą Rzeczpospolitą. Niestety, na słowach się skończyło i tutaj to już Jan Kazimierz ponosi odpowiedzialność za to, że tej reformy nie przeprowadził, skupiając się na zapewnieniu tronu polskiego siostrzenicy swej żony, co z całą pewnością z reformą nie miało nic wspólnego, a rozjuszało szlachtę pomysłem elekcji vivente rege, czyli za życia króla.

Opozycja zrobiła wszystko, by obalić króla wybranego ledwie parę tygodni wcześniej – Michała Korybuta Wiśniowieckiego, syna wielkiego Jeremiego. Na czele tej wyjątkowo brutalnej opozycji stała partia francuska z Janem Sobieskim i prymasem Prażmowskim

Oddając sprawiedliwość wybitnym patriotom tamtego czasu, niepodobna pominąć roli, jaką w przegnaniu z ziem Rzeczypospolitej szwedzkich grasantów odegrała obrona Jasnej Góry.

Była to głośna sprawa, nawet wychodząca w Niemczech „Theatrum Europaeum" pisała o niej na początku 1656 r. W społeczeństwie polskim zaś obroną klasztoru jasnogórskiego interesowały się wszystkie warstwy: szlachta, mieszczanie, chłopi. Jasna Góra była celem pielgrzymek już wcześniej, a w czasie szwedzkiego najazdu zintegrowała katolików, skupiając ich wokół obrony miejsca, którą protestancki najeźdźca zamierzał złupić. Propagandowo miało to ogromne znaczenie, w czym niemały udział miał przeor klasztoru Paulinów, ks. Augustyn Kordecki, jako autor dzieła „Nova Gigantomachia".

Jednak serdeczne słowo należy się jeszcze jednemu miastu. Chodzi o Lwów, w którym nieprzypadkowo Jan Kazimierz uczyni swoje sławne śluby. To jedyne duże miasto Rzeczypospolitej, które nie poddało się ani Kozakom Chmielnickiego, ani Moskwie, ani Szwedom czy Siedmiogrodzianom. Pozostał Lwów oazą wolnego, niepodległego ducha, a wybitną rolę odegrał również pod względem operacyjnym. To tam mógł wrócić Jan Kazimierz ze swej emigracji na Opolszczyznę i tam zebrać masy wojska – między Tyszowcami a Lwowem właśnie. Za te zasługi papież Aleksander VII nadał w 1658 r. miastu dewizę „Semper fidelis" – „Zawsze wierny". Niech to będzie dla nas wzorem i dzisiaj.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 1606071830

Jak stracić cnotę za własnego

Rafał A. Ziemkiewicz

Komisja Europejska zdecydowała odblokować Polsce fundusze z KPO. Dla stronników nowej władzy to triumf, dla poprzedniej – dowód fałszywości i nikczemności gry prowadzonej przeciwko niej przez Brukselę i Berlin. W istocie to tylko kolejny przykład, że „Polak i przed szkodą, i po szkodzie głupi"

Mało kto pamięta wystosowany prawie dwa lata temu list jednej z niemieckich organizacji przedsiębiorców, postulujący jak najszybsze uruchomienie KPO dla Polski. Nie był on bynajmniej wyrazem poparcia dla polityki PiS, jego autorów takie sprawy w ogóle nie obchodziły – podnosili oni tylko, że większość pieniędzy z KPO posłuży zakupom w niemieckich firmach, więc każdy miesiąc zwlekania z ich uruchomieniem to straty dla niemieckiej gospodarki.

W zasadzie nie było to nic nowego – były unijny komisarz finansów, Günther Oettinger, już kilka lat wcześniej publicznie oszacował, że z każdego euro z unijnego budżetu wydanego w „nowych krajach członkowskich" do Niemiec trafia ok. 80 centów (polska komisarz Elżbieta Bieńkowska poszła jeszcze dalej, oceniając, że każde wydane tu euro generuje Niemcom 1,2 euro dochodu). Dodajmy, że te szacunki dotyczyły czasów sprzed uruchomienia programu „Next Generation UE", czyli wspólnego długu zaciągniętego rzekomo na „odbudowę europejskich gospodarek po pandemii" – obecnie owo wydatkowane na „nowych członków" euro nie pochodzi już od podatników ze „starej Unii", ale z kredytu, który kiedyś spłacą w znacznym stopniu sami „beneficjenci", co jeszcze bardziej zwiększa zyski niemieckiej gospodarki.

ANI ŁASKA, ANI JAŁMUŻNA

Jest to jednak wiedza niechętnie przywoływana, a w Polsce wręcz wypierana – wspomniany list poza naszym tygodnikiem w ogóle nie został odnotowany. To, że pieniądze unijne nie są żadną łaską ani jałmużną, nie pasuje do głoszonych nad Wisłą narracji – zarówno tej pisowskiej, jak i peowskiej. Wedle pierwszej – to też już chyba mało kto pamięta – KPO były pieniędzmi załatwionymi dla Polski przez Mateusza Morawieckiego. Morawiecki, który zastąpił na stanowisku Beatę Szydło, by wyprostować stosunki PiS z Europą, wykonał postawione mu przez prezesa PiS zadanie, zgadzając się praktycznie na wszystko, czego od niego Unia żądała, i przyjmując za dobrą monetę złożone na gębę obietnice w rodzaju „zgódźcie się po dżentelmeńsku na ten zapis o przestrzeganiu praworządności, to my nie będziemy go stosować poza kontrolą wydatkowania środków unijnych". W zamian uzyskał możliwość triumfalnego obstawienia Polski billboardami, na których chwalił się, czego to Polakom nie sfinansuje z tych 700 mld, które załatwił (tego, że pochodzić one mają z długu, który będziemy musieli spłacać, na billboardach nie eksponowano).

Chodziło oczywiście wyłącznie o bieżącą przepychankę polityczną – billboardy miały rozbroić narrację lewicowo-liberalnej opozycji, że stawianie przez PiS oporu unijnym potęgom kosztuje nas utratę dotacji, i przekonać wyborców, że rządzący też potrafią załatwiać miliardy z Brukseli. W istocie Morawiecki, a wraz z nim cały PiS, zostali w tym momencie schwytani w pułapkę: przechwalając się 700 mld, zanim uzyskali gwarancję, że naprawdę je dostaną, zachęcili Unię do stawiania kolejnych, coraz dalej idących warunków, po spełnieniu których stawiano im kolejne, jeszcze dalej idące. Odblokowanie KPO stało się politycznym fetyszem, w imię którego PiS zgodził się wysadzić w powietrze prezydencką ustawą własną próbę reformy wymiaru sprawiedliwości i spełnić dziesiątki mniej lub bardziej absurdalnych wymogów nazwanych „kamieniami milo-

eprasa.pl 1606071830

FOT. ADOBE STOCK

wymi" (o niektórych z nich sam premier chyba nie wiedział, skoro teraz, już oddając władzę, straszy z sejmowej trybuny, że jeśli dojdzie do władzy PO z koalicjantami, to pozwoli Unii obciążać podatkami polskie samochody spalinowe, na co sam jej już w istocie, w ramach „kamieni", pozwolił).

Ciągłe upokarzanie PiS kolejnymi żądaniami przez Komisję Europejską było wyraźnie skoordynowane z propagandą opozycji szermującej demagogią o „miliardach" traconych przez Polskę wskutek bezrozumnego upierania się PiS przy „łamaniu praworządności". Stałym elementem propagandy TVN i mediów spokrewnionych stały się lamenty wójtów i sołtysów, że postawiliby u siebie szkołę, basen, węzeł drogowy etc., gdyby nie PiS blokujący środki z KPO. Donald Tusk występował w reklamówkach na tle wygenerowanych komputerowo palet eurobanknotów i uroczyście zaprzysięgał, że „pierwszego dnia po wygranych wyborach pojedzie do Brukseli i odblokuje fundusze dla Polski", nie bacząc nawet, że potwierdza w ten sposób narrację PiS, który poniewczasie zauważył, iż Komisji nie chodzi o żadną praworządność i takie czy inne zmiany w polskim prawie, tylko o to, żeby PiS przegrał wybory i oddał władzę Tuskowi.

Czy w istocie sprawa KPO odegrała tak istotną rolę w wyborach, jak jej przypisywano? Nie wydaje się. Rozstrzygnęły je kwestie tożsamościowe i godnościowe, nie materialne; w tej kwestii badania wskazywały dość zgodnie, że przytłaczająca większość Polaków jest ze swojego statusu zadowolona, a więc jako wyborcy nie poświęcają mu takiej uwagi, jak przywykliśmy w poprzednich dekadach. Niemniej Tusk poczuł się zobowiązany zająć po korzystnych dla siebie wyborach „odblokowaniem funduszy" – istotnie pojechał do Brukseli na rozmowę z przewodniczącą von der Leyen, nie spotkał się jednak wcale z lepszym przyjęciem niż poprzednicy. Podobnie jak oni po spotkaniu musiał wyjść do dziennikarzy sam i podobnie jak w wypadku Morawieckiego i Dudy jego zapewnienia, że osiągnął porozumienie i obiecano mu „odblokowanie", nie zostały w żaden sposób przez stronę przeciwną uwiarygodnione.

SKĄD TO PRZYSPIESZENIE?

W ostatnich dniach jednak szczęście się do Tuska, przynajmniej z pozoru, uśmiechnęło. Do programu posiedzenia Komisji dopisano niespodziewanie, w ostatniej chwili, punkt o przekazaniu Polsce „zaliczki" na poczet KPO, w kwocie 5,1 mld euro. Nie będą to, oczywiście, żadne palety pełne banknotów, które Polska mogłaby sobie wydawać na szkoły, baseny, węzły drogowe i inne dowolnie wybrane inwestycje – takie prezentowanie tych funduszy było od początku kłamstwem. Przyznana zaliczka może być wydana tylko na jeden, ściśle określony cel: „zieloną transformację energetyczną". A konkretnie – na zakup turbin wiatrowych. Nie przypadkiem jednym z najusilniej forsowanych „kamieni" była zmiana polskiego prawa ułatwiająca stawianie wiatraków przez likwidację prawnego wymogu zachowania wokół nich strefy chroniącej zdrowie okolicznych mieszkańców.

Po stronie PiS nieoczekiwana decyzja KE powitana została gromkim okrzykiem: „A nie mówiliśmy?!" – tym bardziej gromkim, że pozwalającym przejść do porządku dziennego nad wszystkimi winami partii oddającej władzę w sprawie KPO. Istotnie, „odblokowanie", którego przecież nie poprzedziły żadne absolutnie zmiany w dziedzinach, które rzekomo były przyczyną zablokowania, wydaje się mocnym dowodem unijnej hipokryzji i potwierdzeniem, że w całej awanturze nie chodziło bynajmniej o żadną praworządność, a o zainstalowanie w Warszawie – jak swego czasu w Rzymie i Atenach – władzy posłusznej eurokratom. Pytanie, czy ktokolwiek naprawdę miał co do tego wątpliwości i takiego dowodu potrzebował.

Można jednak zapytać, po co Bruksela tak się odsłoniła, przyśpieszając decyzję, którą można było spokojnie odłożyć do czasu ukonstytuowania nowego rządu w Warszawie i stworzenia przezeń jakiegokolwiek pretekstu w kwestii „ochrony praworządności". Skoro niemiecka gospodarka czekała tyle miesięcy, to mogłaby chyba wytrzymać jeszcze jeden?

Otóż właśnie się okazało, że już czekać nie może. Wyjaśnienie decyzji KE znajdziemy w prasie biznesowej, która w ostatnich tygodniach pisała o nieoczekiwanym, głębokim kryzysie koncernu Siemens – jednego z głównych filarów chwiejącej się dziś niemieckiej gospodarki. Siemens – jak poinformował „Financial Times", a za nim inne media (w Polsce sprawę omówił dokładnie portal Money.pl) – stanął na skraju bankructwa z powodu załamania jego spółki zależnej Siemens Energy, produkującej turbiny wiatrowe. W zamyśle miał on być lokomotywą nowej, „zielonej" gospodarki. Tymczasem okazało się, że zielona technologa przerosła Niemców – ogromna liczba awarii, reklamacji i kar umownych podkopała pozycję Siemensa, a do reszty zniweczyło ją wycofanie się wielu krajów – zwłaszcza Danii – z planów budowy wielkich „farm wiatrowych". W tej sytuacji uratować koncern mógł tylko jakiś nowy, duży kontrakt, jeszcze przed końcem roku. Na sumę, jak ocenił „Financial Times", co najmniej 4,5 mld euro. Czyli taką, jaką – według nieoficjalnych informacji – ma z odblokowanego KPO przeznaczyć Polska na nowe wiatraki.

Reasumując: Polska wspólnym wysiłkiem obu nienawidzących się politycznych plemion sprzedała swoją suwerenność za prawo do kupienia niemieckiego „zielonego" badziewia, które nie jest jej do niczego potrzebne, na kredyt, który sama w przyszłości spłaci. I w dużej części jest szczęśliwa, że dostała od Europy prezent. Legendarna transakcja Rockefellera, który kupił bank za pieniądze z niego pożyczone, przy tym popisie niemieckiego sprytu i polskiej głupoty wydaje się niczym.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 1606071830

Na Zachodzie bez zmian

Piotr Semka

Stary ład związany ze znienawidzonym przez niemieckich polityków PiS-em przemija. Jaka jest więc nowa wizja relacji na linii Berlin – Warszawa?

Od ponad miesiąca w niemieckich mediach trwa fiesta. Dzienniki poświęcają wynikowi wyborów w Polsce i domniemanemu powrotowi do władzy Donalda Tuska ogromną liczbę materiałów. To jeden wielki festiwal radości i triumfu z wyraźnym życzeniem: „Aby było tak, jak było". A ściśle rzec biorąc, tak jak było do 2015 r.

To jednolita reakcja – od CDU do koalicji SPD-Zieloni-FDP. Co charakterystyczne, używane jest często określenie, że to „Polska wygrała". Tak jakby prawo do swoich przekonań politycznych mieli tylko wyborcy opozycji i tylko oni reprezentują polskość.

Część niemieckich publicystów przepowiadała, że PiS jest tak bardzo despotyczną partią, że być może nie odda władzy w sposób dobrowolny. Tak samo w bardzo arogancki sposób wręcz pouczano prezydenta Andrzeja Dudę, że ma bez najmniejszej zwłoki powierzyć misję tworzenia rządu Donaldowi Tuskowi. „Andrzej Duda nigdy nie był bezpartyjnym prezydentem, a niechęć do Tuska determinuje jego działania" – pisał 19 listopada br. dziennik „Süddeutsche Zeitung".

Poważni, wydawałoby się, analitycy nawet nie wspominają w tekstach o procedurze wyłaniania szefa rządu zawartej w polskiej konstytucji. Niemiecki czytelnik, niezorientowany w zawiłościach polskiej ustawy zasadniczej mógł wręcz odnieść wrażenie, że powierzenie misji tworzenia rządu Mateuszowi Morawieckiemu jest jakimś bezprawnym aktem omijającym zasady konstytucyjne.

Stary ład związany ze znienawidzonym PiS-em przemija. Jaka jest więc nowa wizja relacji na linii Berlin – Warszawa?

TUSK JAKO „ANTYROSYJSKI JASTRZĄB"

Dobrym przykładem nowego myślenia jest napisany na zaproszenie dziennika „Die Welt" artykuł „Oś Paryż – Berlin – Warszawa to największa nadzieja na bezpieczeństwo Unii Europejskiej". Autorem jest redaktor naczelny północnoamerykańskiej edycji portalu Politico, Matthew Kaminski. Jak się zdaje, należy on do tego odłamu amerykańskiej opinii publicznej, który jest zdania, że w obliczu zagrożenia ze strony Rosji zaangażowana w konflikt ukraiński i bliskowschodni Ameryka musi spychać odpowiedzialność za bezpieczeństwo Europy na Berlin i Paryż.

Tusk jest w artykule komplementowany jako „jastrząb w sprawie Rosji". Kaminski twierdzi, że po aneksji Krymu w 2014 r. Tusk próbował nakłonić Angelę Merkel do podjęcia ostrzejszych działań. Dziś, gdy zagrożenie to jest o wiele widoczniejsze, Tusk wydaje się idealnym kandydatem do triumwiratu z Emmanuelem Macronem i Olafem Scholzem w celu stworzenia trójkąta bezpieczeństwa europejskiego. Co charakterystyczne, w opublikowanym 25 października tekście nie ma ani słowa o wkładzie rządu PiS-u w ponadstandardową pomoc Polski dla Ukrainy.

Frankfurter Allgemeine ZEITUNG FAZ.NET

POLEN RÜSTET AUF

Kritik an Waffenkäufen Warschaus

VON GERHARD GNAUCK, WARSCHAU · AKTUALISIERT AM 18.11.2023 · 20:12

Wegen der Bedrohung aus Russland hat die PiS-Regierung große Rüstungsvorhaben angestoßen. Doch es regt sich Kritik: Ein hoh sie habe mehr versprochen, als möglich und sinnvoll sei.

Polen ist bei den Ausgaben für Verteidigung zum Spitzenreiter im Nord geworden. Sowohl für das laufende Jahr als auch für 2024 hat die sch dafür etwa vier Prozent des Bruttoinlandsprodukts eingeplant, weit mehr geltende Minimum von zwei Prozent. Für die Jahre 2023 bis 2026 wurden

Wywiad z gen. Mirosławem Różańskim, senatorem Polski 2050 we „Frankfurter Allgemeine Zeitung", w którym były wojskowy odgrywa swój ulubiony show – krytykę zakupu dodatkowego uzbrojenia dla polskiej armii

Teoretycznie można by apel Matthew Kaminskiego wziąć za dobrą monetę. Gdyby nie pojawiające się co rusz w poważnych niemieckich dziennikach teksty zdradzające, że bynajmniej nie o maksymalną gotowość obronną wobec rosyjskiego zagrożenia tu chodzi. Oto dziennik „Frankfurter Allgemeine Zeitung" 19 listopada br. publikuje wywiad z gen. Mirosławem Różańskim, senatorem Polski 2050. Ten znajdujący się poza strukturami dowodzenia polskiej armii były wojskowy odgrywa swój ulubiony show – krytykę zakupu dodatkowego uzbrojenia dla polskiej armii. Różański lekceważąco tłumaczy zakupy „manią wielkości polityków PiS". Jak głosi: wizja największej armii lądowej jest hasłem populistycznym. W jego ocenie zapotrzebowanie na drony powinien określać Sztab Generalny Wojska Polskiego, a nie politycy. Irytuje go też to, że skoro kupuje się w Ameryce wyrzutnie HIMARS,

eprasa.pl 1606071830

Wyniki wyborów w Polsce uruchomiły w niemieckich mediach prawdziwy festiwal radości i triumfu

Niemieckie media w bardzo arogancki sposób wręcz pouczają prezydenta Andrzeja Dudę, że ma bez najmniejszej zwłoki powierzyć misję tworzenia rządu Donaldowi Tuskowi. „Andrzej Duda nigdy nie był bezpartyjnym prezydentem, a niechęć do Tuska determinuje jego działania" – pisał 19 listopada br. dziennik „Süddeutsche Zeitung"

to dlaczego jeszcze sprowadza się rakiety Chunmoo z Korei Południowej. Nawet w wypadku teoretycznie akceptowanych przez niego zakupów wyrzutni HIMARS przewiduje, że negocjacje oraz produkcja rakiet na potrzeby Polski potrwają kilka lat.

Co ciekawe, tekst zawierający wypowiedzi Różańskiego nie ma prawie żadnych pozytywnych postulatów. Jest tylko kręceniem nosem na zbyt duże i chaotyczne zakupy. Czy chodzi jednak wyłącznie o ocenę zamawiania broni w USA i w Korei? Ważny polityk PSL Marek Sawicki, wypowiadając się na łamach „Rzeczpospolitej" w kontekście objęcia przez ludowców resortu obrony: „Powinniśmy lokować swoje zakupy w Europie i uczestniczyć w produkcji. Nie wiemy też, ile tych kontraktów uda się renegocjować. Marnotrawimy potencjał europejski na rzecz USA".

Słowa marszałka seniora brzmią zaskakująco zgodnie z tezami zawartymi w projektach zmian w traktatach europejskich na rzecz stworzenia europejskich sił obronnych. Jeden z deputowanych sprawozdawców projektu nowego traktatu w Parlamencie Europejskim, Niemiec Sven Simon z CDU, jest zwolennikiem kontroli Komisji Europejskiej nad armiami państw unijnych. Polityk głosi, że Komisja powinna też nadzorować zakupy zbrojeniowe poszczególnych państw, bo – jak argumentuje – w Europie jest za dużo różnych rodzajów uzbrojenia.

Mamy więc do czynienia z sytuacją wręcz schizofreniczną. Z jednej strony bardzo opiniotwórcze Niemieckie Towarzystwo Polityki Zagranicznej (DGAP) ostrzega, że w ciągu 6–10 lat Rosja będzie zdolna do zaatakowania Europy, z drugiej zaś pojawia się idea tworzenia europejskiej armii, której budowanie wymagać będzie przynajmniej dekad. Trudno w tej sytuacji odpędzić od siebie myśl, że idea euroarmii zbudowana jest na nadziejach zaordynowania przez komisję brukselską ogromnych programów zakupowych w niemieckim i we francuskim przemyśle zbrojeniowym.

WRACA IDEA RELOKACJI

Kolejną nadzieją, która wyłania się z tekstów w niemieckich gazetach na temat powyborczej sytuacji w Polsce, jest przejęcie przez Polskę części ciężaru utrzymywania imigrantów w ramach jakiegoś systemu rozdzielania przybyszy z Azji i Afryki. Ma on być zresztą elementem nowego traktatu, w którego przeforsowanie niemieccy politycy wkładają wiele entuzjazmu. Pierwszą jaskółką zmian jest apel premiera Brandenburgii Dietmara Woidkego proponującego, aby niemiecka straż graniczna mogła operować na terenie Polski przy wyłapywaniu imigrantów zmierzających w kierunku granicy niemieckiej. Ta pozornie techniczna propozycja niesie jednak ze sobą poważne konsekwencje dla Polski. Jeśli niemieccy pogranicznicy, nawet w towarzystwie swoich kolegów z Polski, będą zatrzymywać ludzi przewożonych przez przemytników spod granicy czeskiej, słowackiej czy nawet białoruskiej, to wtedy Niemcy mogą żądać, aby to Polska gromadziła takie osoby w obozach, w których oczekiwałyby one na rozpatrzenie ich wniosków o azyl.

Jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki zmienia się też styl opisywania przez niemiecką prasę naporu imigrantów na granicy fińsko-rosyjskiej. Tamtejsze push-backi nie są komentowane jako przykład zezwierzęcenia pograniczników z Finlandii. W tym samym czasie na polskim portalu Krytyki Politycznej publicysta tego pisma Jakub Majmurek tak tytułuje swój wywiad z pomagającym migrantom aktywistą: „Nie da się od razu skończyć z push-backami". Nagle dowiedzieć się można, że są dwa typy wypychania imigrantów za granicę. Te haniebne, które miały miejsce za rządów PiS, i te, „z którymi nie da się od razu skończyć". Które jakby zapowiadały przejęcie przez przyszły rząd Donalda Tuska kontroli nad granicą. Na domiar w trakcie spotkania przedstawicieli samorządów z rejonu Morza Bałtyckiego przedstawiciele Sejmiku Województwa

eprasa.pl 1606071830

Zachodniopomorskiego (dominacja PO) podpisali się pod dokumentem wzywającym do całościowego uregulowania kwestii imigrantów poprzez koordynację działań wszystkich państw unijnych.

NIEZWYKLE WYGODNY SOJUSZNIK

Wygrana koalicji partii opozycyjnych pod wodzą Donalda Tuska przyszła jak prawdziwy prezent w najbardziej kluczowym dla Niemców momencie. Polska pod rządami PiS-u była największym państwem przeciwstawiającym się pomysłom federalizacji i ogólnego rozdziału imigrantów między kraje europejskie. Dodatkowo była jedynym krajem, który na szerszą skalę wcielił w życie politykę specjalnych relacji z USA na polu polityki zagranicznej i obronnej. Do tej pory rządy państw bałtyckich i Rumunii, wspierające po cichu taką politykę polskiej prawicy w tworzeniu antyrosyjskiej bariery od Tallina, poprzez Ukrainę, do Bukaresztu, chowały się za plecami dużej Polski. Teraz, gdy do władzy dojdzie Donald Tusk, wszystkie te kraje będą o wiele słabsze i mniej zdecydowane w opieraniu się na Amerykanach.

W to miejsce będzie wchodzić nowa doktryna sformułowana przez szefa obrony Niemiec Borisa Pistoriusa, w której myśl to Niemcy wezmą na siebie główną rolę w dziele obrony Europy przed Rosją. Projekt ten oczywiście zazębia się z politycznym projektem federalizacji Unii Europejskiej. Jednak Niemcy, które w ciągu ostatniej dekady wykazały słabość swojej armii, gotowe są do szybkiego zrealizowania takich ambitnych zamierzeń.

Ale obok tych dwóch strategicznych zamiarów federalizacji Europy i wyznaczenia Bundeswehrze roli głównej siły odstraszania Rosjan Niemcy zdają się przygotowywać do wykorzystania rządów Tuska dla dwóch czysto partykularnych celów – przerzucenia na Polskę trudu uporania się z imigrantami oraz skłonienie Warszawy do zakupów zbrojeniowych w niemieckich (a być może i we francuskich) fabrykach.

JAK BARDZO MIĘKKI BĘDZIE TUSK

Korespondent „Die Welt" w Warszawie Philipp Fritz w tekście z 17 listopada stara się subtelnie łagodzić zbyt wygórowane nadzieje. „Także polski pro-Europejczyk jest w kwestii polityki migracyjnej betonowo twardy". Fritz pisze: „W Berlinie i Brukseli panuje ogromna ulga – po ośmiu latach PiS traci władzę w Polsce. Jednak nadzieja, że znaleźliśmy teraz łatwego partnera w polityce migracyjnej, jest złudna. W porównaniu z Niemcami nowa partia rządząca jest także znacznie ostrzejsza w kwestii azylu [...]. Oczekiwania Manfreda Webera, lidera FDP, który objął swoje stanowisko bezpośrednio po Tusku, nie odpowiadają realiom polskiego systemu partyjnego [...]. Weber i jego współpracownicy zakładają, że Tusk będzie wygodnym partnerem w najważniejszych europejskich kwestiach, takich jak polityka klimatyczna, energetyczna czy migracyjna. Wiele wskazuje, że Weber może się mylić. Nie tylko PiS, który nadal jest u władzy, lecz także PO i PSL są pod wieloma względami zorientowane przeciw migracji. Pytanie, jak wyglądać będzie polityka kandydata na przyszłego premiera".

Tusk prawdopodobnie będzie grał w negocjacjach z Berlinem swoim statusem najlepszej opcji nad Wisłą. Nie omieszka przypominać niemieckim partnerom, że nie może być zbyt ugodowy, bo natychmiast wskrzesi to jego stereotyp polityka uległego wobec Berlina. Już teraz Tusk mówi, że nie akceptuje zmian traktatowych. Czy stoi jedna za tym jakaś głębsza determinacja? Jeśli chce on tworzyć rząd razem z Lewicą i Trzecią Drogą, to dlaczego nie postawił głosowania w Brukseli jako jednej z najważniejszych kwestii dotyczących przyszłej kolaicji? Tymczasem eurodeputowani Lewicy i Hołowni wsparli projekt zmian w traktacie. Wielu politycznych i publicystycznych zwolenników Tuska nad Wisłą uznaje akceptowanie propozycji Berlina za element swojej tożsamości. Liczne posłanki Lewicy już deklarują, że Polska powinna przyjmować imigrantów w ramach wewnątrzunijnej redystrybucji. Były minister rządu Tadeusza Mazowieckiego Waldemar Kuczyński wzywa do szybkich zmian w traktatach unijnych, według życzeń Berlina i Paryża: „Nie wierzcie temu, co mówi kurwizja o projekcie reformy unii. Jak zawsze kłamią i szczują. Ta reforma zwiększa możliwości wpływania krajów mniejszych na tok spraw Unii. Pod warunkiem, że potrafi się zawierać koalicje, że jest się partnerem, a nie pieniaczem".

Oczywiście wiadomo, że cały publicystyczny klub kibica PO bez szemrania podporządkuje się temu, co głosi wielki Donald. Ale ten w grze z Berlinem i Paryżem będzie starał się prowadzić wyrafinowaną grę.

W „Gazecie Wyborczej" Jacek Żakowski wprost puszcza oko do zwolenników PO, że sprzeciw Tuska wobec zmian traktatowych to wyłącznie taktyka. Żakowski pisze: „Wierzę, że Donald Tusk, który ma silną pozycję w Brukseli, za kulisami przekona unijnych liderów, iż jego decyzja to chwilowy wynik wewnątrzpolskiej taktyki, bo ze zmian traktatowych PiS chce zrobić sobie paliwo na przyszłoroczne wybory samorządowe i europejskie".

Na sytuację Polski w Europie wpłynie w negatywny sposób w ciągu najbliższego roku sytuacja w Ameryce. Prezydent Joe Biden biedzący się z ciężarem pomocy dla Ukrainy i Izraela będzie bardzo ostrożny w relacjach z Niemcami. A wygrana Donalda Trumpa wzmocni nastroje antyamerykańskie w Europie. Naprawdę ciekawe pytanie jednak brzmi: Jak Niemcy faktycznie przewidują wystudzenie wojny ukraińsko-rosyjskiej? Bardzo możliwe, że chcą wrócić znów do formatu normandzkiego, w którym monopol na negocjacje miałyby Ameryka, Rosja, Niemcy i Francja. A tuż po zawarciu – choćby najbardziej ogólnego – pokoju niemiecki przemysł będzie postulował o wznowienie kooperacji z Moskwą.

Niemcy mogą udzielić Ukrainie obietnice patronatu. Ale czy są zdolne do zmobilizowania całej Europy na przygotowanie się na ewentualny nowy wybuch imperializmu Kremla? Niestety, nic nie wskazuje, by Niemcy były zdolne do stworzenia porównywalnej machiny wojennej jak ta, którą dysponuje Ameryka. Bardziej prawdopodobne jest opowiadanie o Zeitenwende, czyli zwrocie ku budowaniu silnej Bundeswehry przy jednoczesnym wyglądaniu, czy z Rosją się nie da znów wznowić wymiany gospodarczej na poziomie sprzed 2022 r.

Dla Polski i innych państw frontowych będzie to wizja ciągłego zagrożenia ze strony Kremla. Państwa rosyjskiego, które czuje się wobec Ukrainy zwycięzcą i panem sytuacji. Jeśli więc Ameryka zacznie oddawać Niemcom odpowiedzialność za bezpieczeństwo naszego kontynentu, to szczególnie przy rządach Tuska czekać nas może wieczny ból głowy. Lęku o to, że Rosja uderzy ponownie. A sama Europa bez Ameryki takiej agresji może się nie oprzeć.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 1606071830

TANI PARKING

WYGODNY DOJAZD

DARMOWY BUS

CIAO RADOM, CIAO RZYM

LOTNISKO WARSZAWA-RADOM

KOMFORT NA STARCIE

LEĆ NA NEKERA.PL

NEKERA

eprasa.pl 160607

FOT. RADEK PIETRUSZKA/PAP

Z Janem Krzysztofem Ardanowskim, przewodniczącym Rady do spraw Rolnictwa i Obszarów Wiejskich przy Prezydencie RP, byłym ministrem rolnictwa
rozmawia Ryszard Gromadzki

PiS musi wymyślić się na nowo

RYSZARD GROMADZKI: Prawo i Sprawiedliwość wyciąga właściwe wnioski po przegranych wyborach?

JAN KRZYSZTOF ARDANOWSKI: To pytanie, które trzeba postawić kierownictwu Prawa i Sprawiedliwości. Analizując sytuację w Europie, bardzo się martwię, że PiS traci w Polsce władzę. To wszystko, co dzieje się Brukseli, zapowiedź zmian w traktatach unijnych, które bardzo przyspieszyły, tak jakby czekano na rozstrzygnięcie wyborów w Polsce. Bo cokolwiek by powiedzieć o rządach PiS, to Polska była jednym z nielicznych dużych krajów Unii, który chciał ratować jej federacyjny charakter.

Tymczasem zmiany, o których mówię, prawdopodobnie będą wprowadzane w życie już w pierwszym półroczu przyszłego roku, jeszcze przed czerwcowymi wyborami do Parlamentu Europejskiego. Oznaczają one koniec suwerennych państw, które dysponowały prerogatywami gwarantującymi im niezależność.

Do tej pory zasadą było to, że to kraje członkowskie mogły przekazać część swoich kompetencji do Brukseli. Teraz będzie odwrotnie – z kompetencji, którymi będzie dysponowała Bruksela jako superpaństwo, będzie mogła jakieś „ogryzki" przekazać krajom członkowskim.

Dla mnie utrata władzy przez PiS ma konsekwencje dramatyczne. Nie chodzi tylko o naszą sytuację wewnętrzną związaną z obawami dotyczącymi nowego rządu, lecz także o kontekst europejski. Od dnia wyborów stawiam sobie pytanie, czy PiS wyciągnie wnioski z tego, co wydarzyło się 15 października. Czy właściwie identyfikuje przyczyny, z których powodu wynik wyborczy był gorszy niż zakładano? Moim zdaniem lepszy o kilka procent wynik wyborczy był w naszym zasięgu.

Uważam, że jeżeli ugrupowanie, do którego należę od 22 lat, ma nadal istnieć i mieć nadzieję na odzyskanie kiedyś władzy w Polsce – a pewnie nie nastąpi to szybko – to wnioski z ostatnich wyborów muszą być bardzo dokładnie przeanalizowane. PiS musi wymyślić się na nowo. Czy w partii jest taka refleksja? Ja jej na razie nie widzę.

Czy rzeczywiście słuchano głosów różnych grup społecznych? Czy przyjęto jakąś ideę wyborów, oczywiście zatwierdzoną przez kierownictwo PiS, która miała zapewnić zwycięstwo? Dlaczego zabrakło przekonującej oferty dla ludzi młodych, a i to, co było dla nich korzystne w naszej polityce, nie dotarło do nich z powodów komunikacyjnych, nieradzenia sobie z głównymi kanałami dotarcia, którymi są media społecznościowe? W ciągu ośmiu lat naszych rządów pojawiło się osiem nowych roczników wyborców. Z takim samym efektem, jak straszenie Tuskiem, można było ich straszyć Smokiem Wawelskim.

Premier Morawiecki powiedział ostatnio, że główną przyczyną wyborczej porażki PiS było podważenie tzw. kompromisu aborcyjnego poprzez

eprasa.pl 1606071830

skierowanie do Trybunału Konstytucyjnego wniosku o zbadanie zgodności z konstytucją przesłanki eugenicznej. Czy odcinanie się od konserwatywnej tożsamości przez PiS nie jest drogą do samounicestwienia? Czy to przeważyło szalę wyborów na korzyść opozycji?

Nie sądzę. Mam w tej sprawie odmienne zdanie niż premier. Głosowałem świadomie, zgodnie z moim sumieniem, za niezabijaniem dzieci nienarodzonych z powodów eugenicznych. Tak jestem wychowany. Takie jest moje najgłębsze przeświadczenie. Jest inne pytanie: Czy należało dotykać kompromisu aborcyjnego? Jednak próba przerzucenia odpowiedzialności za to na grupę posłów, a szczególnie okładany kijem jest tu poseł Bartłomiej Wróblewski, jest nieuczciwa. Przecież cała ta inicjatywa dokonała się za zgodą kierownictwa Prawa i Sprawiedliwości. To nie był wyskok jakiejś samozwańczej grupy posłów.

Czy zgodzi się pan z tym, że jeden z obszarów, newralgiczny dla PiS, został w kampanii wyborczej odpuszczony? Myślę o wsi. PiS zapłacił za to bardzo wysoką cenę.

Mam wielki żal, niezależnie od pomruków, które to wywołuje w PiS w sprawie nielogiczności oferty wyborczej dla polskiej wsi, w szczególności wobec rolnictwa. Także tu nie ma refleksji, a wręcz słyszę o wielkim poparciu dla naszej partii na polskiej wsi. To nie jest prawdą. Tylko pewnie wyjdzie, że za wszystko odpowiadają nie konkretni politycy z nadania PiS, ale krasnoludki.

Ja zajmuję się tym całe życie. I nie jest to żadna megalomania z mojej strony, jeśli powiem, że wiem, czuję i rozumiem, czego oczekują rolnicy. Co dla nich jest istotne, a co będą traktowali wyłącznie jako kiełbasę wyborczą. Rolnicy do końca kampanii oczekiwali propozycji związanych z zapewnieniem trwałości ich gospodarstw i opłacalności swojej produkcji. A co dostali? Przekaz, że będą dotacje do wszystkiego. Oni w to nie uwierzyli, bo znaczna część tych dotacji do wyborów nie wpłynęła.

Ponadto dotacje powodują niechęć innych grup społecznych do rolników, których „miasto" postrzega jako ludzi tylko wyciągających ręce po pieniądze. Ludzie na wsi oczekiwali uczciwości ze strony PiS, pewnego stanięcia w prawdzie w sprawach, które były – z punku widzenia wsi – błędem. Z wizerunkowego punku widzenia, a także ze względu na dramatyczne komplikacje na rynkach rolnych, uderzające w podstawy bytu ekonomicznego polskich gospodarstw, trzeba było jednoznacznie uznać, że otwarcie na zalanie Polski surowcami rolnymi z Ukrainy było wielkim błędem. Także nieopublikowane informacji o firmach, które zarobiły fortuny na tym procederze, o co prosiłem, wręcz błagałem ministra rolnictwa, co byłoby papierkiem lakmusowym czystych rąk i intencji PiS wobec rolników, zostało odrzucone. Minister rolnictwa, lękliwy i przez kogoś nastraszony, nie chciał takiej decyzji podjąć. Inni też nie. A chłopi do ostatniej chwili czekali. A czego się doczekali? Ano przekazu o mitycznych dotacjach „do wszystkiego".

W PiS panowało przekonanie świadczące o całkowitym nierozpoznaniu nastrojów wśród rolników, że jak na wieś dosypie się pieniędzy przed wyborami, to wieś zagłosuje jak trzeba. No nie zagłosowała. Są na to twarde dane. W gminach do 5 tys. mieszkańców, a to jest większość rolniczych gmin w Polsce, PiS stracił w stosunku do wyborów w 2019 r. 410 tys. głosów. W gminach od 5 do 10 tys. mieszkańców nasze poparcie było mniejsze o 185 tys. głosów. W porównaniu z wyborami w 2019 r. straciliśmy na wsi ok. 600 tys. głosów. Mówię o ponad 19-procentowym spadku w stosunku do wyborów parlamentarnych cztery lata temu. A prawdziwa przepaść jest w stosunku do wyborów prezydenckich w roku 2020, gdzie ogromne poparcie wsi dało zwycięstwo.

Teraz również głosy wsi, które były do zdobycia, mogły – według wszelkich analiz – dać PiS zwycięstwo i możliwość kontynuowania władzy, ale wieś została zlekceważona. Nie przypisuję sobie zdolności profetycznych, jednak przestrzegałem przed takim scenariuszem wiele razy, również w rozmowach z panem na łamach „Do Rzeczy".

Czy Polska pod rządami nowej koalicji doświadczy „efektu Zapatero"? Za kilka lat wielu z nas może nie poznać własnego kraju?

Modlę się, żeby do tego nie doszło, ale niestety to realny scenariusz. Mamy do czynienia z ewidentnym wahnięciem nastrojów społecznych w stronę lewicy. W polityce krajów Europy dominuje myślenie lewicowe czy wręcz lewackie. Na domiar złego mamy teraz stać się jedną z prowincji superpaństwa, które będzie narzucało wizję polityczną, kulturę, światopogląd.

W Polsce generalnie Lewica jest przegranym tych wyborów. Ma za mało mandatów, żeby forsować najbardziej radykalne propozycje w rodzaju pełnej legalizacji aborcji czy tzw. małżeństw jednopłciowych i adopcji przez nie dzieci. Jednakże propozycje Lewicy przejęła Platforma Obywatelska.

Kiedyś miałem w Platformie przyjaciół, myślących o Polsce, ludzi centrowych i prawicowych. Już zostali stamtąd przegnani. Przez Tuska Platforma stała się dziś formacją całkowicie lewicową.

Pewne nadzieje pokładam w PSL, choć nie mam pewności, czy nie okażą się płonne. PSL mimo wszystko jest partią środka, formacją zdroworozsądkową. Owszem, partią po przejściach, w przeszłości mocno okładaną kijem przez Prawo i Sprawiedliwość, które teraz próbuje machać w ich stronę gałązką oliwną. Mimo wszystko upatruję w nim tamy przeciwko lewicowej aberracji, która jest wszędzie forsowana.

Z kolei PiS nie może się zabetonować. Nie może stać się „totalną opozycją" à rebours. To droga donikąd, która oznacza autodestrukcję. Trzeba rozmawiać ze społeczeństwem, nie tylko boczyć się na tych, którzy przejęli władzę. Trzeba stanąć wobec ludzi w prawdzie. Przedstawiać pomysły. Trochę szkoda, że po wyborach pojawiły się propozycje, które wydają się trafiać w oczekiwania społeczne. Dlaczego propozycje, które formułuje teraz Morawiecki, nie pojawiły się przed wyborami? Znowu mądry Polak po szkodzie?

Mleko się rozlało. Jeżeli prawica ma przetrwać, jeżeli ma być siłą, która jest potrzebna nie tylko nam, w Polsce, lecz także w zjednoczonej Europie, to trzeba wyciągnąć właściwe wnioski z tego, co się wydarzyło. Znaleźć pomysły, jak ratować konserwatywny w sensie ideowym, osadzony w chrześcijańskiej tradycji nurt polityczny, powiązany – jak sądzę – z liberalnym nurtem w gospodarce. Konserwatywno-liberalny kierunek jest moim zdaniem jedynym wyjściem dla polskiej prawicy.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 1606071830

Czy WHO zagraża naszej suwerenności?

Mariusz Jagóra

Światowa Organizacja Zdrowia próbuje przeforsować regulacje, które odbiorą państwom członkowskim możliwość podejmowania własnych decyzji dotyczących zdrowia obywateli

W następstwie kryzysu związanego z COVID-19 Światowa Organizacja Zdrowia (WHO) zainicjowała w 2021 r. proces reform, które będą miały istotny wpływ na życie każdego obywatela 194 państw członkowskich. Obejmuje on przygotowanie dwóch odrębnych instrumentów prawnych: pierwszy to całkowicie nowy Traktat Pandemiczny, a drugi to znaczące zmiany w Międzynarodowych Przepisach Zdrowotnych (IHR).

W przypadku przystąpienia Polski do umowy, która przekazuje kompetencje organów władzy państwowej do organizacji międzynarodowej (a tak stanowią zapisy projektu traktatu), zastosowanie ma art. 90 Konstytucji RP, wymagający ratyfikacji takiej umowy na zasadach określonych w tym artykule. Za to wprowadzenie zmian w istniejących przepisach nie rodzi obowiązku ratyfikacji i może się odbyć na poziomie decyzji administracyjnych, bez debaty i konsultacji.

W przyjętej przez WHO rezolucji, która zapoczątkowała negocjacje, wezwano państwa członkowskie do „podjęcia wszelkich odpowiednich środków w celu rozważenia potencjalnych zmian Międzynarodowych Przepisów Zdrowotnych, przy założeniu, że nie doprowadzi to do ponownego otwarcia całego instrumentu do renegocjacji". Zgodnie z art. 21 konstytucji WHO, jeśli państwa członkowskie nie wniosą zastrzeżeń do proponowanych zapisów, to nastąpi ich automatyczne wejście w życie, pod koniec maja 2025 r. Początkowo zmian było stosunkowo mało, jednak teraz ich liczba – 307 wykreśleń, zmian oraz dodanie nowych zapisów – powoduje, że mamy do czynienia z całkowicie nowym dokumentem.

CO NAM GROZI?

WHO dąży do zmiany charakteru Światowej Organizacji Zdrowia z ciała doradczego, które wydaje zalecenia, na organ zarządzający, którego decyzje będą prawnie wiążące; rości sobie prawo do absolutnego i niekwestionowanego przywództwa we wszystkich decyzjach związanych ze zdrowiem, ale nie tylko. Na podstawie niezwykle niejasnej koncepcji „Jedno Zdrowie", w której zawierają się zdrowie zwierząt, ekosystem, obawy o poziom CO_2 i zdrowie ludzkie, WHO będzie mogła ogłosić wprowadzenie stanu zagrożenia zdrowia publicznego o zasięgu międzynarodowym oraz utrzymywać go tak długo, jak uzna to za stosowne.

W takiej sytuacji WHO uzyska uprawnienia do wydawania prawnie wiążących zaleceń, które wprowadzą system totalnego nadzoru nad ludźmi, zapewnią monopol na informacje, w tym prawo do cenzury debaty naukowej i do ingerowania w komunikację społeczną, będzie mogła nakładać na mieszkańców państw członkowskich wszelkiego rodzaju ograniczenia, jak zakaz przemieszczania się i podróżowania, kwarantannę, lockdown oraz narzucać eksperymentalne metody leczenia.

W Załączniku 6. regulacji WHO dopuszcza w przypadku ogłoszenia stanu zagrożenia zdrowia publicznego o zasięgu międzynarodowym scenariusz szczepień z wykorzystaniem produktów znajdujących się jeszcze w fazie badań. Co gorsza, nie przewidziano żadnego mechanizmu, który pozwoli obywatelom lub państwom członkowskim zakwestionować ocenę WHO, niezależnie od tego, czy jest to ocena dotycząca stanu zagrożenia zdrowia publicznego czy niektórych nakazanych środków, jak narzucenie reżimu szczepień eksperymentalnymi szczepionkami.

W tej sprawie ostrzeżenia płyną nawet z wewnątrz WHO. Przemawiając do członków Parlamentarnej Grupy ds. Reagowania na Pandemię i Odbudowy, dr David Bell, lekarz kliniczny, specjalista do spraw zdrowia publicznego z tytułem doktora w tej dziedzinie i były urzędnik naukowy i medyczny WHO, oraz prof. Garrett Wallace Brown z katedry globalnej polityki zdrowotnej na Uniwersytecie w Leeds, a także dyrektor Centrum Współpracy Światowej Organizacji Zdrowia w zakresie systemów opieki zdrowotnej i bezpieczeństwa zdrowotnego, ostrzegli, że proponowany przez Światową Organizację Zdrowia Traktat Pandemiczny i poprawki do Międzynarodowych Przepisów Zdrowotnych (IHR), jeśli zostaną przyjęte, mogą dać międzynarodowemu organowi

eprasa.pl 1606071830

FOT. ADOBE STOCK

doradczemu do spraw zdrowia bezprecedensowe uprawnienia do ogłaszania pandemii i nakazu szczepień, z mocą prawa międzynarodowego, a także uprawnienia do nakazu ponoszenia znacznych wkładów finansowych przez państwa członkowskie.

Według dr. Bella szczególnie niepokojące są poprawki do IHR, które przewidują niebezpieczny wzrost władzy i uprawnień przyznanych tylko jednej osobie. Dyrektor generalny WHO będzie mógł ogłaszać stany zagrożenia zdrowia, rzeczywiste lub potencjalne, w każdej sprawie związanej ze zdrowiem, którą pod wpływem swoich prywatnych i korporacyjnych sponsorów uzna za zagrożenie, i wydawać prawnie wiążące wytyczne państwom członkowskim i ich obywatelom. W świetle katastrofalnych szkód, które polityka WHO spowodowała podczas ostatniej pandemii COVID-19, prawdopodobnie większych niż sam wirus, nie można lekceważyć potencjalnych szkód gospodarczych i zdrowotnych związanych z taką władzą.

WHO jest instytucją, w której występuje olbrzymi konflikt interesów. Jest infiltrowana przez firmy farmaceutyczne i światowe fundacje oraz korumpowana przez darowizny finansowe od korporacji i organizacji pozarządowych, które wpływają na politykę WHO tak, żeby była dla nich korzystna. WHO wykonuje polecenia tzw. istotnych interesariuszy, ignorując potrzeby i pragnienia zwykłych ludzi.

CO NA TO POLSKIE WŁADZE?

W ocenie polskiego Ministerstwa Zdrowia procedowane poprawki do Międzynarodowych Przepisów Zdrowotnych nie stanowią zagrożenia dla podstawowych praw i wolności ludzi oraz suwerenności państw członkowskich. Jednocześnie – jak informuje Dorota Rodziewicz ze stowarzyszenia Nauczyciele dla Wolności, w odpowiedzi na zadane przez stowarzyszenie, w trybie dostępu do informacji publicznej pytanie – ministerstwo przyznaje, że nie dysponuje tłumaczeniem na język polski proponowanych zmian, nie dysponuje także żadnymi analizami dotyczącymi zgodności proponowanych poprawek z konstytucją i innymi przepisami prawa polskiego. Twierdzi natomiast, że poprawki są na bieżąco oceniane przez ekspertów.

Kim są ci eksperci? Jakie mają kompetencje? Czy nie budzą ich niepokoju próby znacznego rozszerzenia zakresu Międzynarodowych Przepisów Zdrowotnych o scenariusze, które jedynie „potencjalnie mogą mieć wpływ na zdrowie publiczne"? Czy zgadzają się na rozszerzenie zakresu obowiązywania regulacji z tych ograniczonych do „ryzyka dla zdrowia publicznego" na „wszystkie zagrożenia, które mogą mieć wpływ na zdrowie publiczne"? Jaka, zgodnie z analizą pracowników MZ, jest definicja „wszystkich zagrożeń"? Czy zmiany klimatyczne mieszczą się w tej kategorii? Czy polskie władze akceptują – i jeśli tak, to jak to uzasadniają – wykreślenie zapisu, który gwarantuje, że wdrożenie przepisów będzie następowało „z pełnym poszanowaniem godności, praw człowieka i podstawowych wolności osób"? Wiele podobnych pytań można znaleźć na prowadzonej przez Dorotę Rodziewicz stronie Stopwho.pl.

Artykuł 18. nowych regulacji nadaje WHO uprawnienia do wymagania badań lekarskich, okazywania na żądanie dowodu profilaktyki, dowodu szczepień, daje możliwość śledzenia kontaktów, wprowadzenia nakazu kwarantanny i leczenia, umożliwia wdrożenie systemu globalnych świadectw zdrowia w formacie cyfrowym lub papierowym, zawierających zaświadczenia o testach, szczepionkach, o profilaktyce, o powrocie do zdrowia, formularze lokalizacji pasażerów i oświadczenie o stanie zdrowia podróżnego. Załącznik 1 przewiduje rozszerzenie zdolności Światowej Organizacji Zdrowia do cenzurowania tego, co uważa za błędne informacje czy dezinformację, a to jest w sprzeczności z art. 54 Konstytucji Rzeczypospolitej Polskiej.

Czasu jest coraz mniej. WHO chce skrócić termin na składanie zastrzeżeń forsowanych zmian. Jeśli do 1 grudnia 2023 r. żaden z członków WHO nie zaprotestuje przeciwko nowym zapisom, to zmiana art. 59 skróci czas wejścia w życie przyszłych zmian przepisów z obecnie obowiązujących 24 miesięcy do 10 miesięcy.

Zmiany w Międzynarodowych Przepisach Zdrowotnych to próba wprowadzenia regulacji odbierających państwom członkowskim suwerenność podejmowania decyzji dotyczących zdrowia własnych obywateli, bez wiedzy oraz zgody parlamentu i społeczeństwa.

Ale jest nadzieja, bo niektórzy posłowie nowego parlamentu rozumieją zagrożenie. Grzegorz Płaczek wraz z posłami Włodzimierzem Skalikiem i Konradem Berkowiczem 15 listopada 2023 r. weszli do gmachu resortu zdrowia. Wręczyli Ewie Nowackiej, dyrektor departamentu współpracy międzynarodowej, pismo zawierające 16 pytań związanych ze stanowiskiem Polski w sprawie negocjowanych zmian w Międzynarodowych Przepisach Zdrowotnych. Posłowie złożyli też drugie pismo, w którym poprosili o udostępnienie m.in. kopii całej korespondencji pomiędzy stroną polską a WHO w kwestii prowadzonych negocjacji, posiadanych ekspertyz, opinii i wyników konsultacji oraz podanie podstawy prawnej, w oparciu o którą władze Rzeczypospolitej Polskiej upoważniły Unię Europejską do reprezentowania naszego kraju w pracach nad zmianami przepisów zdrowotnych WHO.

Buduje się coraz mocniej świadomość obywatelska. Wiele stowarzyszeń, fundacji i grup obywatelskich spotka się przed siedzibą Ministerstwa Zdrowia na proteście społecznym, który odbędzie się 1 grudnia 2023 r. o godz. 12, w ostatnim dniu, kiedy Polska może zgłosić swój sprzeciw do poprawek w Międzynarodowych Przepisach Zdrowotnych (IHR 2005). Wydarzenie koordynuje fundacja Polskie Veto, która na stronie wydarzenia zaprasza do grona współorganizatorów wszystkie organizacje, które rozumieją zagrożenie i popierają protest. Kiedy podobna świadomość zbuduje się wśród przedstawicieli mediów głównego nurtu i czy odważą się zrelacjonować problem?

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 1606071830

Niepokorna

Zuzanna Dąbrowska

W kwestiach ideologicznych na lewo od niej jest już tylko ściana. Nie boi się wyrazić zdania odmiennego od kolegów z koalicyjnej Platformy Obywatelskiej, a były szef SLD Leszek Miller wręcz jej nie znosi. Anna Maria Żukowska z Lewicy to jedna z najbarwniejszych postaci lewej strony polskiego Sejmu

FOT. MICHAŁ ŻEBROWSKI/EAST NEWS

Miałam tę żyłkę już w liceum. Jako nastolatka byłam na pierwszej Manifie, byłam na pierwszej Paradzie Równości" – tak o początkach zainteresowania światem polityki opowiadała Anna Maria Żukowska w wywiadzie dla magazynu środowiska LGBT „Replika". „Do wstąpienia w szeregi SLD skłoniło mnie to, co działo się w Polsce po katastrofie smoleńskiej. 2010 rok. Nie mogłam znieść tego naparzania się dwóch konserwatywnych ugrupowań: PO i PiS-u. Chciałam krzyczeć, że jest trzecie wyjście. SLD było dla mnie naturalnym wyborem, to parta najbliższa moim poglądom, na którą zawsze głosowałam. Zaczęłam od młodzieżówki" – opowiada.

Urodzona w Warszawie, dziś 40-letnia poseł Nowej Lewicy ukończyła licencjat z anglistyki, ma też tytuł magistra prawa. W 2016 r. została rzecznikiem SLD (wcześniej piastowała funkcję wiceprzewodniczącej regionu mazowieckiego) i od tego czasu zaczęło być o niej głośno. Trzy lata wystarczyły, aby zbudować ogólnopolską rozpoznawalność i w 2019 r. zdobyć mandat poselski. Wcześniej Żukowska dwukrotnie bez powodzenia startowała w wyborach samorządowych.

Do 2021 r. pełniła funkcję rzecznika SLD. Usuwaniu jej z funkcji towarzyszyły spore kontrowersje. Oficjalnym powodem była decyzja Zarządu Sojuszu Lewicy Demokratycznej, wedle której urzędujący poseł nie może jednocześnie sprawować funkcji rzecznika partii. W kuluarach mówiło się jednak, że Żukowska zaszkodziła sobie wypowiedzią na temat konieczności wpisania do katalogu szczepień obowiązkowych szczepienia przeciw COVID-19. – Szczepienia są od kilkuset lat skuteczną metodą walczenia z wirusami, zarazami – argumentowała. Według ówczesnych władz SLD wyszła przed szereg. Odebranie Żukowskiej stanowiska nie sprawiło jednak, że stała się bardziej pokorna.

„OSOBISTY WRÓG" MILLERA

W październiku 2021 r. Wiosna i SLD oficjalnie złączyły się w Nową Lewicę. Wcześniej, w marcu, z Sojuszu odszedł jego wieloletni lider, Leszek Miller. „Nigdzie nie przechodzę i nie życzę sobie być gdziekolwiek wcielany; nie ja opuszczam SLD, ale SLD opuszcza mnie […]. Mamy być masą spadkową, którą można swobodnie przerzucić do zapowiadanej partii Biedronia i Czarzastego" – mówił gorzko. Wtedy już medialny konflikt Anny Marii Żukowskiej z byłym premierem trwał w najlepsze. Jego geneza do dziś pozostaje niejasna, choć prawdopodobnie Miller miał za złe, że stanęła po stronie Włodzimierza Czarzastego. „Pan to jest jednak bezczelny" – napisała kiedyś Żukowska o Millerze. Z kolei on, komentując przed laty jedną z wypowiedzi Żukowskiej, stwierdził, że „w jej przypadku milczenie nie jest złotem, a szansą". Polityk Lewicy wprost przyznała, że „nie jest tajemnicą", iż jest „osobistym wrogiem" Millera.

Wprawiona w twitterowych dyskusjach Anna Maria Żukowska pokazała swój charakter już w pierwszych dniach po wyborach z 15 października. Nie było jeszcze oficjalnie koalicji, a parlamentarzystka (uzyskała reelekcję) już nie gryzła się w język w wymianach razów i nie patyczkowała się z przedstawicielami PSL. Powód? Aborcja. Władysław Kosiniak-Kamysz stał na stanowisku, że kwestie światopoglądowe nie mogą być przedmiotem umowy koalicyjnej. Tymczasem niepełniąca w klubie Lewicy żadnego decyzyjnego stanowiska Żukowska stwierdziła,

eprasa.pl 1606071830

że jeżeli ludowcy chcą zapisać w umowie sprawy ważne dla siebie, to będą musieli się zgodzić na aborcję. „Z kim pani Żukowska wpisze sobie te kwestie światopoglądowe w umowę koalicyjną?" – pytał kąśliwie rzecznik PSL, Miłosz Motyka. „Światopogląd to szerokie pojęcie i równie dobrze można powiedzieć, że dotyczy np. obecności Polski w UE czy NATO. Więc tak, wpiszemy nasz ŚWIATOPOGLĄD do umowy" – odparła poseł Lewicy. Dziś wiemy, że tak się nie stało.

Światopogląd jest dla Anny Marii Żukowskiej niezwykle istotny. „Najpilniejszą sprawą wydaje mi się zapewnienie podstawowego bezpieczeństwa osób LGBT+. Podświetlenie Pałacu Kultury i Nauki na tęczowo w dniu Parady jest bardzo ważne symbolicznie, daje nam widoczność, ale realna poprawa bezpieczeństwa jest jeszcze ważniejsza" – przekonywała.

Żukowska sama była w komitecie organizacyjnym Parady Równości, domaga się „równości małżeńskiej" dla homoseksualistów, postuluje ułatwienia w kwestii zmiany płci, chce wprowadzenia w szkołach edukacji seksualnej, a środki przeznaczane na nauczanie religii przekazałaby na lekcje angielskiego. Sama jest biseksualistką. „Po raz pierwszy zakochałam się w czasach liceum. W dziewczynie. To był szalony, burzliwy związek! A potem zakochałam się w chłopaku i zobaczyłam, że uczucie jest takie samo" – mówiła „Replice". Dziwić nie powinna jej mająca w sobie elementy teorii spiskowej opinia na temat Instytutu Ordo Iuris: „To jest katolicka ośmiornica, działająca w wielu krajach Europy, z powiązaniami w wielu środowiskach, wcale nie tylko PiS czy Konfederacji".

AUTOCENZURA?

Choć Żukowską od PiS dzieli wszystko poza spojrzeniem na politykę społeczną, to różnice widać także na tle wypowiedzi niektórych przedstawicieli „dużego koalicjanta", czyli KO. Gdy co wyrywniejsi posłowie zapowiadają odwoływanie sędziów oraz zmiany w Trybunale Konstytucyjnym (w tym anulowanie jego orzeczeń) na drodze uchwały Sejmu, poseł Lewicy odpowiada, że konieczna jest ustawa. Chodzi m.in. o zmiany w funkcjonowaniu Krajowej Rady Sądownictwa, do której została ona z ramienia izby wybrana. Gdy poseł Robert Kropiwnicki (PO) przekonuje, że nie jest niemożliwe skrócenie kadencji prezydenta w drodze referendum, Anna Maria Żukowska odpowiada, że „chyba ktoś tu nie czytał ustaw o referendum ogólnokrajowym". – Referendum samo w sobie nie tworzy prawa, w referendum można tylko wypowiedzieć się w jakiś sposób, to ustawodawca powinien wziąć pod uwagę, jeżeli referendum jest wiążące, w przyjmowaniu ustawy. Ustawą chcielibyśmy odwołać prezydenta? Nie ma takiego trybu, to pomysł tak absurdalny, że aż trudno mi się wypowiedzieć – stwierdziła w jednej ze stacji telewizyjnych, co twitterowa społeczność uznała za „zaoranie".

Nadchodzą jednak nowe czasy – czasy premiera Donalda Tuska. Polityka, który chce i potrafi dyscyplinować koalicjantów, a jeżeli trzeba, to także ich wchłaniać. Dla posłów pokroju Anny Marii Żukowskiej może to być więc epoka mimowolnej autocenzury. Bo jak inaczej odczytywać fakt zlikwidowania przez nią konta na portalu X (dawniej Twitter)?

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

REKLAMA

eprasa.pl 1606071830

Szukając Napoleona

Piotr Gociek

Kim był Bonaparte? Nie dowiemy się tego z filmu Ridleya Scotta. Ale czy można było takiej refleksji oczekiwać?

O Napoleonie pisać można bez końca, o poświęconych mu filmach przez jakiś czas, do wyczerpania tematu, natomiast o „Napoleonie" Ridleya Scotta wystarczy napisać niewiele. Jest to bowiem dwuipółgodzinne ćwiczenie z formy, w którym to, co najważniejsze – czyli cesarz Francuzów – ukazane jest mniej ciekawie od bitew; bitwy natomiast ukazane są umiarkowanie ciekawie.

Wińmy Napoleona, gdyż miał zbyt intrygujące, niesamowite i pełne niezwykłych osiągnięć życie. Wińmy Ridleya Scotta, który od lat udowadnia, czym jest w kinie przerost formy nad treścią. Na końcu zaś możemy winić siebie, bo przecież doskonale wiedzieliśmy, w jakim kierunku wspomniany Ridley Scott dryfuje, więc wiedzieliśmy też, czego oczekiwać, wybierając się do kina. Nie pomogą gniewne pomruki reżysera, który francuskiej prasie, krytykującej film, odpowiedział: „Francuzi nawet samych siebie nie lubią", a historykom krytykującym nieścisłości odrzekł uprzejmie: „A skąd wiecie, jak było? Byliście tam?" oraz mniej uprzejmie: „Zamknijcie się, k….".

EMOCJONALNA PUSTKA

O historyczne błędy nie będę się spierał, ale nie dlatego, że mnie na miejscu zdarzeń nie było, lecz dlatego, że film zawsze musi być nieścisły; reżyser przekłada opowieść na obrazy i musi zmieniać, kompresować, upraszczać. Duchowe kłopoty Francuzów to też nie moja rzecz. Mogę jednak kilka słów dodać jako wielki admirator Ridleya Scotta. Częściowo – były admirator. Przez długie lata nie szczędziłem mu komplementów, bo uważam go za jednego z niewielu twórców współczesnego kina, którzy naprawdę potrafią myśleć obrazem. Jego widowiska „Obcy", „Łowca androidów", „Gladiator", nawet „Królestwo niebieskie" to esencja dobrego Hollywood, czyli spektakle tak niesamowite, że przymykamy oko na wszelkie scenariuszowe czy psychologiczne niedociągnięcia. Jego drobniejsze

eprasa.pl 1606071830

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

filmy – „Telma i Luiza" czy „Naciągacze" – udowadniały, że i bez wielkich budżetów czuje się dobrze, że potrafi prowadzić aktorów, a nie tylko kierowników działów efektów specjalnych.

W ostatnich dwóch dekadach w filmach Ridleya Scotta widzę jednak połączenie trzech tendencji. Pierwsza to „tryb nieśmiertelność" – potrafię wszystko. Druga: „nie widzicie, jak bardzo jestem wielki" (ostatnio rzekł dziennikarzom, że jest bardziej wpływowym reżyserem od Martina Scorsese). Trzecia: kłopoty z odnalezieniem emocjonalnej osi kręconych opowieści. A bez tego każdy spektakl jest martwy. „Gladiatora" czy „Królestwo niebieskie" oglądało się dobrze nie dlatego, że to filmy historyczne, ale dlatego, że były to, odpowiednio, opowieści o zemście oraz o synu szukającym prawdy o ojcu. Spójrzmy na „Robin Hooda" – nagle największą emocją ma być nie los bohaterów, lecz ustanowienie Magna Charta? „Exodus" był filmem emocjonalnie martwym, „Prometeusz" – powtórką z rozrywki, a „Marsjanin"… cóż, zaryzykuję tezę, że Scott nakręcił ten film perfekcyjnie, bo jest to opowieść o mechanice ucieczki z Marsa, a nie o bohaterze, który tego dokonuje. W istocie o postaci granej przez Matta Damona dowiadujemy się bardzo niewiele.

Ta emocjonalna pustka pod powierzchnią wielkiego spektaklu to kłopot z filmem „Napoleon". Ridley Scott wie, jak kręcić sceny batalistyczne – i zwykle oglądamy je z podziwem. Teraz nie jest inaczej. I nie kłóci się to z moim wcześniejszym stwierdzeniem, że bitwy ukazane są umiarkowanie ciekawie. Dlatego że jako osobne wstawki, jako ćwiczenia ze sztuki ruchu i koloru na ekranie sprawdzają się świetnie. A jako narzędzie popychające naprzód akcję i pomagające zrozumieć bohaterów – niespecjalnie. Kiedy zaś milkną działa, patrzymy z równie umiarkowanym zainteresowaniem na Józefinę (Vanessa Kirby), która zachowuje się jak lekko stuknięta żulica, oraz na Napoleona (Joaquin Phoenix), który… No właśnie, który co? Poza kostiumem i pozą też jest tu pustawo. Przypomina się zdanie powtarzane we francuskiej prasie po premierze serialu „Napoleon" w roku 2002, kiedy to mówiono o kreacji Christiana Claviera, że jest dobrym Napoleonem, ale kiepskim Bonapartem, to znaczy, że wygląda jak cesarz, ale niewiele się o tym, co go napędza, dowiadujemy.

CEL NIEMOŻLIWY

Teraz wezmę Ridleya Scotta w obronę, bo nie on pierwszy ma kłopot z postacią Napoleona. Na łamach „The Independent" John Lichfield w październiku 2002 r. bardzo trafnie definiował problemy stojące przed autorami filmowych biografii cesarza (sformułował swą listę właśnie po obejrzeniu miniserii Yvesa Simoneau z Clavierem). Kim był Bonaparte: Korsykaninem, który został władcą Francji i, na krótko, Europy? Niegodziwym despotą czy bohaterem tragicznym? Oszustem, który powiódł setki tysięcy na śmierć? Ojcem nowoczesności? Geniuszem? Pyłkiem w wielkiej historii (wszak jego imperium nie przetrwało)? Potworem i rzeźnikiem? Człowiekiem pokoju marzącym o zjednoczonej Europie? My nad Wisłą moglibyśmy dodać do tej listy jeszcze jedno pytanie: żandarmem narodów czy ich wyzwolicielem? Odpowiedź nie jest oczywista, porównajmy doświadczenia Hiszpanów i Polaków.

Tak długa lista pytań prowokuje do postawienia jeszcze jednego: Czy w ogóle możliwe jest uchwycenie fenomenu Napoleona i ducha jego epoki w jednym dwuipółgodzinnym filmie czy nawet w wieloodcinkowych wystawnych produkcjach telewizyjnych? Nie sądzę, ale nie znaczy to, że nie próbowano i że nie warto próbować. Część dokonań obejrzałem raz jeszcze, zanim ruszyłem do kina na spotkanie z wersją Ridleya Scotta.

Wspomniany serial francuski z 2002 r. (cztery epizody po półtorej godziny) oglądany dziś wydaje się niezwykle statyczny, bitwy jedynie udają wielkie, bo kosztowałyby gigantyczne pieniądze. Najładniejsze są kostiumy, największym rozczarowaniem okazuje się plejada gwiazd. Clavier jako Napoleon wygląda często, jakby miał cesarza parodiować, ale to w dużym stopniu wina drętwych dialogów. Zwłaszcza te z Józefiną są na poziomie telenoweli. Izabella Rossellini jako Józefina wygląda jak dobrotliwa ciotunia, John Malkovich jako Talleyrand sprawdza się umiarkowanie, za to świetny jest Gerard Depardieu jako Fouché. Choć ekipa była międzynarodowa, nie dano szansy polskiej aktorce, by zostać Marią Walewską. Zagrała ją pół Rumunka, pół Niemka – Alexandra Maria Lara.

Ciekawostką, którą kiedyś przypomniała TVP Kultura, jest sześcioodcinkowy serial „Napoleon" z roku 1991, który powstał we współpracy francusko-polskiej, pod opieką Krzysztofa Zanussiego i z muzyką Wojciecha Kilara. Jeden z epizodów wyreżyserował Zanussi, inny – Janusz Majewski. Napoleona zagrał Jean-François Stévenin, ale w obsadzie roiło się od Polaków. Wspomnijmy Joannę Szczepkowską jako Marię Walewską, Daniela Olbrychskiego jako księcia Poniatowskiego czy Tadeusza Łomnickiego jako Kutuzowa oraz Jerzego Kryszaka jako Josepha Fouché. We Francji serial znany jest jako „Napoléon et l'Europe". Całość nie wznosi się ponad solidną telewizyjną robotę. Podobnie jak w przypadku późniejszego o dekadę serialu Yvesa Simoneau mamy do czynienia z brykiem historycznym w formie obrazkowej.

eprasa.pl 1606071830

REŻ. RIDLEY SCOTT „NAPOLEON" WIELKA BRYTANIA/USA 2023

Oczywiście bardzo poważną częścią problemu z przedstawianiem na ekranie Napoleona jest to, że historię piszą zwycięzcy. W kulturze anglosaskiej propaganda antynapoleońska zdecydowanie wygrywa z wielką zdolnością Bonapartego do autokreacji. Już za życia cesarza Brytyjczycy osiągnęli mistrzostwo w jednoczesnym straszeniu potworem z Paryża i wyszydzaniu „korsykańskiego karła". Do dziś jakże chętnie sięga się w kinie i telewizji po figurę Napoleona w rozmaitych komediach i parodiach. Przodują Anglosasi, dla których Bonaparte to zbrodniarz niemal równy Hitlerowi, a w najlepszym razie wariat ogarnięty manią wielkości.

Inni zwycięzcy – Rosjanie. W ich opowieściach Napoleon to zbrodniarz, który najechał świętą matkę Rosję, lecz został przez bohaterski lud (oraz zimę) pokonany. Spójrzmy na pierwsze sceny „Waterloo" Siergieja Bondarczuka – Rod Steiger jako Napoleon od razu zdefiniowany jest jako postać odpychająca i bufonowata. Film powstał w koprodukcji włosko-sowieckiej. Ślad włoski jest o tyle ciekawy, że zapominamy o włoskiej traumie związanej z działalnością Napoleona. Po premierze serialu francuskiego w 2002 r. we Włoszech protestowano, że wybiela się tam sprawcę masakry wielu tysięcy mieszkańców Italii. Skoro Rosja i Napoleon, to oczywiście kolejne wersje „Wojny i pokoju", w których Napoleon pojawić się musi.

Najambitniejszym w dziejach napoleońskim przedsięwzięciem ekranowym był z kolei francuski film Abela Gance'a „Napoleon" z 1927 r. Niema superprodukcja pełna nowatorskich chwytów realizacyjnych zadziwia do dziś, a Albert Dieudonné jako Bonaparte wciąż przykuwa wzrok. Nawet Gance przegrał jednak z dziedzictwem Napoleona: pięć godzin zajęło mu poprowadzenie akcji od dzieciństwa do pierwszej kampanii włoskiej. Kolejne pięć filmów (równie obszernych – takie były ambitne plany!) już nie powstało.

Jak poradzić sobie z nadmiarem, którym są życie i dzieło Napoleona, oraz z mnogością sprzecznych oczekiwań widzów i narodów? Dobrze jest przyjąć inną perspektywę niż Ridley Scott, dobrze zejść do mikroskali. Zamiast niemożliwego celu, którym jest ogarnięcie całości, można zająć się epizodami z życia cesarza: romansem z Marią Walewską, kampanią egipską („Żegnaj, Bonaparte" Youssefa Chahine, z Patrikiem Chereau jako Napoleonem) czy wygnaniem na Świętej Helenie (o tym więcej za chwilę).

Oczywiście w skromniejszych przedsięwzięciach też kiczu jest sporo, jak choćby w nieszczęsnym „Desirée" (1954) Henry'ego Kostera (romans Napoleona i Désirée Clary), o którym pamiętamy dziś tylko dlatego, że Bonapartego grał Marlon Brando. Natomiast jeśli idzie o dokonania ostatniego ćwierćwiecza, to warto zauważyć dwa filmy nietypowe, obydwa udane. W obydwu Napoleon objawia się jako człowiek, a nie jako cesarz, wódz czy prawodawca. I oba są fantazjami.

„The Emperor's New Clothes" (2001) to film Alana Taylora według powieści Simona Leysa, znakomitego francuskiego pisarza i myśliciela. W tej opowieści Napoleon po sześciu latach wygnania ucieka ze Świętej Heleny i w dodatku udaje mu się ukryć fakt ucieczki. Jego miejsce zajął bowiem sobowtór. Kiedy Anglicy wreszcie odkrywają zamianę, a sobowtór umiera, kłamstwo żyje nadal. Oficjalnie Napoleon umarł. Naprawdę żyje w Paryżu pod przybranym nazwiskiem i nie jest nikogo w stanie przekonać, kim jest naprawdę. Ale czy powinien? Czy chce? Może to wreszcie szansa na normalne życie i porzucenie ciężkiego brzemienia wielkości? Świetną kreację tworzy Ian Holm, który grał Napoleona także wcześniej – na poważnie (serial ITV „Napoleon in Love", 1974) i dla zgrywy („Bandyci czasu", 1981).

Ostatnie lata życia Napoleona na Wyspie Świętej Heleny to także temat uroczego i łobuzersko przewrotnego filmu „Monsieur N." (reż. Antoine de Caunes 2003). Tu świetnym Napoleonem jest Philippe Torreton. Bonaparte prowadzi przeciwko brytyjskim nadzorcom kampanię równie śmiałą i oryginalną jak jego największe sukcesy militarne, pointy zaś nie zdradzę, gdyż zbyt wielką miałem przyjemność, oglądając ten film, i nie chcę nikogo owej przyjemności pozbawiać.

Skoro o wygnaniu, to bądźmy też poważni i odnotujmy film Jerzego Kawalerowicza „Jeniec Europy" (1989) inspirowany powieścią Juliusza Dankowskiego pod tym samym tytułem. Tak jak w „The Emperor's New Clothes" dostaliśmy Napoleona uczłowieczonego poprzez miłość, tak u Kawalerowicza dostajemy dramat człowieka cierpiącego, chorego, szykanowanego. Film – niespecjalnie ciepło przyjęty po premierze – godny jest uwagi, bo to dzieło w historii kinowych zmagań z legendą Bonapartego bardzo osobne i mimo kilku słabości jednak udane. Napoleona grał Roland Blanche, zauważmy też Marię Gładkowską jako madame Montholon.

CZASEM MNIEJ ZNACZY WIĘCEJ

Okazuje się, że małe filmy o Napoleonie są najlepsze i najciekawsze (zwłaszcza te, które traktują o Napoleonie wyobrażonym). Trudno o lepszy dowód na to, jak wielkim wyzwaniem jest próba namalowania całościowego portretu cesarza, nie mówiąc już o epoce. Ridley Scott musiał się zmierzyć z tym wyzwaniem, skoro przekonany jest, że potrafi jako reżyser robić rzeczy niemożliwe. Przegrał, ale najciekawsze w jego klęsce nie jest to, czy był wierny historii czy nie, lecz proste porównanie. Otóż w debiutanckim filmie kinowym „Pojedynek" („The Duelists", 1977), inspirowanym opowiadaniem Josepha Conrada, Ridley Scott nie tylko potrafił oddać klimat epoki, lecz także pokazał w finale przez krótką chwilę Napoleona – stojącego na wysokim brzegu rzeki i spoglądającego na świat jak na dojrzały owoc, który wystarczy zerwać z drzewa. W tym jednym ujęciu było więcej napięcia i napoleońskiej charyzmy niż w całym dwuipółgodzinnym filmie nakręconym 46 lat później przez tego samego człowieka. Czasem mniej znaczy więcej, a pycha jest jednako wrogiem zdobywców i reżyserów.

Takie wyzwanie musi jednak kusić. Ridleyowi Scottowi się nie udało, a oto na scenę wkracza już Steven Spielberg, który dla HBO realizuje serial na postawie niezrealizowanego scenariusza Stanleya Kubricka. Bon voyage! W końcu – jak mawiał Napoleon – „Ambicja władania duszami jest najsilniejszą z namiętności".

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 1606071830

w|drodze

CO ROBIĆ,
GDY DZIECI
ODCHODZĄ
Z KOŚCIOŁA

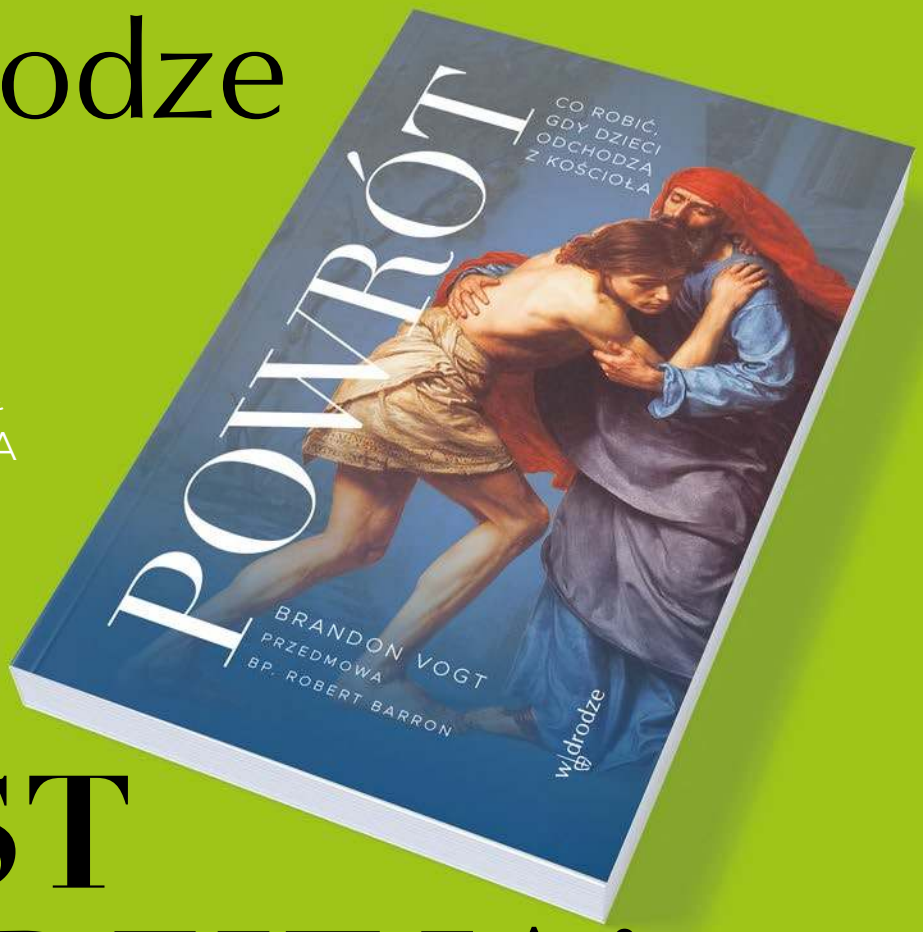

JEST NADZIEJA!

DLA CZYTELNIKÓW „DO RZECZY”

25% rabat!

Przy zakupie na wdrodze.pl, wpisz kod rabatowy: **powrót**

Nie błądź! Sprawdź na wdrodze.pl

sprzedaz@wdrodze.pl | tel. +48 61 101 47 27

* oferta ważna do 11.12.2023 r.

eprasa.pl 1606071830

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

PIOTR GOCIEK

OGLĄDANIE NA ŻĄDANIE

polsat box go

Na granicy światów

★★★★☆☆
SEZON 1
„SZEPTY MROKU" („DARK WINDS")
USA 2022

wyst. Zahn McClarnon, Kiowa Gordon, Jessica Matten

Serial „Szepty mroku" przegapiony przez gigantów polskiego streamingu, bo zapewne uznany za zbyt niszowy, trafił właśnie do Polsat Box Go. Mamy tymczasem do czynienia z rzeczą godną uwagi, ekranizacją bestsellerowych powieści kryminalnych Tony'ego Hillermana (1925–2008), uznawanego w USA za jedną z gwiazd gatunku. Producentami są m.in. George R.R. Martin oraz Robert Redford, który opiekował się także poprzednią serią ekranizacji, czyli filmami telewizyjnymi zrealizowanymi przez PBS w roku 2002.

Cofamy się do lat 70. XX w. i trafiamy do rezerwatu Navajo Nation (o powierzchni niemal jednej czwartej Polski), w którym na straży prawa stoi porucznik indiańskiej policji Joe Leaphorn. Pomagają mu sierżant Bernadette Manuelito, a także świeżo upieczony absolwent Berkeley, Jim Chee. Są oni bohaterami kilkunastu książek Hillermana. Sezon pierwszy czerpie inspiracje z powieści „Listening Woman", a drugi z „People of Darkness". W Polsce dorobek Hillermana jest nieznany. Zatem wszystko przed nami.

Amerykanie określają ten typ opowieści „western neo-noir". Rzeczywiście mamy tu wszystkie elementy: dzikość pogranicza, kolty przy pasie, ponure zagadki z przeszłości, mustangi, poszukiwanie ropy, podejrzanych bogaczy. W drugim sezonie pojawi się nawet klasyczna femme fatale. Oryginalność i świeżość „Szeptów mroku" polega na tym, że wszystko to rozgrywa się wewnątrz bardzo dla nas egzotycznego świata Indian Nawaho. Obsada składa się niemal w całości z rdzennych Amerykanów, przy czym kreacja Zahna McClarnona w roli głównej jest warta pochwał.

Wierzenia i obyczaje mieszkańców rezerwatu nie tylko zostały pokazane, lecz także wpleciono je w akcję, czyniąc z nich integralny element opowieści. Nie dostajemy więc kiczowatej pocztówki, lecz próbę wejrzenia w społeczność, o której niemal nic nie wiemy. Swoje robią majestatyczne obrazy Monument Valley, scenariusz jest oszczędny i precyzyjny, postacie skrojone tak, byśmy od razu trzymali za nie kciuki; krótko mówiąc, mamy do czynienia z pierwszorzędną robotą telewizyjną w starym stylu. Pierwszy sezon jest świetny, drugi nieco ugina się pod ciężarem serwitutów politycznych. Ale kto lubi „Justified" czy „Yellowstone", nie będzie rozczarowany. ©℗

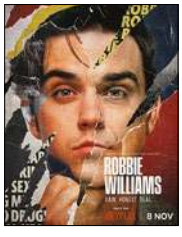

NOWE SERIALE: „ROBBIE WILLIAMS"

Podobnie jak w dokumentalnej miniserii „Beckham" wiele tu o potędze brytyjskich brukowców. Jednak wyznania gwiazdora, który był kiedyś popularniejszy od Beatlesów i Oasis, pokazują coś dużo ciekawszego: młodego wykorzenionego chłopaka, który zupełnie nie jest gotowy na presję, którą niesie rola gwiazdy światowego formatu. Zostaje więc zmiażdżony. Opowieść w czterech epizodach, intrygująca, smutna i brutalnie szczera. ©℗

Piotr Gociek

• ***reż. Joe Pearlman „Robbie Williams", Wielka Brytania 2023, Netflix***

NA MAŁYM EKRANIE TAKŻE:

• *miniseria **„Echo"**, USA 2023* Disney+

• *sezon 5 **„Fargo"**, USA 2023*

• *sezon 3 **„Slow Horses"***

tv+ *(1 grudnia)*

eprasa.pl 1606071830

Ostatni sprawiedliwy

HBO max

W Moskwie coraz ciemniej i mróz coraz większy. Dmitrij Muratow był spadochroniarzem w Afganistanie, potem reporterem wojennym, a w 2021 r. został współlaureatem Pokojowej Nagrody Nobla. Teraz jego misja, polegająca na „otwieraniu Rosji na świat, a świata na Rosję", dobiegła końca. Twórcy dokumentu towarzyszyli naczelnemu w beznadziejnych próbach ratowania „Nowej Gazety". Ostatnim gwoździem do trumny był sprzeciw redakcji wobec „operacji specjalnej" tudzież pochwały, które pod adresem Muratowa wygłosił Zełenski. Gazeta podzieliła los 261 innych mediów niezależnych, sąd odebrał koncesję na jej wydawanie. Część dziennikarzy wyjechała do Rygi, by tam kontynuować walkę o duszę narodu. Noblista nie chce pójść w ślady Hercena, bo z dwojga złego woli „ojczyznę bez wolności" niż „wolność bez ojczyzny". Odważna decyzja, zważywszy, że sześciu jego podwładnych zabito. „Dima", podobnie jak Nawalny, czasem wygłasza wątpliwe tezy. Dziwi jego sentyment do Gorbaczowa tudzież odmowa uznania faktu, że większość Rosjan popiera bandycki reżim. Brytyjczyk Forbes takich złudzeń nie ma. Podkreśla, że Putin nie jest aberracją, lecz kontynuatorem tradycji sięgającej czasów carów. We wrześniu życie dopisało postscriptum do „Ceny prawdy". Muratow został oficjalnie wpisany na listę „zagranicznych agentów". ©℗

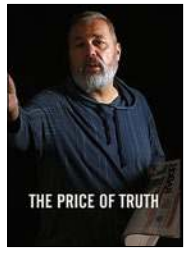

★★★★☆☆
REŻ. PATRICK FORBES
„CENA PRAWDY" („THE PRIZE OF TRUTH")
WIELKA BRYTANIA 2023

Wiesław Chełminiak

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

PROFESJONALNI AMATORZY

KINO

Każdy Włoch to urodzony aktor, nic więc dziwnego, że takie postacie jak Luigi Pirandello są w Italii otoczone kultem. W filmie swego krajana z Sycylii dramaturg zmaga się z twórczym kryzysem. Przełomem staje się wizyta w rodzinnych stronach. Pirandello, przedstawiający się jako profesor literatury, jest świadkiem przygotowań do spektaklu „W okopach wyrzutów sumienia" wystawianego przez miejscowych entuzjastów teatru. Onofrio i Sebastiano na co dzień prowadzą firmę pogrzebową. Pierwszy marzy o dramacie, jego wspólnika ciągnie w stronę farsy, bo przecież „Bóg lubi się pośmiać". Tytułowe osobliwości nikogo nie zaskoczą: wyspiarze są temperamentni i skorumpowani, z umarlakami żyją za pan brat. Ficarra i Picone tworzą zabawny duet, jednak nasi italofile od „Sześciu postaci w poszukiwaniu autora" wolą pizzę, spaghetti westerny, toskański krajobraz, weneckie kanały i bazylikę św. Piotra w Rzymie. ©℗

★★★★☆☆
REŻ. ROBERTO ANDÒ
„OSOBLIWOŚCI SYCYLIJSKIE" („LA STRANEZZA")
WŁOCHY 2022

wyst. Toni Servillo, Sebastiano Ficarra, Valentino Picone

SŁUGA ZBUNTOWANY

SKYSHOWTIME

„Od 93 lat jestem w toksycznym związku" – narzeka Renfield, asystent Drakuli. Opiekuje się szefem, gdy ten dochodzi do siebie po starciu z następcami doktora van Helsinga. Dostarcza mu też pożywienie (wampirowi najbardziej smakuje krew niewinnych pacholąt, a najmniej – zdemoralizowanych ćpunów). Niestety, pewnego dnia Renfield się wyprowadza, by żyć jak normalny człowiek, choć pracodawca przekonuje, że to on jest jego jedynym przyjacielem. Film przemknął przez ekrany kin z upiorną prędkością, bo jak na komedię jest mało zabawny. Cage się stara: szczerzy zęby, naśladuje akcent Beli Lugosiego i całuje kobiety w rękę jak na wschodnioeuropejskiego hrabiego przystało. Fatalnie prowadzony wątek kryminalny ciągnie fabułę na dno. Dezynwoltura twórców „Renfielda" skłania do podejrzeń, że w rzeczywistości nie mamy do czynienia z horrorem, ale z reklamą przyszłościowego produktu spożywczego: robali. ©℗

Wiesław Chełminiak

★★★☆☆☆
REŻ. CHRIS MCKAY
„RENFIELD"
USA 2023

wyst. Nicholas Hoult, Nicolas Cage, Awkwafina

GRA TYGODNIA: „MORTAL KOMBAT 1"

Minęło już 31 lat od pierwszych połamanych w „Mortal Kombat" kości, a seria wciąż ma się świetnie. „MK1" to 12. główna część cyklu, która wykonuje zgrabny fabularny fikołek, zmieniając linię czasową i przenosząc nas w nową erę. Oczywiście, że w „MK" nie gra się dla fabuły, ale warto poświęcić jej te kilka godzin, bo jest naprawdę zgrabna. Niezmienne pozostaje to, za co tę serię kochamy od lat – widowiskowe, arcybrutalne pojedynki, kombosy i wymyślne fatality. A to wszystko w bardzo dobrej i dopracowanej oprawie audiowizualnej. Bardzo godny następca ostatnich udanych poprzedniczek. Fight! ©℗ ***Radosław Wojtas***

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

★★★★★☆

- ***Gatunek:*** *bijatyka*
- ***Platforma:*** *PS5, XSX, PC, NS*
- ***Producent; wydawca PL:*** *NetherRealm Studios/QLOC; Cenega*

eprasa.pl 1606071830

KRZYSZTOF MASŁOŃ

MOJA PÓŁKA

Ścigany ma swoją cenę

Harlan Coben, stosując współczesną nomenklaturę – megagwiazda światowej beletrystyki, autor thrillerów przełożonych na czterdzieści parę języków i wydanych w nakładzie ponad 70 mln egzemplarzy. Ukazała się właśnie jego 36. powieść: „Za wszelką cenę".

Opowiada ona o rzekomym dzieciobójcy skazanym na dożywocie. Media uznały go za winnego jeszcze przed zatrzymaniem: „Psychiatra, który leczył mnie w przeszłości, zdradził, że cierpiałem na nocne lęki i lunatykowałem. Cheryl i ja mieliśmy poważne problemy małżeńskie. Niewykluczone, że miała romans. Sami rozumiecie. Gazety domagały się, żeby mnie aresztowano i postawiono mi zarzuty. Twierdzono, że jestem traktowany ulgowo, ponieważ mój ojciec był gliniarzem. Co jeszcze zamieciono pod dywan? Gdybym nie był białym mężczyzną, już siedziałbym za kratkami. Oto przykład rasizmu, uprzywilejowania, podwójnych standardów. Wiele z tego zapewne było prawdą". I to ostatnie zdanie jest tu najważniejsze.

David Burroughs, bohater powieści, jest pochodzenia żydowskiego. Powiada: „Nikt z nas nie jest religijny, ale rytuał przynosi nam spokój". Odmawia więc kadisz za zmarłego ojca, po pochówku, wraz z innymi, rozpoczyna sziwę, wcześniej z łezką w oku wspomina obchodzenie święta szałasów. Burroughsowie żyją w trwającej pokolenia przyjaźni z irlandzką familią Mackenzie. I to przedstawiciel tej właśnie rodziny, zresztą ojciec chrzestny (?) naszego bohatera, gustujący w whisky Writer's Tears naczelnik więzienia, w którym David odbywa karę, pomaga mu w ucieczce z zakładu karnego, by ten na własną rękę poszukał sprawiedliwości. I tu zaczyna się kolejna wersja „Ściganego", przywoływanego zresztą w powieści.

FOT. ARNOLD JEROCKI/WIREIMAGE/GETTY IMAGES

Davida – jakżeby inaczej – chcą unicestwić potężni i obrzydliwie bogaci wrogowie, a na domiar złego z mocy prawa ściga go niejaki Max Bernstein, agent specjalny FBI, który z racji nerwowo wykonywanych ruchów nazywany był przez kolegów z pracy „Drgawą". „Przynajmniej dopóki nie dokonał coming outu w czasach, gdy żaden inny agent by się na to nie zdobył. Wtedy ci niezwykle kreatywni homofobi zaczęli go przezywać – ha, ha, ha – Babą". Nawiasem mówiąc, dialogi tego Maxa z jego partnerką z pracy, odgrywanie przez nich ról dobrego i złego policjanta, należą do mocnych stron „Za wszelką cenę". No bo takie też istnieją.

Coben jednak również filozofuje, niestety. Na przykład powiada: „Moralność jest subiektywna" i żeby to udowodnić, przytacza skądinąd znaną kwestię potencjalnego wyginięcia kurczaków. „Niektórzy twierdzą – powiada – że gdybyśmy nie jedli kurczaków, toby wyginęły, dlatego zaprzestanie ich jedzenia byłoby dla nich złe. Znajoma weganka powiedziała […], że to bzdura, ale mniejsza z tym. Owszem, miliony kurczaków przychodzą na świat i żyją krótko i w bólu, ponieważ mają zostać zjedzone. Czy takie życie jest lepsze od nieistnienia? Czy lepiej jest żyć przez kilka tygodni, niż nigdy się nie urodzić? Jakie mamy prawo podejmować taką decyzję? Może lepiej byłoby przestać jeść kurczaki i pozwolić im wyginąć? Czy naprawdę postępujemy właściwie, gdy je zjadamy? I tak dalej.

W tym wszystkim nie chodzi o to, że jedna ze stron ma rację albo się myli. Sedno tkwi w tym, że jeżeli macie ochotę jeść kurczaki, to użyjecie tego argumentu, nawet jeśli wcale was nie obchodzi przetrwanie ich gatunku. Ponieważ po prostu macie na nie apetyt".

Harlan Coben te żywnościowe dylematy odnosi do rodziny, ponieważ: „Rodzina jest ważna. Oczywiście twoja rodzina", a tzw. większe dobro bierzemy pod uwagę tylko wtedy, gdy służy ono naszym interesom. Rzeczywiście odkrywcze to nad wyraz.

„Za wszelką cenę", tak jak poprzednie książki Cobena, od „Bez skrupułów" z 1995 r. począwszy, trafiło już na listy bestsellerów i tylko patrzeć, jak zostanie zekranizowane i będziemy je oglądali, z jeszcze mocniej zarysowanymi wątkami żydowskimi, gejowskimi i wegańskimi na Netflixie. A zainteresowanie thrillerami tego amerykańskiego pisarza wykazali już m.in. nasi filmowcy, że przypomnę „W głębi lasu" z 2020 r. i „Zachowaj spokój" z 2022 r.

Aha, jeszcze jedno: w podziękowaniach na końcu książki wymienia autor ludzi, którzy „szczodrze wsparli wybrane przeze mnie organizacje charytatywne, a w zamian za to umieściłem ich nazwiska w tej powieści". „Gdybyście chcieli w przyszłości – zachęca – wziąć udział w takim przedsięwzięciu, napiszcie na adres […]". Tak się kręci lody! Literackie. Bo jakież inne? A ktoś, zdaje się, powiedział, że na niczym nie zarabia się tyle, ile na działalności charytatywnej. ©℗

★★★☆☆☆
HARLAN COBEN „ZA WSZELKĄ CENĘ"
ALBATROS, WARSZAWA 2023

eprasa.pl 1606071830

PIOTR GOCIEK

POCZYTANKI

Niepotrzebni bogowie

W pekińskim Centrum Kształcenia Religijnego przedstawiciele pięciu głównych religii Chin (buddyzm, taoizm, katolicyzm, protestantyzm i islam) mają uczyć się dialogu, ale często konkurują w absurdalny sposób. Dziekan marzy o napisaniu ogólnie słusznego dzieła życia i w tym celu prowokuje rozmaite wydarzenia. Yahui, młoda buddystka, oraz Mingzengh, równie młody taoista, mają się ku sobie. Wszystko to z początku przypomina komedię romantyczną, potem zamienia się w złośliwą powieść uniwersytecką, równie zabawną jak dzieła Amisa czy Lodge'a.

Jakby tego było mało, akcja rozgrywa się na dwóch płaszczyznach: ludzkiej i boskiej. O ludzkiej już wspomniałem, z kolei opowieść o bogach otrzymujemy w formie wycinanek z podpisami (stworzyła je pisarka i artystka Shang Ailan). „Sutra serca" zaczyna się od absurdalnej sceny, w trakcie której cierpiącego na krzyżu Jezusa zagadują Budda, Dao, Mahomet i Maryja. Nie dajmy się zwieść, poszukiwania religijne, natura religii czy ekumenizm nie interesują autora. Chodzi o coś zupełnie innego. A o co?

Yan Lianke to jeden z najlepszych współczesnych pisarzy chińskich. Znamy kilka jego książek, najbardziej wstrząsająca to „Sen wioski Ding", najbardziej efektowna to „Kroniki Eksplozji". Wymyślone przez niego na potrzeby książki Centrum Kształcenia Religijnego to instytucja oficjalna, powstała z zachętą i aprobatą władz, wiemy więc, że intencje nie mogą być czyste. I oto pojawia się w książce także tajemnicza postać Bezimiennego. Osobnik ów przedstawia się jako weteran chińskiej armii komunistycznej i posiada zadziwiającą wiedzę o wszystkich napotkanych bohaterach. Także o rzeczach, co do których sami nie przyznają się przed sobą. Symbolizuje system, nowy porządek, dla którego wszystkie religie to tylko bajki, bo przyszłość należy do partii i do wiary w partię. Ale można w nim widzieć także emanację wszystkiego tego, co złe w człowieku.

„Sutra serca" okazuje się w zakończeniu opowieścią wstrząsającą, co nie powinno dziwić: wiemy dobrze, jakie mogą być zamiary partii wobec marionetek, którymi się posługuje, nieważne, czy wierzących czy nie (i w co wierzących). Lepsza przyszłość pożreć musi zmurszałą przeszłość. Porządek panuje w Pekinie. ©℗

★★★★☆☆
YAN LIANKE
„SUTRA SERCA"
PIW 2023

NOWOŚCI KSIĄŻKOWE

Pełna wersja tej powieści ukazała się dopiero po śmierci autora. Wcześniej czytelnicy poznali jedynie wersję skróconą, znaną jako „Sartoris". Teraz ukazuje się po polsku w przekładzie Macieja Płazy.

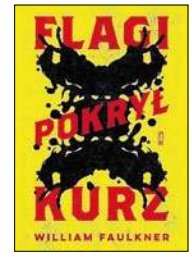

WILLIAM FAULKNER
„FLAGI POKRYŁ KURZ"
PIW

Autobiografia znakomitego białoruskiego pisarza, którego młodość upłynęła pod znakiem zmagań dwóch totalitaryzmów, starość w starciu z reżimem Łukaszenki, a kres przyszedł na wygnaniu. Poruszające.

WASIL BYKAU
„DŁUGA DROGA DO DOMU"
KOLEGIUM EUROPY WSCHODNIEJ

Znamy wersję oficjalną: autobiografia Pelégo ukazała się w Polsce w roku 1980, trzy lata po premierze. Wersja nieoficjalna jest ciekawsza, bo mówi także o tym, co było schowane za medialnym wizerunkiem legendy.

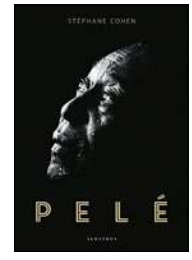

STEPHANE COHEN
„PELÉ"
ALBATROS

Nirvana, Pearl Jam, Soundgarden. A co było wcześniej? Kim się inspirowali? Jak muzyka buntu zamieniła się w najbardziej pożądany towar show-biznesu? Trochę historia, trochę podróż sentymentalna. ©℗

recenzuje Piotr Gociek

PIOTR JAGIELSKI
„GRUNGE. BĘKARTY Z SEATTLE"
CZARNE

KOMIKS TYGODNIA

„PRZYGODY TINTINA", T. 1

Kolejna kolekcja Egmontu, której przegapić nie można. Zbiorowe wydanie opowieści o najsłynniejszym bohaterze belgijskiego komiksu, reporterze Tintinie (nie zapominajmy też o jego psie Milusiu i zaprzyjaźnionym zapijaczonym kapitanie Baryłce). Tom pierwszy zawiera albumy „Tintin w krainie Sowietów", „Tintin w Kongo" i „Tintin w Ameryce". Całość liczyć będzie sześć tomów. ©℗

Piotr Gociek

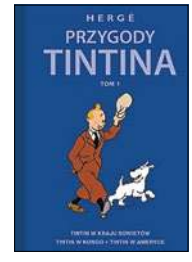

GEORGES REMI (HERGÉ)
„PRZYGODY TINTINA", T. 1
EGMONT 2023

eprasa.pl 1606071830

RADOSŁAW WOJTAS

DO ZOBACZENIA

W Arkadii

Kraina szczęśliwości, wiecznej młodości, beztroski, świat idealny. Mit Arkadii wywodzący się m.in. z „Bukolik" Wergiliusza na stałe zagościł w kulturze europejskiej. Wystawa „Arkadia" w Muzeum Narodowym w Warszawie prezentuje różne interpretacje tego tematu.

Zgromadzono na niej dzieła sztuki – obrazy, rzeźby, rysunki i ryciny, fotografie, a także przykłady rzemiosła artystycznego (tapiserie, ceramikę, kostiumy) – od wczesnego renesansu do współczesności. W znacznej części pochodzą one ze zbiorów MNW, ale są i eksponaty wypożyczone z kolekcji polskich i muzeów zagranicznych, Musée du Louvre, Musée d'Orsay w Paryżu, Kunsthistorisches Museum Wien. Wśród nazwisk m.in.: Claude Lorrain, François Boucher, Jean-Baptiste Pater, Camille Corot, Henryk Siemiradzki, Zofia Stryjeńska, Arnold Böcklin, Pierre Bonnard, Józef Mehoffer, Jacek Malczewski.

Należy pamiętać, że Arkadia to także kraina swobodnej erotyki. Dlatego muzeum przestrzega, że „wystawa zawiera treści, które mogą zostać uznane za nieodpowiednie dla dzieci i młodzieży". ©℗

FOT. MUZEUM NARODOWE W WARSZAWIE

GDZIE? ***Muzeum Narodowe w Warszawie***
KIEDY? ***do 17 marca 2024 r.***

FOT. MATEUSZ GROCHOCKI/NCK

PATRIOTA

W opisie tej wystawy wybito cytat: „Jestem Polakiem i Żydem i pragnę, zgodnie z wolą Boga, pracować dla obu narodów". Artur Szyk (1894–1951) – artysta grafik, ilustrator książek, scenograf, karykaturzysta – uważał się za Polaka, za polskiego patriotę i za Żyda, co ma odzwierciedlenie w zaangażowanej społecznie i politycznie warstwie treściowej jego twórczości. Jego antywojenne rysunki tworzone w czasie drugiej wojny światowej miały dużą moc propagandową. Piętnował oba totalitaryzmy, uwrażliwiał odbiorców na cierpienie ofiar. Pozostawił po sobie setki ilustracji, plakatów i rysunków. ©℗

GDZIE? ***Warszawa, Kordegarda***
KIEDY? ***do 10 grudnia***

GRZEGORZ BRZOZOWICZ

NA SŁUCH

Jubileuszowe wspomnienia

Idealna składanka Beatlesów jest niezwykle trudna do ułożenia. Pół wieku temu ukazały się dwie kompilacje, „Czerwona" i „Niebieska", które w miarę godnie przedstawiły dorobek zespołu.

Jubileuszowe edycje tych albumów zawierają dodatkowe atuty. Wykorzystano nowatorską technologię, opracowaną w studiach Petera Jacksona, umożliwiającą separację poszczególnych ścieżek dźwiękowych. Dzięki niej producent Giles Martin mógł ponownie zmiksować piosenki. Nigdy wcześniej hity Beatlesów nie brzmiały tak dobrze w wersjach stereofonicznych. Drugą istotną rzeczą jest dodanie 21 piosenek. Dzięki temu wreszcie zacniej uhonorowano wkład kompozytorski George'a Harrisona, liczniej reprezentowane są nagrania z albumu „Revolver" oraz dodano takie standardy jak „I Saw Her Standing There", „Twist and Shout", „Within You without You" czy „Dear Prudence".

Oddzielną sprawą jest premierowe nagranie Beatlesów, piosenka „Now and Then". Nagrał ją John Lennon w domowym zaciszu. W połowie lat 90. trzej żyjący Beatlesi próbowali ją ukończyć z myślą o serii płyt „Anthology" zawierających archiwalne nagrania. Niestety, głos Lennona zagłuszał fortepian. Trzydzieści lat później udało się odizolować wokal Johna, co pozwoliło Paulowi McCartneyowi napisać pełną miłości aranżację. Co więcej, wpleciono w nagranie gitarowe solo George'a Harrisona z 1995 r. ©℗

★★★★★★
THE BEATLES „1962–1966"/ „1967–1970" (50TH ANNIVERSARY EDITION) UNIVERSAL

★★★★★☆
MARCIN MASECKI „BOLEROS Y MÁS" AGORA
Autor wspaniałej muzyki do „Zimnej wojny" składa hołd muzyce Ameryki Łacińskiej. W wykonaniu jego tria i z jego wokalem usłyszymy meksykańskie bolera, wenezuelskie walce, argentyńskie tanga czy brazylijskie chôro. Inspirujący powrót do mało znanej nam tradycji.

★★★★☆☆
MARIUSZ DUDA „AFR AI D" MYSTIC
Lider Riverside nagrał koncept album „Str a ch", którego tematem jest lęk przed sztuczną inteligencją. Dominuje elektronika spod znaku klasyków gatunku czy szkoły francuskiej. Inspiracją dla autora były też gry wideo i film „Ona" Spike'a Jonze'a.

eprasa.pl 1606071830

FOT. MARTA ANKIERSZTEJN

Kochanowski przywrócony

Grzegorz Kondrasiuk

Na polskich scenach zaistniał i na dobre ustabilizował się obiecujący i sensowny nurt wystawiania tekstów klasycznych. Co nietypowe dla teatru, który przecież jest aktywnością z założenia grupową, uruchomiła go działalność jednego twórcy

Mowa o Antonim Liberze, który skutecznie i z dużą organizacyjną siłą przebicia realizuje od lat swój program translatorski, nie ograniczając się bynajmniej do czernienia papieru. Przygotowuje on serię tworzonych właśnie z myślą o teatrze tłumaczeń (Sofokles, a ostatnio Homer), trafiających nieustannie do produkcji. Obok Agnieszki Lubomiry Piotrowskiej, przekładającej głównie z rosyjskiego, Libera jest chyba najczęściej dziś wystawianym w teatrach tłumaczem. Nic w tym dziwnego, ponieważ za główny cel działalności translatorskiej na tekstach klasycznych obrał sobie komunikatywność, odejście od języka archaizowanego i złożonego składniowo, odziedziczonego jeszcze po pietystycznym, filologicznym XIX-wiecznym podejściu.

Klasyka w tej wersji bywa zaimpregnowana, bo język, którym mówi (szczególnie w wersji scenicznej), stawia opór w odbiorze. Tłumaczenia Libery, nazywane przez niego „transkrypcjami", nie upraszczają nadmiernie ani nie unowocześniają, wciskając na siłę sensy tekstów napisanych przez wiekami w nowoczesną świadomość. Raczej poszukują sposobu na dotarcie do tych sensów poprzez „wspólną własność", słowa rudymentarne, uniwersalia. Słowa najprostsze, zrozumiałe przez każdego niezależnie od wieku i doświadczenia, które czas historyczny, przemijanie kolejnych pokoleń użytkowników polszczyzny uformował tak, jak wartka woda głazy w potoku.

I tak doczekaliśmy się kolejnej transkrypcji, tym razem z polskiego na… polski. Libera wziął na warsztat „Odprawę posłów greckich", wychodząc z założenia, że pierwsza nowożytna tragedia renesansowa napisana jest językiem, który brzmi dziś jak obcy. Oto mała próbka, jak brzmi po przepisaniu najsłynniejsza fraza dramatu, w której słowa znaczą chyba nieco więcej niż aktualna aluzja polityczna: „Co za nierządne, zepsute królestwo gardzące prawem i sprawiedliwością, w którym za złoto kupić można wszystko. Tak poczynając sobie – marnie skończy". Albo świetna, lotna fraza, zawołanie: „O gdyby rozum dojrzewał jak ciało!".

Przekład ten ostatnio wystawił, w Święto Niepodległości, Maciej Wojtyszko w Teatrze Polskim, a tydzień później premierę miała równolegle powstająca realizacja Leszka Zdunia w Teatrze Polskiego Radia. Choć to dwa różne środowiska, dwa języki teatralne i dwie różne obsady, to ich porównanie pokazuje, jak słowo wciąż w teatrze może ustanowić mocne centrum. Wojtyszko wyciszył to, co mogłoby rozpraszać, utrudniać dostęp do sensów tego dramatu politycznego. Zrezygnował z antycznego kostiumu, z efektów teatralnych, z kreacji atrakcyjnego scenicznego świata, a aktorów ubrał we współczesny kostium. Dodatkową przestrzeń, głębię nadaje jedynie muzyka Marii Pomianowskiej, użyta zresztą w obu inscenizacjach. I jak się okazało, taka „Odprawa…" nie jest jednak ramotą, dotyka także współczesnych, demokratycznych niewygód. Natomiast realizacja Zdunia, bezterminowo dostępna na stronach Polskiego Radia, jeszcze dobitniej pokazała, jak bardzo Teatr Polskiego Radia sprzyja takim zabiegom jak przemyślane transkrypcje. Konflikt, na którym opiera się struktura dramatu Kochanowskiego, jest tu wyświetlony jasno i klarownie.

Nie bez znaczenia w ocenie tych premier jest też to, że takiego teatru, który nie odstrasza na kilometr od językowych staroci, potrzebuje też szkoła. Docenić należy też, że do obsad kolejnych realizacji klasycznych transkrypcji Libery powracają prawdziwi majstrzy, nadający tym frazom głębi i drapieżności – tacy jako Mariusz Bonaszewski (jako Antenor w premierze Polskiego Radia). ©℗

JAN KOCHANOWSKI, „ODPRAWA POSŁÓW GRECKICH"
TRANSKRYPCJA: ANTONI LIBERA, TEATR POLSKI W WARSZAWIE
REŻYSERIA: MACIEJ WOJTYSZKO
MUZYKA: MARIA POMIANOWSKA
SCENOGRAFIA: JOLANTA GAŁĄZKA
KOSTIUMY: GRAŻYNA PIWOROWICZ
PREMIERA: 11 LISTOPADA 2023 R., TEATR POLSKIEGO RADIA
REŻYSERIA: LESZEK ZDUŃ
REALIZACJA AKUSTYCZNA: ANDRZEJ BRZOSKA
MUZYKA: MARIA POMIANOWSKA
PREMIERA: 18 LISTOPADA 2023 R. (DOSTĘPNA NA: POLSKIERADIO.PL)

eprasa.pl 1606071830

Węgierska lekcja transakcyjności

FOT. PIER MARCO TACCA/GETTY IMAGES

Wojciech Golonka

Czy Szwecja zostanie w tym roku członkiem NATO? A raczej: Czy zwlekając dotychczas z ratyfikacją przyjęcia Szwecji do sojuszu północnoatlantyckiego, Węgry rzeczywiście ugrały dla siebie korzyści w NATO, w Unii Europejskiej… a może w Moskwie?

Miękki, ale realny upór naszych „bratanków" manewrujących w cieniu Turcji, jeszcze bardziej dotychczas zadziornej wobec Szwecji, rodzi pytanie o skuteczność polityki zagranicznej mniejszych od Polski krajów gotowych asertywnie eksploatować ich podstawowy atut, którym jest świadoma siebie suwerenność. W rzeczy samej, zwlekanie Turcji i Węgier, a to razem, a to osobno, a to na przemian, w każdym razie – w ewidentnej grze zespołowej, przypominałoby komedię, gdyby nie trwająca wojna u granic NATO, angażująca militarny potencjał sojuszu po stronie Ukrainy. Tymczasem w dobie tej tragicznej wojny węgierska rozgrywka bynajmniej nie jest farsą, a właśnie nastawioną na własne korzyści polityką. Wszak zarówno Turcja, jak i sekundujące jej dotychczas w tych kwestiach Węgry zdają się jak najbardziej gotowe ratyfikować członkostwo Szwecji w NATO, ale nie za darmo – za konkretną polityczną cenę.

Przypomnijmy sobie pokrótce fakty: w niespełna trzy miesiące po inwazji Rosji na Ukrainę, w maju 2022 r., Finlandia i Szwecja deklarują swoją chęć dołączenia do NATO. Jeśli ogólnie rzecz ujmując, kraje członkowskie sojuszu odbierają ten krok bardzo pozytywnie, to od początku przekaz Turcji jest dwutorowy: nie wykluczamy ratyfikacji przyjęcia tych państw do sojuszu, ale najpierw należy zadbać o bezpieczeństwo Turcji. Co ma jedno wspólnego z drugim? To przede wszystkim stosunek obu skandynawskich krajów wobec kurdyjskich bojówek – rzekomo przychylny, zwłaszcza ze strony Szwecji, potentata zbrojeniowego – traktowanych przez Turcję, co akurat zrozumiałe, jako organizacje terrorystyczne, wybrzmiewał jako dominująca nuta w przekazie Ankary: tak, ale, w sumie nie, tzn. dopóki… Z tą różnicą, że dla Finlandii, gotowej złożyć nawet PR-owski hołd prezydentowi Erdoganowi dwa miesiące przed wyborami prezydenckimi w Turcji, w których ubiegał się o bardzo trudną reelekcję (przypomnijmy katastroficzne w skutkach obciążających władzę trzęsienie ziemi w lutym 2023 r.), ten krótki spektakl jątrzenia „chcę – nie chcę" ostatecznie rozwiązał się w marcu 2023 r. Prezydent Finlandii odwiedził Ankarę, dając rękojmię tureckiej praworządności, Erdoğan ustąpił, a Węgry natychmiast dostosowały się do tej decyzji. W konsekwencji już na początku kwietnia Finlandia ostatecznie stała się pełnym członkiem NATO.

Inaczej rzecz ma się ze sprawą Szwecji. Wprawdzie Turcja już na szczycie NATO w Madrycie w czerwcu 2022 r. wyraziła swe poparcie również dla członkostwa Szwecji, ale tylko po to, by następnie miesiącami droczyć się o jego ratyfikację. Droczyć się właściwie o co?

Kwestia stosunku tudzież rzekomego stosunku Szwecji do sprawy kurdyjskiej jest w sumie polem do znacznie szerszych negocjacji, począwszy od wspomnianej już niełatwej reelekcji Erdoğana, do nacisków, zwłaszcza na USA, w kwestii pozyskania myśliwców F-16 (współpraca Turcji z Rosją, w tym zamówienie rosyjskich baterii przeciwlotniczych, znacznie ochłodziła relacje USA – Turcja, zwłaszcza w zakresie możliwości zakupu amerykańskich samolotów bojowych).

Otóż Węgry Viktora Orbána bez skrupułów wykorzystywały postawę Turcji

eprasa.pl 1606071830

do własnej gry, przede wszystkim wobec krytyki węgierskiej demokracji i praworządności na forum unijnym.

CEL PRZECIĄGANIA LINY

Kontekst przeciągania liny ze Szwecją miał dla Węgier jak najbardziej wymiar unijnej rozgrywki – to Szwecja w pierwszym semestrze 2023 r. przewodniczyła Radzie Unii Europejskiej. Zbyt mało, najwyraźniej, aby odblokować pieniądze z KPO również dla Węgier, wystarczająco jednak dużo – w oczach rządu Orbána – aby spróbować uzyskać choćby pokłon na wzór wizyty prezydenta Finlandii w Ankarze.

Ponadto Węgry zapewne liczyły na ciężar polityki euroatlantyckiej, mogącej wywrzeć presję na polityce wewnątrzunijnej, w której, jak wiadomo, Węgry odgrywają obok Polski rolę dyżurnego chłopca do bicia. Zależy wam na Szwecji w NATO, na jeszcze obfitszym dostępie do jej przemysłu zbrojeniowego i zdolności militarnych, zależy wam na uczynieniu z Bałtyku „Morza NATO-wskiego", skutecznie blokującego Rosję (lub ją rozsierdzającego – na dwoje babka wróżyła…)? Bardzo dobrze, w takim razie niech Bruksela, gdzie notabene znajduje się także główna siedziba NATO, odblokuje nam w końcu nasze środki.

Argument za odraczaniem ad Kalendas Graecas ratyfikacji akcesu Szwecji przez węgierski parlament miał zresztą także pewną honorową zasadność, wystarczającą, aby odegrać rolę pretekstu. Skoro Szwecji nie podoba się rząd w Budapeszcie, to czemu ten ostatni ma wiązać się z nią sojuszem wojskowym na wypadek, gdyby Węgry miały bronić Sztokholmu? Argument ten był podnoszony lub nie w tej mydlanej operze nieustającego przyciągania i odpychania, w zależności od sytuacji.

Kiedy na szczycie NATO w Wilnie w lipcu Recep Tayyip Erdoğan zadeklarował porozumienie ze Szwecją, Viktor Orbán, raczej niechętny do pozostania samemu na placu boju, również spuścił gardę. Niemniej kolejne z rzędu publiczne spalenie Koranu we Szwecji już w lipcu spowodowało kolejną zmianę frontu Ankary… a wraz z nią, kilka tygodni później, i Budapesztu. W połowie września minister spraw zagranicznych Węgier, Péter Szijjártó, pisał do swego szwedzkiego kolegi, stanowczo dając do zrozumienia, że Węgry nie zgodzą się na ratyfikację akcesu Szwecji do sojuszu dopóty, dopóki szwedzcy politycy nie zaprzestaną krytyki węgierskiej demokracji. Z pomocą węgierskiemu stanowisku przyszedł zresztą ordynarny atak w szwedzkim filmie edukacyjnym, zrealizowanym z dofinansowaniem państwa, z którego młodzież w Szwecji może się dowiedzieć, że „od 2010 r. demokracja na Węgrzech stopniowo zanika". Ten iście lewacki filmik rzeczywiście mógł rozjuszyć dumny węgierski naród, kiedy występujące w nim postępowe Węgierki krytykują podejście własnego rządu do tradycyjnych wartości patriotyzmu czy rodziny, a jednym z rozmówców „autorytetów" jest także wyjątkowa nieprzyjemna kreatura, Guy Verhofstadt, rozczochrany Belg pałający równie otwartą nienawiścią także do Polski.

Ale czy filmik, z którego scenariuszem państwo nie ma zbyt wiele wspólnego, poza subwencją, czy głosy najróżniejszych polityków, którym Sztokholm przecież ust nie zaknebluje, mogą być wystarczającym argumentem w uniemożliwieniu wzmocnienia sojuszu we wrażliwym sektorze północnowschodniej Europy? Swej irytacji kolejną woltą Budapesztu w kwestii szwedzkiej nie krył ambasador USA na Węgrzech, zarzucając goszczącemu go krajowi hipokryzję, skoro choćby węgierskie siły powietrzne opierają się w całości na szwedzkich samolotach.

EGZEKWOWANIE SUWERENNOŚCI

Zaczęto stawiać również pytanie, zresztą od początku, na ile tandem Ankara-Budapeszt działał w kwestii odraczania akcesu Szwecji do NATO w porozumieniu z Moskwą. Nie ma wątpliwości, że Erdoğan dość zręcznie balansuje na linii Zachód – Wschód, z naciskiem na Wschód, z którym ma więcej zarówno do ugrania, jak i do stracenia w przypadku braku porozumienia. Jasne jest też, że Węgry, których gospodarka oparta jest na współpracy energetycznej z Rosją, nie przyjęły polityki zero-jedynkowej względem Moskwy, a nieustanne zachodnie sztorcowanie Budapesztu siłą rzeczy orientuje go na współpracę z szeroko wspomnianym Wschodem – ostatnio minister Szijjártó mówił w Astanie o wielkim potencjale współpracy z Kazachstanem ze względu na pokrewieństwo historyczne obu narodów. Poruszając ewentualny wątek rosyjski blokady akcesu Szwecji do NATO, wchodzimy jednak w domenę hipotez, gdzie nie tyle wybrzmiewa prorosyjskość Ankary czy Budapesztu, ile po prostu zasada polityki transakcyjnej. Pod tym względem, nie mając wglądu w zacisze rozmów dyplomatycznych, trudno jednoznacznie powiedzieć, co ostatecznie Turcja i Węgry mogły ugrać w kwestii akcesu Szwecji ze strony Zachodu lub Wschodu, lub obu naraz. Przy czym ta dotychczasowa współpraca obu graczy zdaje się właśnie dobiegać końca, jak pod koniec października prezydent Erdoğan przedłożył tureckiemu parlamentowi do ratyfikacji protokół admisji Szwecji do NATO, a oczy obserwatorów z powrotem zwróciły się na Budapeszt. Czy Viktor Orbán wytrzyma presję osamotniony na placu boju? A może kolejny teatralny zwrot – dajmy na to kolejny zwęglony w Szwecji egzemplarz Koranu – umożliwi Turcji pokazanie na nowo pazurów, a Węgrom znów pozwoli operować w jej cieniu?

Przy całej diametralnej różnicy między Warszawą a Budapesztem w podejściu do pilności rozrostu NATO w dobie obecnej, nie mając też możliwości jednoznacznej oceny skuteczności polityki Węgier, trzeba przyznać, że casus zwlekania z ratyfikacją akcesu Szwecji do sojuszu jest doskonałym przykładem małego kraju, który wykorzystując swoją suwerenność, dąży do prowadzenia międzynarodowej polityki transakcyjnej. Konsekwentnie egzekwowana suwerenność jest podstawą polityki wielowektorowej, która umożliwia współpracę na zasadach, które dany kraj uważa za akceptowalne i korzystne. Jakkolwiek droczenie się Węgier byłoby bardziej hałaśliwe niż skuteczne dla ich interesów (w co akurat osobiście wątpię), to samo artykułowanie zasady suwerenności i transakcyjności jest doskonałą odtrutką na spowszechniałe nad Wisłą kompleksy w rodzaju „musimy", „nie mamy innego wyjścia", „jest naszą powinnością" itd. Nie trzeba marzyć o pozycji mocarstwowa, wielkiego kraju, aby wykorzystywać potencjał swej suwerenności tu i teraz, choć w przypadku Zjednoczonej Prawicy pod wodzą Mateusza Morawieckiego jest to spóźniona i niewykorzystana lekcja.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 1606071830

Konserwatywna kotwica?

Politycy Szymona Hołowni (z prawej) są o wiele bardziej postępowi w kwestii podejścia do aborcji, LGBT czy stosunku do Unii Europejskiej niż partnerzy z obozu Władysława Kosiniaka-Kamysza FOT. WOJCIECH OLKUŚNIK/EAST NEWS

Jan Fiedorczuk

W Trzeciej Drodze wyodrębniły się dwa skrzydła – umiarkowane ludowców oraz postępowe Polski 2050. Czy sojusz PSL i Szymona Hołowni mimo tych różnic może odgrywać rolę „konserwatywnej kotwicy" w obozie centrolewu czy też będzie jedynie jego listkiem figowym?

Sojusz Koalicji Obywatelskiej, Lewicy oraz Trzeciej Drogi można określić mianem centrolewu. Co prawda, główny ton tej sile nadaje rzekomo liberalna PO, jednak partia Tuska już dawno porzuciła swoje dawne umiarkowanie zachowawcze oblicze. Platformę Obywatelską, która w 2003 r. zapewniała, że zamierza „bronić praw religii, rodziny i tradycyjnego obyczaju, bo tych wartości szczególnie potrzebuje współczesna Europa", niewiele łączy z dzisiejszą Koalicją Obywatelską, która przejmuje kolejne postulaty postępowców.

W tej perspektywie Trzecia Droga, prowadzona przez Władysława Kosiniaka-Kamysza oraz Szymona Hołownię, wydaje się jedyną namiastką konserwatywnego rozsądku. Tak też zdaje się myśleć prezydent Andrzej Duda, który wskazując Marka Sawickiego na marszałka seniora, najwyraźniej stara się odbudować jakieś porozumienie między odsuniętą od władzy prawicą a ludowcami. Obu liderom Trzeciej Drogi zarzucano jednak od dawna, że traktują konserwatywne postulaty po macoszemu. Czy słusznie?

KLUCZENIE WOKÓŁ ABORCJI

Już pierwsze tygodnie po wyborach unaoczniły, że w tzw. kwestiach światopoglądowych Trzecia Droga pozostaje dla KO i Lewicy partnerem wymagającym, by nie rzec – kłopotliwym. Wprowadzenie możliwości usuwania ciąży „na życzenie" (do 12. tygodnia) była sztandarową obietnicą zarówno partii Donalda

eprasa.pl 1606071830

Tuska, jak i Włodzimierza Czarzastego, więc zrozumiałe, że twarde stanowisko Trzeciej Drogi wywołało pierwsze zgrzyty. Najgłośniej było o poseł Annie Marii Żukowskiej, która w mediach społecznościowych wprost zwróciła się do kobiet, które poparły w wyborach Trzecią Drogę, z quasi-wyrzutem. „Czy wiecie, na co tak naprawdę głosowałyście? Że nawet postulat, żeby nie wsadzać do więzień koleżanek czy partnerów pomagających w dostępie do aborcji jest nieakceptowalny dla Waszych wybrańców?" – napisała poseł.

Sprawa aborcji zburzyła triumfalny nastrój i zakończyła powyborczy miesiąc miodowy środowisk centrolewu. Dzisiaj antypisowskie nastroje są zbyt silne i zbyt mocno wiążą partie zwycięskiej koalicji, by doszło w nich do rozłamu, jednak kwestia aborcji powróci jeszcze do debaty – im bliżej będzie kolejnych wyborów, tym mocniej KO i – zwłaszcza – Lewica będą czuły presję swojego postępowego elektoratu.

Co jednak ważniejsze, ta sprawa i twarde stanowisko PSL pokazały, że ludowcy aspirują do prowadzenia podmiotowej polityki. Gdyby teraz ulegli w sprawie aborcji, zostaliby zdominowani przez Tuska. Będąc wypychany z prowincji przez PiS, Kosiniak-Kamysz od lat przenosił partię do małych i średnich miast, pozując na rozsądną partię centrum, z jednej strony dbającą o przedsiębiorców, a z drugiej szanującą polską tradycję – w skrócie: PSL kreował się mniej więcej na taką partię, jaką była Platforma Obywatelska u swego zarania.

Obrońcy życia nie mają jednak powodów do świętowania. Po pierwsze, koalicja centrolewu może pójść „na rympał" i próbować „anulować" orzeczenie Trybunału Konstytucyjnego (albo nawet skład samego Trybunału) za pomocą sejmowej uchwały i nie wiadomo, jak wówczas zachowa się Trzecia Druga. Po drugie, np. Marek Sawicki już zadeklarował, że jeżeli społeczeństwo w referendum poprze liberalizację przepisów, to on sam zagłosuje za taką ustawą. Sam lider PSL domagał się takiego referendum, a zatem wydaje się, że jego obrona życia nienarodzonego ma raczej charakter polityczny i akcydentalny niż ideowy – tzn. wola ludu jest tu dla niego ważniejsza niż sama postawa pro-life.

Po trzecie, jeszcze inaczej wygląda podejście Szymona Hołowni. Mimo że lider Polski 2050 otwarcie deklarował, że będzie głosował przeciwko ustawie umożliwiającej przeprowadzenie aborcji do 12. tygodnia ciąży, to jednocześnie podkreślał, że należy zakończyć „piekło kobiet", a „prawo w Polsce będzie stanowił Sejm, a nie Episkopat Polski". Sam Hołownia zresztą próbował w 2020 r. podczepić się pod tzw. Strajk Kobiet, jednak został dość brutalnie odprawiony przez liderkę rewolty, Martę Lempart.

Dopytywany niedawno w TVN24 o liberalizację aborcji Hołownia ubolewał, że prezydent Andrzej Duda każdą ustawę odeśle do Trybunału Konstytucyjnego. Zapewniał jednocześnie, że jest „sporo rzeczy praktycznych", które można zrobić z poziomu władzy wykonawczej. Summa summarum Hołownia przyznaje, że chce otworzyć drzwi do liberalizacji aborcji w Polsce. Ten proces ma się odbyć w dwóch krokach – najpierw zostanie

REKLAMA

Zagrożenie czyha na każdym rogu. Uważaj w co klikasz!

Błyskawiczny rozwój technologii ułatwia nam codzienne funkcjonowanie. Nowe, nieznane dotąd rozwiązania, to także gratka dla cyberprzestępców, którzy zawsze są o krok przed służbami. Dlatego tak ważne jest uświadamianie o zagrożeniach, jakie każdego dnia czyhają na nas w sieci. Wystarczą dwa kliknięcia, by wpaść w pułapkę zastawioną przez złodziei i stracić oszczędności całego życia.

Renata na co dzień pracuje jako kosmetyczka w salonie urody. Codziennie przez gabinet przewijają się dziesiątki osób, a wraz z nimi setki historii. Renata z komputera korzysta rzadko, głównie do opłacania rachunków i robienia zakupów przez internet. Często zamawia akcesoria i kosmetyki, których używa każdego dnia w pracy. Gdy po raz kolejny czekała na kuriera otrzymała niepokojącego sms-a o wstrzymaniu dostawy paczki z powodu niedopłaty 2,50 zł. Do wiadomości był dołączony link i instrukcja jak dokonać wpłaty. Renata bez zastanowienia kliknęła w odnośnik i podała dane dostępowe do banku. Niczego nieświadoma kobieta właśnie w ten sposób udostępniła swoje prywatne dane przestępcom. Kilka minut później, do jej drzwi zapukał kurier z wyczekiwaną przesyłką. I to właśnie od niego dowiedziała się, że firma nie wysłała żadnego sms-a, nie było żadnej niedopłaty, a Renata padła ofiarą perfidnych oszustów.

Szybko zadzwoniła na infolinię swojego banku i poinformowała o sytuacji. Niestety złodzieje zdążyli już wypłacić część oszczędności zgromadzonych na koncie. Dopiero blokada konta uniemożliwiła im dalszą kradzież. Kobieta zgłosiła sprawę na policję i dowiedziała się, że takie sytuacje powtarzają się każdego dnia.

Jak zapobiegać oszustwom i przestępcom?

Cyberprzestępcy zawsze są o krok przed służbami i nieustannie modyfikują swoje działania. Coraz częściej podszywają się właśnie pod firmy kurierskie i wysyłają sms-y z informacją o niedopłacie do przesyłki. Linki w wiadomości do złudzenia przypominają stronę internetową banku lub operatora płatności, a to usypia naszą czujność. Ktoś, kto oczekuje na dostawę, podobnie jak pani Renata, jest niezwykle łatwym celem dla oszustów. Policjanci proszą o ostrożność i apelują, by nie klikać w żadne linki, które dostajemy na telefon lub e-mail. Firmy kurierskie nigdy nie będą prosiły o dopłatę do już wysłanych przesyłek. W przypadku jakichkolwiek wątpliwości należy skontaktować się ze sprzedającym lub firmą kurierską, by zweryfikować, czy otrzymana wiadomość jest prawdziwa.

Niezwykle ważne jest uświadamianie i przeciwdziałanie przestępstwom - porozmawiaj ze swoimi bliskimi - szczególnie rodzicami i dziadkami i uświadom ich, z jakimi zagrożeniami mogą spotkać się w internecie.

Fundusz Sprawiedliwości pomaga osobom pokrzywdzonym przestępstwem

Jeżeli jesteś ofiarą lub świadkiem przemocy nie bój się prosić o pomoc. Każde dziecko zasługuje na szczęśliwe i bezpieczne dzieciństwo, a każdy dorosły na spokojne i bezpieczne życie. Każdy pokrzywdzony przestępstwem, świadek oraz osoba im najbliższa może skorzystać z bezpłatnej pomocy w ramach Funduszu Sprawiedliwości. Jest ona udzielana w Lokalnych Punktach i Okręgowych Ośrodkach Pomocy Pokrzywdzonym Przestępstwem, których na terenie całej Polski jest 305. Pomoc realizowana jest przez specjalistów, którzy pomogą rozwiązać nawet najtrudniejsze sprawy - są wśród nich m.in. prawnicy, psychologowie, psychoterapeuci i psychiatrzy, doświadczeni także w pracy z dziećmi i młodzieżą. Placówkę blisko miejsca zamieszkania można znaleźć na stronie:
https://www.funduszsprawiedliwosci.gov.pl/pl/znajdz-osrodek-pomocy/
Do dyspozycji poszkodowanych jest także Całodobowa Linia Pomocy Pokrzywdzonym Przestępstwem (222 309 900), adres e-mail: info@numersos.pl oraz specjalny czat online.

Nie bądź obojętny, reaguj na przemoc!
Nie bój się prosić o wsparcie!

eprasa.pl 1606071830

przywrócony (w jaki sposób – tego już nie precyzuje) status quo ante sprzed orzeczenia z 2020 r., a następnie zostanie rozpisane ogólnonarodowe referendum.

W perspektywie doraźnej zatem Trzecia Droga zablokowała proaborcyjny walec, który szykował Tusk z Lewicą, jednak w perspektywie strategicznej, perspektywie lat, obaj liderzy wydają się popierać postulat liberalizacji prawa, jeżeli tylko taki będzie werdykt referendum.

KOLOROWA KOALICJA

Jaki jest natomiast stosunek liderów PSL i Polski 2050 do kwestii LGBT? O ile radykalnie liberalne postulaty typu „małżeństwa jednopłciowe" czy adopcja dzieci przez takie pary nie mają szans uzyskać ich poparcia, o tyle już niemal pewne się wydaje, że nowy Sejm podejmie próbę wprowadzenia związków partnerskich. Za takim rozwiązaniem przed wyborami optowali sami liderzy formacji. Podobnie rzecz ma się z refundacją procedury in vitro, która po stronie centrolewu nie budzi żadnych kontrowersji.

Postulaty Polski 2050 w sprawie UE różnią się od narracji Lewicy rozłożeniem akcentów, ale ogólny kierunek jest ten sam

Hołownia zapowiedział, że przedstawiciele KO, Trzeciej Drogi i Lewicy porozumieli się również w sprawie poprawy sytuacji środowisk LGBT w Polsce. Jak przekazał, chodzi o „różne rozwiązania, dotyczące choćby mowy nienawiści, z którą takie osoby często się spotykają". Bardzo znamienne, że gdy niedawno słynny aktywista LGBT Bart Staszewski zorganizował spotkanie z politykami zwycięskiej koalicji centrolewu, znaleźli się na nim przedstawiciele wszystkich partii oprócz PSL. Ten obrazek też dość dobrze oddał, że w Trzeciej Drodze mamy do czynienia ze skrzydłem postępowym i zachowawczym.

– My jesteśmy partią, która reprezentuje program nie tyle konserwatywny, ile program ewolucyjnych zmian społecznych – mówił Michał Kobosko, co jest chyba dość dobrym podsumowaniem tej formacji. Polska 2050 jest tworem o wiele bardziej liberalnym niż ludowcy i o ile PSL może przypominać PO z początków jej aktywności, o tyle partii Hołowni jest zdecydowanie bliżej do Platformy współczesnej. Polsce 2050 nie zależy na obronie konserwatywnych wartości, tylko na tym, aby odejście od nich było możliwie spokojne. To „konserwatyzm" w brytyjskim wydaniu.

„TAK" DLA UNII

Jedna z głównym zmian, które wprowadzi rząd Tuska, ma dotyczyć relacji z Unią Europejską. Czy oznacza to zatem poparcie niemieckich i francuskich planów centralizacji Europy? W tej sprawie głos zabrał niedawno Marek Sawicki, który zapowiedział, że będzie namawiał europosłów PSL, żeby głosowali przeciwko zmianie traktatów pogłębiających integrację UE. – My jesteśmy przeciwnikami dalszej federalizacji w kolejnych obszarach i ja jeszcze dziś będę rozmawiał z naszymi europosłami, żeby za federalizacją ręki nie podnosili – zadeklarował Sawicki. Co więcej, polityk krytykował Jarosława Kaczyńskiego i Mateusza Morawieckiego za uszczuplanie polskiej suwerenności na rzecz Brukseli.

Warto jednak pamiętać, że gdy w grudniu 2020 r. Zbigniew Ziobro sprzeciwiał się zaciąganiu wspólnego długu unijnego, wskazując, że de facto oznacza to dalszą integrację Europy oraz wdrożenie mechanizmu „pieniądze za praworządność", wówczas lider PSL krzyczał o „zdradzie narodowej". – Weto w sprawie unijnego budżetu to zdrada narodowa, zdrada interesów Polski, zdrada polskich przedsiębiorców, rolników i wspólnot samorządowych; nie można do tego dopuścić – perorował Kosiniak-Kamysz.

W oficjalnych wypowiedziach ludowcy mogą być przeciwni dalszej federalizacji Europy; problem polega na tym, że nikt w Unii nie będzie pytał Polaków, czy chcą wyzbywać się kolejnych atrybutów suwerenności. Zamiast tego będą forsowane kolejne pakiety, które „po cichu" mają nas tej suwerenności pozbawić – wspólna waluta, armia, kolejny wspólny dług etc. Wszystko stanie się wspólne i nie będzie sensu pytać o centralizację Europy.

I tak jak w przypadku aborcji i LGBT Polska 2050 odgrywa rolę liberalnego skrzydła Trzeciej Drogi, tak samo w przypadku stosunku do Unii Europejskiej politycy Hołowni są o wiele bardziej postępowi niż partnerzy z PSL. Lider Polski 2050 jeszcze przed wyborami opowiadał się za pogłębioną integracją oraz rezygnacją z narodowej waluty na rzecz euro, a także był za stworzeniem „wspólnoty obronnej" UE. Dość wymowne jest też to, że jedynym europosłem Polski 2050 jest Róża Thun – członek Grupy Spinelli, zdecydowana zwolenniczka integracji, likwidacji prawa weta etc. W rzeczywistości postulaty Polski 2050 wobec UE różnią się od narracji Lewicy być może rozłożeniem pewnych akcentów, ale ogólny kierunek – unijne superpaństwo – wydaje się ten sam.

W sprawie likwidacji złotówki PSL ma de facto podobne poglądy. Ludowcy podkreślają, że w obecnej chwili jest to niemożliwe, gdyż PiS „zrujnował polską gospodarkę", ale samo przyjęcie euro jak najbardziej popierają. Wiceprezes ludowców Adam Jarubas już w 2015 r. przyznawał, że Polska będzie musiała w przyszłości zrezygnować z własnej waluty. Te poglądy jednak i tak wydają się w miarę umiarkowane na tle Szymona Hołowni, który niedawno domagał się likwidacji gotówki i całkowitego przejścia na pieniądz elektroniczny.

PSEUDOKOTWICA?

Te wszystkie wątpliwości każą postawić pytanie, czy Władysław Kosiniak-Kamysz i Szymon Hołownia faktycznie odgrywają rolę „prawicowej kotwicy". Problem polega na tym, że po porażce formacji Kaczyńskiego prawa strona nie ma zbyt szerokiego wyboru. Faktem jest natomiast, że już sama obecność tego duetu w koalicji rządzącej stonowała rewolucyjny zapał anty-PiS. Najlepiej świadczy o tym to, że Lewica, która szła do wyborów z postulatem aborcji na życzenie, obecnie ograniczyła się do powrotu do tzw. kompromisu sprzed orzeczenia TK.

O ile jednak w kwestii szeroko rozumianego światopoglądu PSL zachowuje jeszcze umiarkowaną postawę i może spowalniać rewolucyjny walec, o tyle już w kwestii europejskiej integracji oba skrzydła Trzeciej Drogi – liberalne i umiarkowane – wydają się niewiele różnić od reszty centrolewu. A to przecież na tym polu rozegra się najważniejszy spór o przyszłość Polski i Europy.

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 1606071830

O pewnej miłości,

która na śmierć nie umiera...

Kiedy w życiu człowieka pojawia się poważna choroba i zapowiedź bliskiej śmierci, własnej czy kogoś kochanego, rozpada się świat. Gniew, bezbrzeżny strach, fizyczne cierpienie, rozpacz, próby zrozumienia, gwałtowne szukanie ratunku... W takich dramatycznych chwilach przychodzą z pomocą organizacje Caritas, które niemal w całej Polsce prowadzą hospicja zapewniające wszechstronne wsparcie chorym i ich rodzinom. Jedna z takich rodzin, państwo Ilona i Wojciech Chmieleccy, na ostatnim etapie życia pana Wojciecha, korzystała z opieki w Hospicjum im. św. Matki Teresy z Kalkuty w Kielcach.

Z panią Iloną, o życiu, chorobie, hospicjum i miłości, rozmawia koordynatorka wolontariatu hospicyjnego Caritas kieleckiej, Dominika Borkowska.

D.B.: Pani Ilono, Wasze życie z chwilą rozpoznania choroby całkowicie się zmieniło. Jakie ono było „przed"...?

I.C.: Byliśmy młodzi i zwyczajnie szczęśliwi. Pobraliśmy się pod koniec studiów, po dwóch latach na świat przyszli syn, potem córka. Mąż był geodetą; to była jego pasja. Sporo wyjeżdżał. Nadrabialiśmy te rozstania, spędzając dużo czasu razem, gdy wracał: kino, teatr, wypady w góry, wakacje, spotkania z przyjaciółmi, których mieliśmy wielu. Wojtek był cudownym mężem, a także wspaniałym ojcem i zawsze znajdował czas dla dzieci. Nic wielkiego, ale czuliśmy, że świat mamy u stóp i nie wyobrażaliśmy sobie, że ta ładna bańka miałaby prysnąć.

– I przyszła ta porażająca diagnoza... Jak zdołaliście to udźwignąć?

– To nie stało się nagle. Gdy Wojtek wracał, zauważałam czasem u niego stan „zawieszenia", pojawiały się problemy z koncentracją, mową, drętwienie ręki, w końcu utraty przytomności. Początkowo tłumaczyliśmy to tym, że jest przepracowany, nieregularnie je... Diagnoza przyszła w 2008 r. Nowotwór mózgu, glejak. Operacje, radio- i chemioterapie. Ale choroba postępowała. Paraliż, zaburzenia mowy,

czasem nas nie poznawał... Mieszkanie dostosowaliśmy do jego potrzeb, jeden pokój jak sala szpitalna, ja przeniosłam się do kuchni, żeby zostawić miejsce dzieciom. One szybko dojrzały. Były dzielne, nauczyły się alarmować pogotowie, pilnowały nauki, nie narzekały... Ale syn, dorastając, nie mógł liczyć na obecność ojca, my z córką nie mogłyśmy wyskoczyć na „dziewczyńskie" zakupy... Spałam jak mysz, czujna, czy Wojtek nie ma kłopotów z oddechem... A rano trzeba było iść do pracy. Opatrzność czuwała: awansowałam wtedy i były pieniądze na pomoc i sprzęt...

– Mieliście dużo znajomych. Pomagali?

– To trudny temat. Kiedy Wojtek był zdrowy, telefony się urywały. Zawsze ktoś potrzebował porady, chciał się spotkać... Kiedy mąż zachorował, zrobiła się dziwna cisza. To bolało. Wiem, trudno jest zadzwonić i zapytać: „Jak bardzo jest źle?", „Czy żyje?", ale rodzina chorego bardzo czeka na każdy objaw zainteresowania i obecność. Dziękuję wszystkim, którzy w tym okresie się jednak pojawili, zwykle z podobnymi doświadczeniami.

– Przyszedł 2020 r., pandemia. I dramatyczny lipiec...

– Wiosną stan męża się pogorszył, a w lipcu lekarka z pogotowia już nawet nie zbadała Wojtka, stwierdziła jedynie po analizie dokumentów, że to agonia i najlepiej, jeśli odejdzie w domu. Szukałam po omacku ratunku w Internecie i trafiłam na kieleckie hospicjum. Rano telefon i decyzja pani kierownik: proszę przywieźć męża. Kiedy jechałam z nim karetką, byłam przerażona. Wojtek miał przewrócone oczy, był bezwładny. Na miejscu nie mogłam zobaczyć, w jakich warunkach go zostawiam, bo COVID-19... To był piątek, do niedzieli płakałam. Nie wiedziałam, że człowiek ma w sobie tyle łez.

– Miała Pani wyrzuty, że mąż został w hospicjum?

– Ogromne. Ale potem zdarzył się cud. Pierwsze odwiedziny. Wojtek przytomny, uśmiecha się, zadbany. Potem kolejne. I za każdym razem było coraz lepiej. Pielęgniarki uczyły go mówić i czasem zwracał się do mnie „żono", „Ilono", w końcu usłyszałam nawet „kocham Cię"... Tego się nie da opisać. Troska personelu, fachowi, życzliwi, pomocni ludzie... Urządziliśmy nawet Wojtkowi jego 45. urodziny... I ta ulga, kiedy podnosił do góry kciuki i pokazywał, żebym nie czuła się winna, że jest mu dobrze...

– Bardzo chciał żyć, prawda?

– Tak, nawet wtedy, gdy było bardzo ciężko. Odszedł po dwóch latach pobytu w hospicjum. Dostaliśmy jeszcze dwa lata! Po jego śmierci znalazłam zapiski. Pisał, że musi żyć, że ma dla kogo, że musi dać radę, żeby dzieci zdążyły dorosnąć. I to mu się udało. Kiedy odszedł, syn miał 21 lat, córka 17. Kiedy pierwszy raz usłyszeliśmy diagnozę, dawano mu pół roku życia. Byliśmy w tym razem jeszcze 15 lat...

– Bardzo dziękuję za rozmowę.

Więcej o misji hospicyjnej Caritas, historiach pacjentów i ich rodzin, o wolontariacie i możliwościach wsparcia dzieła hospicyjnego Caritas znajdą Państwo na **hospicjowo.caritas.pl**

Hospicjowo caritas

ARTYKUŁ SPONSOROWANY

NIW Narodowy Instytut Wolności Centrum Rozwoju Społeczeństwa Obywatelskiego

Projekt sfinansowany ze środków Rządowego Programu Fundusz Inicjatyw Obywatelskich NOWEFIO na lata 2021–2030

Program Fundusz Inicjatyw Obywatelskich na lata 2021-2030 NOWE FIO

eprasa.pl 1606071830

Szczyt

Łukasz Warzecha

Szczyty COP to zawsze ten sam rytuał: przyjeżdżają światowi przywódcy, wygłaszają peany, podejmują zobowiązania. Na szczęście na ogół się z nich nie wywiązują

Tak wygląda Dubaj niecałe dwa tygodnie przed rozpoczęciem szczytu klimatycznego COP28. To co, odchodzenie od paliw kopanych wciąż radykalne?" – napisała na Twitterze Wiktoria Jędroszkowiak, aktywistka. Ilustracją był filmik, pokazujący zalaną do wysokości mniej więcej metra ulicę (podobno w Dubaju). Komentujący szybko wytknęli pani Jędroszkowiak ignorancję. Dubaj, miasto w Zjednoczonych Emiratach Arabskich, nie posiada w pełni funkcjonalnego systemu odprowadzania wody deszczowej, ponieważ ulewne deszcze zdarzają się tam tylko kilka razy w roku. A gdy już do nich dochodzi – mamy właśnie takie obrazki jak te, którymi podzieliła się pani Jędroszkowiak. Władze Dubaju tłumaczyły się z tego stanu rzeczy już wiele lat temu. W sieci można znaleźć opisy identycznych skutków ulew w Dubaju sprzed kilkunastu lat. Jest to tamtejszy standard, nic nadzwyczajnego.

COP28 zaczyna się 30 listopada i potrwa do 12 grudnia. Niewykluczone, że pani Jędroszkowiak, zawodowa 21-letnia aktywistka Inicjatywy Wschód, również tam będzie. Ciekawe, jak dotrze na miejsce, nie zostawiając śladu węglowego. Miejmy nadzieję, że środkiem transportu nie będzie samolot. Nie ma jednak złudzeń – delegacje przybywające do ZEA na kolejną klimatyczną konferencję pod egidą ONZ wygenerują odpowiednio wielki ślad CO_2, bo kajakami raczej płynąć nie będą.

TYPOWY AKTYWISTA KLIMATYCZNY

Warto się zatrzymać przy postaci pani Jędroszkowiak, bo to pouczający przykład typowego aktywisty klimatycznego – choć nie tylko. Zacznijmy od cytowanego na początku wpisu. Był on charakterystyczny dla tej grupy: żadnej weryfikacji faktów, żadnego sprawdzania – czysta gra na emocjach za pomocą obrazka. Gdyby poważnie potraktować przesłanie zawarte w tweecie aktywistki, trzeba by uznać, że jeśli odejdziemy od paliw kopalnych – ze wszystkimi fatalnymi dla naszego życia skutkami – to Dubaj przestanie być zalewany. Co jest oczywistym absurdem. Takimi chwytami posługują się ludzie, którzy jednocześnie domagają się szacunku dla „nauki". Każda myśląca krytycznie osoba, widząc obrazki z Dubaju, zapyta najpierw, czy to sytuacja tam typowa czy nadzwyczajna, jakie są lokalne warunki hydrologiczne, jaka infrastruktura kanalizacyjna. Aktywiści klimatyczni takich pytań nie zadają. Im wszystko kojarzy się ze zmianą klimatu. Nawet to, że jest zimno.

Inna aktywistka, 27-letnia Dagmara Adamiak, sfotografowała się 19 listopada na tle zaśnieżonej warszawskiej ulicy i napisała na Twitterze: „Ośnieżona Warszawa w listopadzie. Niby nic takiego, ale jeszcze trochę ponad miesiąc temu mieliśmy temperaturę powyżej 20 stopni. Te przeskoki nie są normalne i są skutkiem zmian klimatycznych". Faktycznie, to absolutnie niezwykłe, że jesienią jest najpierw ciepło, a potem zimno. Jak widać, w narrację klimatystyczną można wkomponować wszystko: upał, ziąb, grad, śnieg, deszcz, suszę i powódź. Przy okazji trzeba wiedzieć, że końcówka listopada w tym roku jest w Polsce najzimniejsza od 19 lat. Ale to zapewne również świadczy o zmianach klimatu.

Dla wyjaśnienia warto dodać, że pani Adamiak jest z wykształcenia prawnikiem, podobnie zresztą jak inny apostoł klimatyzmu Jakub Wiech, zatem jej kompetencje do orzekania, co jest, a co nie jest skutkiem zmian klimatu, są zerowe.

eprasa.pl 1606071830

Uczestnicy szczytu klimatycznego COP27, który w ubiegłym roku odbył się w Egipcie FOT. AHMAD GHARABLI/AFP/EAST NEWS

absurdów

Inicjatywa Wschód, do której należą Wiktoria Jędroszkowiak, a także inna klimatystyczna celebrytka, Dominika Lasota, łączy w swojej działalności różne wątki. To nie tylko agresywne przesłanie klimatystyczne, z żądaniem błyskawicznej rezygnacji z paliw kopalnych włącznie, lecz także retoryka antyrynkowa, antyliberalna i antywolnościowa. W czasie ostatnich Igrzysk Wolności, organizowanych tradycyjnie w Łodzi we wrześniu przez lewicowo-liberalne środowisko magazynu „Liberté", wystąpił prof. Leszek Balcerowicz. Aktywiści Inicjatywy Wschód wdarli się wtedy na scenę z transparentem z napisem: „PiS i Balcerowicz muszą odejść". Profesor Balcerowicz ze swoim klasycznym liberalnym przesłaniem jest dla tej grupy wrogiem takim samym – a może nawet większym – jak partia Jarosława Kaczyńskiego. Oskarżają go o negowanie zmian klimatycznych i chwalenie programu gospodarczego Konfederacji. Nie ma w tym nic zaskakującego – wszak jednym z najczęściej pojawiających się u klimatystów przesłaniem jest to o konieczności wejścia na drogę „degrowth", czyli celowego gaszenia wzrostu gospodarczego. Aktywiści nie dostrzegają przy tym w ogóle, że środowiska polityczne i biznesowe forsujące radykalną agendę klimatyczną chcą doprowadzić do koncentracji własności w największych, globalnie operujących koncernach. Takie byłyby bowiem konsekwencje przejścia z modelu rozproszonej własności na model współdzielenia i wypożyczania, którym aktywiści się zachwycają.

Aktyw klimatystyczny ma pewne wspólne cechy, których prefiguracją była postać Grety Thunberg. Naczelna z tych cech to niedojrzałość. Mówimy o ludziach, którzy rzadko kiedy mają więcej niż 30 lat, a na ogół znacznie mniej. Ich horyzont świadomego doświadczenia życiowego ma zaledwie kilka lat. Nie mają rodzin i zobowiązań. Bardzo często nie mają wyższego wykształcenia. Wiktoria Jędroszkowiak oznajmiła w ubiegłym roku, że podjęła dramatyczną decyzję o „zwieszeniu" studiów, aby poświęcić się aktywizmowi.

Druga cecha to całkowita niezdolność do zrozumienia konsekwencji decyzji, których podjęcia się domagają. Ich modus operandi to przeprowadzanie „konfrontacji" z decydentami: zjawiają się tam, gdzie pojawiają się politycy, i zadają im „trudne", a faktycznie – absurdalne pytania, na które nie da się krótko i prosto odpowiedzieć. Brak takiej odpowiedzi ogłaszają następnie triumfalnie jako niechęć do podjęcia „zdecydowanych działań". Są intensywnie pompowani przez media takie jak „Gazeta Wyborcza", w związku z czym mają poczucie własnej ważności i znaczenia.

Wbrew narracji, którą powtarzają politycy Koalicji Obywatelskiej czy Polski 2050, aktywiści w typie pań Jędroszkowiak czy Lasoty nie powinni być dla nikogo partnerami do jakiejkolwiek poważnej dyskusji. Niestety, tak się ich właśnie traktuje. Gdyby ich postulaty zostały zrealizowane, oznaczałoby to dla nas trudne do wyobrażenia koszty, znacznie nawet większe niż i tak fatalna polityka klimatyczna UE, a także masową pauperyzację. Ta prawda pozostaje jednak poza ich horyzontem intelektualnym.

DOGMAT KONSENSUSU

Jednym z najczęściej powtarzanych przez aktywistów argumentów jest ten, że co do antropogenicznych przyczyn globalnego ocieplenia – czy może raczej, jak to się dzisiaj częściej mówi, zmian klimatu – istnieje „naukowy konsensus". To twierdzenie powtarzane jest tysiące razy w tysiącach artykułów, w wypowiedziach aktywistów czy polityków. Żadna z tych osób nie stara się zbadać sprawy i dowiedzieć się, w jaki sposób ów rzekomy konsensus został ustalony. Funkcjonuje on jak dogmat. Jest to jednak dogmat całkowicie fałszywy, a obecnie powtarzana liczba „99 proc. naukowców" rzekomo zgadzających się co do antropogenicznych przyczyn zmian klimatu jest oparta na manipulacji. Jak do niej doszło?

Twierdzenia o rzekomym konsensusie naukowym mają kilkunastoletnią historię. Po raz pierwszy pojawiły się w artykule prof. Naomi Oreskes, opublikowanym w połowie pierwszej dekady lat dwutysięcznych. Następnie w bardziej znanym badaniu Johna Cooka z 2013 r. – mowa była wtedy o konsensusie na poziomie 97,1 proc. Ostatnio odsetek ten został podwyższony do 99 proc. w badaniu zespołu pod kierownictwem Marka Lynasa, opublikowanym w 2021 r. w czasopiśmie „Environmental Research Letters". Od tego czasu klimatyści tryumfalnie twierdzą, że właściwie nie ma już o czym dyskutować. Czyżby?

Podstawowe zastrzeżenie jest takie, że prawdy w naukach, a szczególnie

eprasa.pl 1606071830

w naukach ścisłych, nie ustala się poprzez głosowanie. Jakikolwiek konsensus nie może być zatem podstawą do stwierdzenia, że coś jest faktem lub zostało dowiedzione ponad wszelką wątpliwość.

Ważniejsze jednak jest to, jak Oreskes, potem Cook, a następnie Lynas osiągnęli opisywane rezultaty. Wszyscy posługiwali się niemal identyczną metodą, która została przeanalizowana w artykule sześciu izraelskich naukowców (w tym gronie są m.in. cybernetyk, fizyk i chemik), opublikowanym w październiku, a zatytułowanym „Ninety-Nine Percent? Re-Examining the Consensus on the Anthropogenic Contribution to Climate Change" („Dziewięćdziesiąt dziewięć procent? Krytyczne spojrzenie na konsensus w sprawie antropogenicznego wkładu w zmianę klimatu"). Autorzy rozłożyli na czynniki pierwsze metodologię zastosowaną przez Lynasa, ale zaznaczają, że te same uwagi dotyczą poprzednich podobnych badań.

Ich pierwszym zastrzeżeniem jest, że Lynas pracował na bazie 3 tys. artykułów naukowych, biorąc jednak pod uwagę nie całą ich treść, a jedynie tytuły oraz podsumowania. Brał pod uwagę teksty naukowe, ale nie ograniczając się do tych pisanych przez klimatologów czy nawet przedstawicieli nauk ścisłych. Aby zakwalifikować tekst do grupy badanych, wystarczyło, że w tytule lub podsumowaniu wspominał on o zmianach klimatycznych, autor natomiast mógł być dowolnej specjalizacji – nawet humanistycznej.

Lynas przyjął siedmiostopniową skalę, w której 1 oznaczało jednoznaczne i oparte na obliczeniach potwierdzenie hipotezy o antropogenicznych przyczynach zmian klimatu (AGO), 7 – odrzucenie tejże na tych samych zasadach, będące zaś pośrodku skali 4 – brak stanowiska albo niepewność. Do tej pierwszej grupy zaliczono 19 artykułów, do drugiej – jeden, a do trzeciej, czyli środkowej – aż 2104 teksty. Tyle że Lynas wszystkie te 2104 artykuły zgodnie z przyjętym przez siebie kryterium uznał za… potwierdzające hipotezę o AGO. Jak to możliwe?

Otóż – jak wytykają autorzy analizy – świadomie lub popełniając niezamierzony błąd, Lynas zastosował chwyt, który w erystyce nazywa się petitio principii. Polega to na użyciu jako założenia tego, co dopiero ma zostać udowodnione. Lynas uznał, że każdy tekst, który wprost nie kwestionuje hipotezy AGO, może zostać zaliczony do grupy popierających ją, ponieważ jest to pogląd dominujący. Zatem jeśli autor danego artykułu go nie kwestionuje, to znaczy, że go popiera. Tyle że to, czy jest on dominujący czy też nie, miało pokazać dopiero prowadzone przez niego badanie!

Gdyby z rozpatrywanej próby tekstów pozostawić tylko te, które jednoznacznie i na liczbach opowiadają się za jednym lub drugim wyjaśnieniem zmian klimatu, mielibyśmy próbę raptem 20 tekstów, a przewaga hipotezy o AGO wynosiłaby 95, a nie 99 proc. Przy czym na podstawie tak niewielkiej liczby artykułów w ogóle trudno mówić o dominacji tego czy innego poglądu, bo jest to próba statystycznie nieznacząca.

Na poprzednim szczycie COP w Szarm el-Szejk obecny był prezydent Andrzej Duda. Nie wiadomo po co

Izraelscy naukowcy wskazują także, że uwzględnienie jedynie tytułów tekstów i podsumowań może prowadzić do znaczącego zafałszowania wyników. Istnieje bowiem zjawisko nazywane „mellow abstract bias", czyli „syndrom rozmycia podsumowania". Naukowcy często rozmywają przesłanie swoich tekstów zawarte w podsumowaniach, ponieważ obawiają się, że jeśli będzie ono zbyt wyraziste, to ich teksty spotkają się z niekorzystnym przyjęciem. Dlatego jest możliwe, że na podstawie podsumowania tekst zostaje zaliczony do neutralnych (według Lynasa – wspierających hipotezę AGO), podczas gdy jego treść stawia go po sceptycznej stronie skali. Ale jako się rzekło, treścią Lynas się już nie zajmował.

Aby zweryfikować tę hipotezę, Izraelczycy przeprowadzili eksperyment. Wybrali 50 artykułów, które w swojej treści kwestionowały hipotezę AGO. Następnie przekazali je dwojgu niezależnych weryfikatorów, którzy niezależnie od siebie mieli je zakwalifikować zgodnie z kryteriami przyjętymi przez Lynasa. Okazało się, że aż 54 proc. z nich zostałoby uznanych za wspierające hipotezę AGO!

Izraelscy badacze usystematyzowali i poparli eksperymentem to, co i tak była jasne dla każdego, kto wczytał się w zastosowaną przez Lynasa i jego poprzedników metodologię (oni także nie pracowali na całych tekstach i również przyjmowali zasadę „dorozumianej zgody" z hipotezą AGO). Po tej publikacji twierdzenie o 99-procentowym konsensusie powinno zniknąć z debaty jako całkowicie nieuprawnione. Czy tak się stanie? Oczywiście nie. Przecież wokół polityki klimatycznej nie toczy się żadna racjonalna dyskusja. Klimatyści grają wyłącznie na emocjach i starają się pobudzić u ludzi histerię. W innych z kolei przypadkach zachowują się jak sekta. Wystarczy popatrzeć na to, jak wyglądają blokady ulic w wykonaniu aktywistów niemieckiej Letzte Generation albo brytyjskiego Just Stop Oil. Można odnieść wrażenie, że ma się do czynienia z grupą zombie, a nie z żywymi ludźmi.

Szczyty COP to zawsze ten sam rytuał: przyjeżdżają na nie światowi przywódcy, wygłaszają wzniosłe peany na rzecz walki o klimat, podejmują zobowiązania – z których następnie na ogół się nie wywiązują. Szczęśliwie kolejne zawierane porozumienia nie są wiążące, są jedynie deklaracjami. W tym cyrku udział biorą również aktywiści, tacy jak z Inicjatywy Wschód. Kto w tym roku będzie reprezentował Polskę? Nie wiadomo. Nie ma to zresztą większego znaczenia, ponieważ UE występuje jako całość ze swoją absurdalną, szkodliwą, antywzrostową polityką klimatyczną.

Na poprzednim szczycie w Szarm el-Szejk w Egipcie w 2022 r. obecny był – zupełnie nie wiadomo, po co i dlaczego – prezydent Andrzej Duda. Czy w tym roku pojedzie do Dubaju, to się okaże (tej informacji nie sposób w prezydenckim kalendarzu odnaleźć). Konferencji będzie natomiast przewodniczył sułtan Ahmed Al Jaber, prezes Abu Dhabi National Oil Company – giganta naftowego, co samo w sobie jest dość zabawne. Na COP26 w Glasgow w Szkocji dwa lata temu auta na baterię, które woziły delegatów, trzeba było podładowywać za pomocą dieslowskich generatorów prądu. Szykujmy się zatem na kolejną porcję klimatystycznych absurdów.

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 1606071830

Pobierz i czytaj za darmo dodatek w wersji elektronicznej!

tygodnik.dorzeczy.pl/dodatki-specjalne

WSPÓŁFINANSOWANO ZE ŚRODKÓW FUNDUSZU SPRAWIEDLIWOŚCI, KTÓREGO DYSPONENTEM JEST MINISTER SPRAWIEDLIWOŚCI

Fundusz Sprawiedliwości

funduszsprawiedliwosci.gov.pl

Ministerstwo Sprawiedliwości

eprasa.pl 1606071830

Paweł Chmielewski

Biskup Joseph Strickland z Teksasu od lat angażuje się w obronę doktryny oraz moralności i krytykuje współczesne ideologie, z transgenderyzmem na czele

FOT. ANDREW D. BROSIG/TYLER MORNING TELEGRAPH/AP/EAST NEWS

To dopiero początek?

Podczas gdy Franciszek tak surowo potraktował bp. Stricklanda, dziesiątkom albo nawet setkom biskupów, którzy każdego dnia kwestionują najbardziej elementarne zasady wiary Kościoła, nie spada włos z głowy. Według bp. Athanasiusa Schneidera z Kazachstanu casus Stricklanda to dopiero początek swoistego prześladowania prawowiernych pasterzy

Biskup Joseph Strickland z diecezji Tyler w Teksasie to biskup znany katolikom na całym świecie. Od wielu lat angażuje się w obronę doktryny oraz moralności i ostro krytykuje współczesne ideologie, z transgenderyzmem na czele. A jednak to właśnie ten hierarcha został 11 listopada usunięty przez papieża z urzędu. Według samego bp. Stricklanda zaważył na tym całokształt jego posługi. „W Kościele są siły, które nie chcą prawdy Ewangelii. Chcą ją zmienić, chcą, żeby była ignorowana [...]. [Nie chcą] Prawdy, którą jest Jezus Chrystus, Jego Mistyczne Ciało, czyli Kościół, [nie chcą] wszystkich wspaniałości, za które przez dwa tysiące lat ginęli męczennicy, i dla których żyli święci" – mówił hierarcha amerykańskim mediom, dodając, że nie jest w stanie wskazać żadnej innej przyczyny decyzji Franciszka.

Jest w tym wiele racji, bo istnienie w Kościele grup, które gardzą Ewangelią i chciałyby „oczyścić" katolicyzm z Chrystusa, jest oczywistym faktem. W samych Stanach Zjednoczonych działa całkiem spora liczba kardynałów i biskupów, która marzy o ostatecznym pokonaniu tradycyjnej wiary i zastąpieniu jej liberalnym erzacem chrześcijaństwa. W ostatnich latach ich szeregi otrzymały duże wzmocnienie od Franciszka, np. dzięki nominacjom kardynalskim dla Roberta McElroya z San Diego, Blase'a Cupicha z Chicago czy Wiltona Gregory'ego z Waszyngtonu. To ludzie, którzy popierają rzeczy dla normalnego katolika po prostu grzeszne. Dlatego biskup z Teksasu od lat denerwował takich jak oni, wypowiadając się z ewangelicznym rygoryzmem na temat homoseksualizmu, przyjmowania Komunii Świętej przez proaborcyjnych polityków w stylu Bidena czy angażując się w społeczne protesty przeciwko zepsuciu i dewiacjom. Patrzyli na niego z nienawiścią: ordynariusz zapyziałej diecezji oskarża ich, „światłych liberałów", o herezję, kiedy chcą implementować w Kościele rewolucję seksualną!

OSKARŻENIE O HEREZJĘ

Wszystko wskazuje na to, że los bp. Josepha Stricklanda został przypieczętowany 12 maja 2023 r. Hierarcha opublikował wówczas na Twitterze wpis, w którym odniósł się do tez mało poważnego amerykańskiego publicysty, niejakiego Patricka Coffina, głoszącego, że Franciszek nie jest papieżem. „Nie zgadzam się. Wierzę, że papież Franciszek jest papieżem. Jednocześnie nadszedł dla mnie czas, by powiedzieć, że odrzucam jego program podważania depozytu wiary. Idźcie za Jezusem" – stwierdził bp Strickland. Wpis został silnie nagłośniony, opisywały go media katolickie na całym świecie.

Choć pozornie może się wydawać, że to krytyka Franciszka, wprawdzie ostra, ale jednak dość typowa dla amerykańskich środowisk konserwatywnych, to w istocie jest nieco inaczej. „Depozyt wiary" oznacza fundamentalną, niejako rdzeniową część nauki Kościoła. Biskup Strickland, stwierdzając, że Franciszek odrzuca ów depozyt w sposób „programowy", oskarżył papieża de facto o notoryczną, zatwardziałą herezję. Nawet jeżeli nie miał tego na myśli, to takie jest formalne znaczenie jego słów, a trudno wyobrazić sobie cięższy zarzut wobec papieża.

Franciszek łatwo mógł wykorzystać to jako swoiste „przekroczenie czerwonej

eprasa.pl 1606071830

linii", żeby usunąć niewygodnego hierarchę. Dlatego zaledwie miesiąc później w diecezji Tyler została przeprowadzona wizytacja apostolska. To standardowa procedura, której używa papież wobec diecezji, w której panuje sytuacja jego zdaniem z jakichś przyczyn niepokojąca. Wizytację przeprowadzili dwaj amerykańscy biskupi: Dennis Sullivan z Camden oraz Gerald Kicanas, emerytowany ordynariusz Tuckson. O swoich ustaleniach poinformowali Stolicę Apostolską, mając w konkluzji rekomendować położenie kresu rządom bp. Stricklanda. Według informacji podawanych w tamtym okresie przez amerykańskie media wizytacja miała na celu przyjrzenie się przede wszystkim kwestiom administracyjnym i finansowym. Niewątpliwie był to tylko pretekst, bo bp Strickland rządził diecezją od 2012 r. i media nie informowały nigdy, by działo się tam cokolwiek niewłaściwego.

„Wyrok" zapadł w reakcji na publikację cytowanego wpisu. 9 listopada Franciszek poprosił Stricklanda, by sam złożył urząd. To zwykła procedura: tak samo papież zrobił niedawno względem ordynariusza Sosnowca, bp. Grzegorza Kaszaka, jakkolwiek w jego sprawie istniały poważne przesłanki do wystosowania tej prośby. Kaszak przyjął prośbę i złożył rezygnację; bp Strickland, czując się niesłusznie oskarżany, nie. Dlatego dwa dni później Franciszek po prostu usunął go sam.

CO WOLNO, A CZEGO NIE WOLNO

Moglibyśmy wzruszyć nad całą sprawą ramionami, stwierdzając, że niezależnie od różnych pozytywnych przymiotów bp. Stricklanda hierarcha ostatecznie może nieco przesadził, a papież jako suwerenny władca Kościoła mógł zrobić to, co zrobił. Problem jednak w tym, że sprawa nie jest tak prosta, a to z co najmniej trzech przyczyn.

Po pierwsze, wspomniany wpis hierarchy rzeczywiście był radykalny, ale… dyskusja co do prawowierności wielu decyzji Franciszka po prostu toczy się w Kościele. Nie wiem, co dokładnie miał na myśli bp Strickland, pisząc o podważaniu przez papieża depozytu wiary, jednak biorąc pod uwagę choćby takie sprawy jak skandal z Pachamamą w Watykanie, promowanie Komunii Świętej dla rozwodników w powtórnych związkach czy przedstawianie enigmatycznej „synodalności" jako rzekomo nowej „konstytucji" dla Kościoła rzeczywiście rodzi najpoważniejsze zapytania o to, czy Franciszek stoi w ciągłości ze swoimi poprzednikami. Kto jak kto, ale biskup musi dbać o swoich wiernych – i bronić ich, jeżeli trzeba, nawet przed papieżem.

Po drugie, postępowanie wobec teksańskiego hierarchy było wyjątkowo błyskawiczne. Wizytacja w czerwcu, usunięcie z urzędu w listopadzie – minęło zaledwie kilka miesięcy, a bp Strickland o perspektywie takiej decyzji papieża mówił tak naprawdę od razu po wizytacji, wiedział więc od razu, na co się zanosi.

Dla Franciszka takie tempo nie jest może niczym nowym, potrafił działać nawet jeszcze ostrzej: w 2022 r. papież zdjął z urzędu ordynariusza diecezji Arecibo w Puerto Rico, bp. Daniela Fernándeza Torresa, wcześniej w ogóle nie informując o swoich planach. „Nie było przeciwko mnie żadnego procesu, nie zostałem formalnie o nic oskarżony. Po prostu pewnego dnia delegat apostolski poinformował mnie słownie, że Rzym prosi, abym zrezygnował" – mówił o sprawie biskup. O co wówczas poszło? Według samego hierarchy – o jego sprzeciw w sprawie przymusowych szczepień oraz rzekomo zbyt małą chęć współpracy z pozostałymi biskupami w kraju.

Można powiedzieć, że Strickland i tak miał zatem nieco szczęścia, mógł się przygotować. Za poprzednich pontyfikatów było jednak inaczej. Przykładowo w 2011 r. Benedykt XVI usunął z urzędu biskupa australijskiej diecezji Toowoomba, Williama Morrisa. Dialog z hierarchą trwał pięć lat, a nie chodziło o sprawy błahe. Morris podważał nauczanie Kościoła na takie tematy jak celibat czy kapłaństwo kobiet. Benedykt XVI podjął decyzję dopiero wówczas, gdy wyczerpane zostały wszelkie inne środki. Papież Ratzinger dobrze rozumiał, że usunięcie biskupa z urzędu to ostateczność, coś, czego zasadniczo nie powinno się robić, chyba że naprawdę inaczej już nie można.

Wreszcie – i chyba ta rzecz w całej sprawie jest najbardziej bulwersująca – podczas gdy Franciszek tak surowo potraktował bp. Stricklanda, dziesiątkom albo nawet setkom biskupów, którzy każdego dnia kwestionują najbardziej elementarne zasady wiary Kościoła, nie spada włos z głowy, wręcz przeciwnie, mogą liczyć na wyrozumiałość, robić karierę… Czytelnicy „Do Rzeczy" doskonale znają ich nazwiska: oprócz wspomnianych wyżej Amerykanów to również wielu hierarchów z Argentyny, Brazylii, Hiszpanii, Włoch, a nade wszystko z Belgii, Austrii, ze Szwajcarii, z Holandii, Niemiec… Mogą podważać dosłownie każdy element nauki Kościoła, od celibatu i kapłaństwa przez moralność seksualną aż do samej apostolskiej konstrukcji Kościoła; wszystko uchodzi im płazem. W stosunku do skrajnych progresistów Franciszek toleruje każdą herezję, nawet jeżeli z perspektywy tradycyjnej nauki Kościoła swoimi słowami – a nierzadko również czynami – wręcz dramatycznie obrażają Chrystusa. Wobec tych, którzy stoją na pozycjach wiernych Ewangelii, nie ma już, jak widać, takiej wyrozumiałości.

„ODCHYLENIE PRAWICOWE"

Według bp. Athanasiusa Schneidera z Kazachstanu casus Stricklanda to dopiero początek swoistego prześladowania prawowiernych pasterzy. Niewykluczone, że hierarcha ma rację. Na celowniku znajduje się m.in. diecezja Fréjus-Toulon na południu Francji, którą kieruje bp Dominique Rey. W ubiegłym roku Watykan zawiesił w niej święcenia kapłańskie, w tym roku przeprowadzono wizytację apostolską. Przyczyna? „Odchylenie prawicowe"; diecezja jest znana ze wsparcia dla liturgii tradycyjnej. Takie samo „odchylenie" ma jeszcze wielu innych biskupów na świecie, w tym sam Schneider.

Być może rzeczywiście wkrótce zaczną oni jeden po drugim tracić swoje urzędy. Pytanie tylko: Co z tego? Jeżeli progresiści z Kurii Rzymskiej sądzą, że doprowadzą taką drogą do wycięcia wszystkich gorliwych obrońców Tradycji, to grubo się mylą. Żaden biskup nie może długotrwale sprawować władzy w pełnej kontrze do swoich wiernych – a katolików, którzy mają serdecznie dość progresywnego kursu Franciszka, przyrasta z tygodnia na tydzień. To będzie wymuszać na biskupach konkretne zachowania. Watykan może usunąć tego czy innego pasterza, może zamknąć tradycyjne seminaria – ale nie ukryje przed wiernymi niezmiennego sensu Ewangelii. Biskup Strickland będzie mieć teraz jeszcze więcej czasu, by o tym sensie głośno mówić. Oby wyszło to Kościołowi na dobre.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest dziennikarzem i publicystą portalu PCh24.pl.

eprasa.pl 1606071830

Najgorszy

Łukasz Czarnecki

Ostatni monument wzniesiony na Forum Romanum w Rzymie poświęcono cesarzowi Fokasowi. Szybko doprowadził cesarstwo do ruiny, a historia zapamiętała go jako najgorszego z władców panujących w Konstantynopolu

Pewien bardzo szanowany historyk z UJ powiedział kiedyś, że najkrwawsze reżimy wojskowe tworzą nie oficerowie, lecz byli sierżanci. Historia bohatera naszego artykułu wydaje się całkowicie potwierdzać owo dziejowe prawo: Fokas swą karierę zaczynał bowiem właśnie jako sierżant (centurion). W listopadzie 602 r. pociągnął towarzyszy broni do buntu przeciw oficerom i marszu na bizantyńską stolicę. Wydawać by się mogło, że zryw nie miał szans na powodzenie, a wręcz wykazywał cechy groteski – Fokas nie umiał nawet pisać czy czytać, tymczasem na tronie zasiadał wybitny cesarz Maurycjusz. Nie minęło jednak kilka dni, a niepiśmienny centurion nosił już na czole cesarski diadem i paradował po pałacu, rozrzucając po korytarzach słomę z sandałów, a głowy Maurycjusza i jego pięciu synów ponabijane na pale i wystawione na widok publiczny gniły w listopadowym deszczu.

REWOLUCJA LISTOPADOWA

Panujący od 582 r. Maurycjusz był władcą wybitnym. Musiał taki być, bo skala problemów, które odziedziczył po swoich poprzednikach, osiągnęła za jego panowania takie rozmiary, że człowiek mniej odporny psychicznie, musząc się z nimi zmierzyć, prawdopodobnie pogrążyłby się w alkoholizmie. Na wschodniej granicy trwała nieustająca wojna z Persją, Bałkany były zalewane przez hordy Słowian i Awarów, radosne wydatki Justyniana Wielkiego i jego bezpośrednich następców wydrenowały budżet, a Bizantyńczycy zażarcie kłócili się, ile właściwie natur miał Chrystus.

Przez 20 lat Maurycjusz sterował okrętem cesarstwa płynącym przez wzburzone wody końcówki VI w. Największym jego osiągnięciem było podpisanie w roku 591 traktatu pokojowego z Persami. Sukces ten osiągnął, dokonując interwencji zbrojnej w toczoną w Persji wojnę domową między młodym królem królów Chosroesem II a gen. Bahramem Czobinem, który obalił monarchę i wypędził go z kraju. Wygnaniec schronił się w Bizancjum, gdzie dostał za żonę cesarską córkę Marię, a w następnym roku wrócił do ojczyzny, wiodąc ze sobą bizantyński korpus ekspedycyjny, który z powrotem zamontował go na tronie. Efektem było zawarcie pomiędzy obydwoma państwami korzystnego dla Konstantynopola pokoju.

Zluzowane na froncie wschodnim oddziały Maurycjusz przerzucił w roku 592 na Bałkany, gdzie wykorzystał je do walki z Awarami i ze Słowiana-

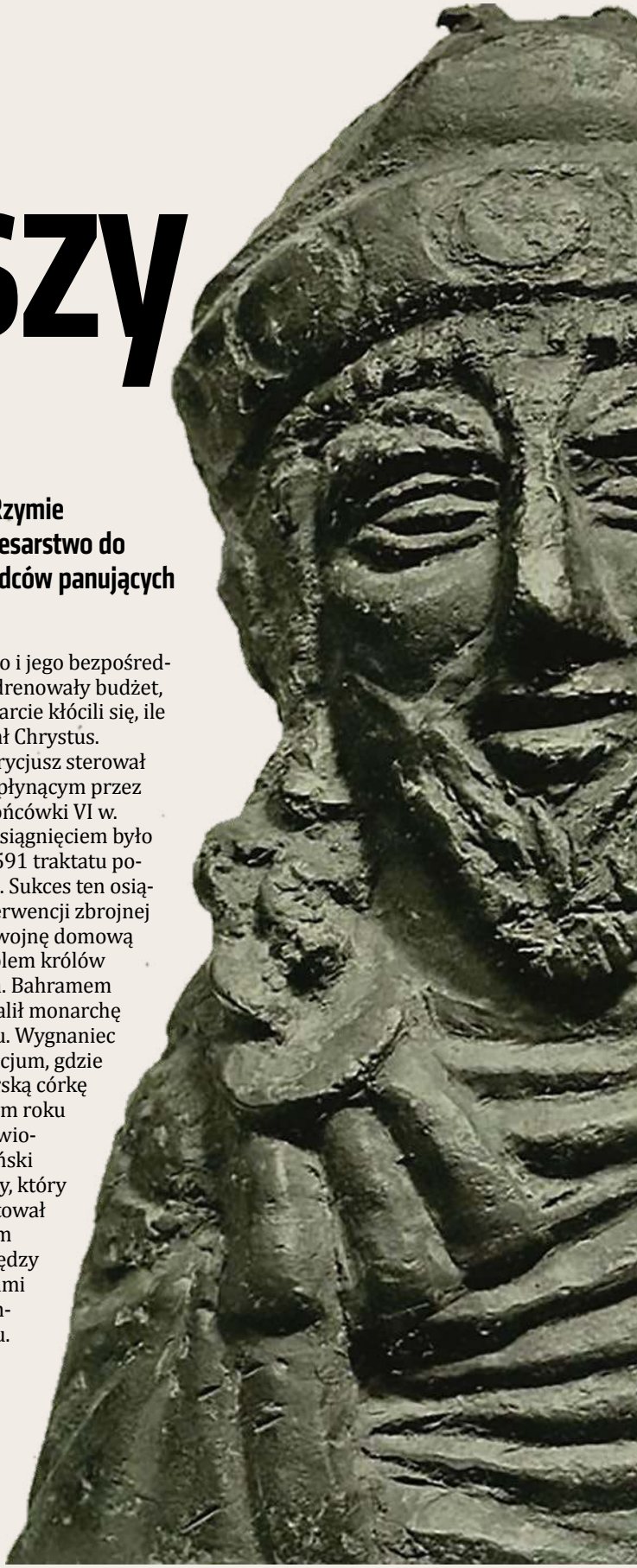

eprasa.pl 1606071830

cesarz

Popiersie Fokasa

FOT. BRITISH MUSEUM/WIKIMEDIA COMMONS/CC BY 4.0

mi. Zaczął się 10-letni cykl corocznych kampanii, w których trakcie bizantyjscy żołnierze przeprawiali się na północny brzeg Dunaju, by walczyć z barbarzyńcami. Niestety, mimo że odnoszono sukcesy, z każdym rokiem morale spadało coraz bardziej. Warunki służby były trudne, a żołd wypłacano z coraz większym opóźnieniem, co więcej – dało się odczuć jego obniżkę. Cesarz nie miał jednak innego wyjścia, musiał ciąć wydatki, bo skarbiec świecił pustką.

Późną jesienią 602 r. z Konstantynopola do dowodzącego na froncie zachodnim cesarskiego brata Piotra przyszły nowe rozkazy. Bizantyńczycy mieli tej zimy pozostać na północnym brzegu Dunaju i kontynuować walkę z wrogiem. Koncepcja ta miała sens, Słowianie byli mistrzami wojny partyzanckiej, zimowa pora znacząco mogła utrudnić im stosowanie ulubionej taktyki. Piotr doskonale zdawał sobie jednak sprawę, że armia, na której czele stoi, przypomina beczkę prochu i cesarski rozkaz może doprowadzić do zamieszek w jej łonie. Zwołał więc na naradę swoich oficerów, a tymczasem wieści ze stolicy rozeszły się po obozie. Wściekli żołnierze chwycili za broń i ruszyli, by zamordować dowódców, którym na szczęście udało się zbiec. Cesarski brat co koń wyskoczy pognał do Konstantynopola ostrzec Maurycjusza przed rewoltą, rebelianci zaś w tym czasie okrzyknęli swym wodzem centuriona Fokasa. Niedługo potem wymaszerowali ze swoich fortów i podążyli na wschód w kierunku stolicy.

Maurycjusz znalazł się w tragicznym położeniu. Konstantynopolitański garnizon był zbyt mały, by myśleć o skutecznej obronie, a najbliższe lojalne wojska stacjonowały na pograniczu z Persją. Zdesperowany monarcha rozkazał rozdać broń kibicom z fakcji cyrkowych – Zielonym i Niebieskim – i obsadził nimi mury miejskie. Kibice wyścigów rydwanów nie pałali jednak zbytnią miłością do władzy starającej się ukrócić chuligańskie samowole, więc ich lojalność była niepewna.

Tymczasem rebelianci zrobili fenomenalny krok – wysłali do najstarszego cesarskiego syna – Teodozjusza – list, w którym wzywali go do objęcia tronu w miejsce ojca. Gdyby młodzieniec odmówił, zapowiadali wynieść do władzy jego szwagra – Germanusa. To w połączeniu z tym, że buntownicy, maszerując na stolicę, palili wszystko na swojej drodze, oszczędzając tylko włości rzeczonego patrycjusza, sprawiło, że cesarz postanowił go aresztować, podejrzewając o zdradę. Germanus zbiegł do kościoła Mądrości Bożej, a próba wyciągnięcia go ze świątyni siłą zakończyła się skandalem, w którego wyniku ludność Konstantynopola opowiedziała się przeciw monarsze, a kibice porzucili posterunki na murach i otworzyli bramy.

W nocy 22 listopada Maurycjusz wraz z całą swoją rodziną wsiadł na statek i zbiegł z Konstantynopola. Udało im się dotrzeć w okolice miasta Prainetos, gdzie znaleźli chwilową kryjówkę w kościele św. Autonomusa. Tu obalony władca nakazał Teodozjuszowi uciekać do Persji, na dwór swego przyjaciela Króla Królów – Chosroesa II.

Tymczasem buntownicy dotarli już na przedmieścia stolicy, gdzie patriarcha Kyriakos, który wyszedł im naprzeciw, koronował w kościele św. Jana ich przywódcę na cesarza. Dwa dni później, 25 listopada 602 r., Fokas entuzjastycznie witany przez lud wkroczył do Konstantynopola.

eprasa.pl 1606071830

Wojska Herakliusza atakują uzurpatora Fokasa, miniatura z kroniki Konstantyna Manassesa, XIV w. FOT. WIKIMEDIA COMMONS

Cztery dni po koronacji nowego cesarza jego ludzie odnaleźli ukrywającego się Maurycjusza. Aresztowali go razem z żoną i pozostałymi przy nim dziećmi. Na oczach obalonego władcy zabito synów, a na koniec i jego uśmiercono. Teodozjusz również nie ocalał, złapano go w trakcie ucieczki ku perskiej granicy.

Kryzys, w który Fokas wpędził iperium, przez następne lata miał się tylko pogłębiać

CESARSTWO W OGNIU

Po kraju bardzo szybko zaczęła krążyć plotka, że pierworodny syn Maurycjusza przeżył. Wkrótce pojawił się w Edessie młodzieniec podający się za Teodozjusza. Roszczenia młodego człowieka zostały poparte przez dowodzącego wschodnimi garnizonami cesarstwa gen. Narsesa, który wezwał Chosroesa II do interwencji zbrojnej i przywrócenia prawowitej dynastii na tron. Sam Narses na czele swych ludzi zbuntował się przeciwko Fokasowi i gdy Persowie przekroczyli granicę, udzielił im poparcia. Wysyłane przeciwko niemu ze stolicy oddziały pacyfikacyjne ponosiły kolejne klęski, w końcu Fokas doszedł do wniosku, że siłą niczego z Narsesem nie wskóra, i zaprosił krnąbrnego generała do rokowań. Wódz, któremu zapewniono nietykalność, zgodził się przybyć do Konstantynopola i pogodzić z nowym cesarzem. Niestety, gdy stanął nad Bosforem, dawny centurion nie zamierzał przestrzegać danych gwarancji – nakazał ofiarę swego oszustwa pochwycić i spalić żywcem w miejscu publicznym.

Morderstwo Narsesa było tylko czubkiem góry lodowej. Fokas natychmiast po swej koronacji rozpoczął czystki, których nie powstydziłby się Stalin. Mordowano bez litości wraz z całymi rodzinami ludzi dawnego reżimu, robiąc w urzędach miejsce dla tępaków, lizusów i cesarskich kumpli z wojska. Ponurą sławą szybko zaczął się cieszyć patrycjusz Bonosus – człowiek Fokasa od mokrej roboty, który krwawo stłumił choćby zamieszki w Antiochii. O ile jednak nowi dowódcy jego pokroju całkiem dobrze radzili sobie z mordowaniem rodaków, o tyle walka z atakującymi wściekle Persami wychodziła im już o wiele gorzej. Wszystkie bitwy, które bizantyńska armia wytoczyła siłom Chosroesa II, zakończyły się porażką. Król Królów był tak zachwycony poziomem nieudolności stawianego mu oporu, że zaczął modyfikować cele swojej kampanii – z pozyskania zdobyczy terytorialnych i zainstalowania na tronie rzekomego Teodozjusza – na całkowity podbój.

Fokas kolejnymi swoimi posunięciami dowodził skrajnej nieodpowiedzialności. Maurycjusz wyznawał zasadę, że jego poddani mogą wierzyć, w co im się żywnie podoba, byleby tylko płacili podatki; były sierżant odszedł od tej tolerancyjnej polityki i rozpoczął krwawe prześladowania innowierców, które zaowocowały wybuchem żydowskiego powstania w Palestynie.

Ład społeczny we wszystkich prowincjach załamywał się z hukiem. Jak pisał współczesny opisywanym wydarzeniom ormiański kronikarz Sebeos:

„Niemałe było na ten czas zamieszanie w Cesarstwie Rzymskim i w stolicy, i w Aleksandrii w Egipcie, i w Jerozolimie, i w Antiochii. We wszystkich regionach kraju ludzie chwytali za miecze i mordowali siebie nawzajem”.

Ujawniały się najgorsze ludzkie instynkty. Inny świadek donosił: „Członkowie demów nie poprzestawali na krwawych utarczkach, jakie staczali między sobą na ulicy, lecz wdzierali się do domostw swoich przeciwników, mordowali mieszkańców, przelewając bez litości krew bratnią. Jak barbarzyńcy rabowali i podpalali domy swoich współobywateli, ich przyjaciół i krewnych, a kobiety i dzieci, starców i młodzież, a więc tych, co nie zdołali ratować się ucieczką, zrzucali z górnych pięter na ulice”.

Końca nieszczęść nie było widać. Sytuacja cesarstwa stała się tak krytyczna, że – jak to w czasach chaosu – zaczęły krążyć po nim wszelkiej maści apokalipsy i przepowiednie, w których udręczony lud szukał pociechy, a znajdował tylko wizje jeszcze gorszych katastrof. Ktoś musiał temu szaleństwu w końcu powiedzieć „stop”. I ktoś taki się znalazł. W Afryce.

AFRYKAŃSKA KONTRREWOLUCJA

W 608 r. na terenie Afryki Północnej doszło do rebelii, na której czele stanął kartagiński egzarcha – Herakliusz Starszy, wspomagany przez swojego brata, Jerzego. Do spisku szybko dołączył Teodor – były namiestnik Aleksandrii. Konspiratorom długo udawało się utrzymywać swe plany w sekrecie, w końcu jednak ich intryga została odkryta przez władze egipskiej stolicy związane z reżimem Fokasa. Cesarz wysłał wówczas do Egiptu swojego człowieka od mokrej roboty – Bonosusa. Wkrótce do aleksandryjskiego portu zaczęły zawijać statki z wysłanym przodem przez krwawego patrycjusza sprzętem mającym posłużyć do pacyfikacji prowincji. Gdy aleksan-

eprasa.pl 1606071830

dryjczycy zobaczyli wyładowywane na stały ląd klatki z tygrysami i lwami oraz paki narzędzi tortur, efekt okazał się odwrotny od zamierzonego. W mieście doszło do buntu, rebelianci Herakliusza Starszego weszli doń właściwie bez walki. Gdy Bonosus dotarł do Aleksandrii, okazało się, że żeby myśleć o objęciu powierzonego mu urzędu, najpierw musi zbrojnie zdobyć miasto! Oblężenie niewiele jednak dało, a buntownicy śmiałym wypadkiem rozpędzili siły lojalistów. „Bizantyńskiemu Berii" nie pozostało nic innego, jak mało chwalebna ucieczka do Palestyny.

Jesienią 610 r. wyruszyła z Afryki flota, na której czele stał Herakliusz Młodszy – syn przywódcy rebelii. Kierowała się ku Konstantynopolowi. 4 października brat uzurpatora – Domentziolos, któremu ten nakazał strzec Długich Murów – na wieść, że Herakliusz dotarł już do Abydos, porzucił swój posterunek i uciekł. W Konstantynopolu wybuchły zamieszki, nienawidzący Fokasa Zieloni zaczęli podkładać ogień pod budynkami, a gwardziści ochraniający cesarza zdezerterowali. Opuszczony przez wszystkich uzurpator skrył się w pałacu, został jednak rychło z niego wywleczony przez żołnierzy, którymi komenderowali patrycjusz Probus i niejaki Focjusz. Ten drugi, msząc się za to, że Fokas uwiódł mu żonę, własnoręcznie obdarł tyrana z cesarskich szat, pozostawionego tylko w zwykłej czarnej tunice zawlókł do łodzi i popłynął do Herakliusza, którego flota zdążyła w tym czasie wpłynąć do Konstantynopola.

Obalonego tyrana rzucono pod nogi zwycięzcy. Ten spojrzał na leżącego na deskach pokładu poobijanego i przemoczonego mężczyznę i zwrócił się doń słowami, które miały zapisać się jako jeden z najsłynniejszych dialogów w dziejach Bizancjum: „To tyś, łajdaku, jest tym, który rządził państwem?". Fokas podniósł tylko głowę, spojrzał mu w oczy i rzucił szyderczo: „Ty zapewne zrobisz to lepiej".

Tego samego dnia obalonego despotę ścięto, a jego zwłoki poszatkowano na kawałki i wystawiono na widok publiczny. Herakliusz Młodszy prawem triumfatora przyozdobił swoje skronie koroną cesarską.

Niestety, nie możemy mówić o szczęśliwym zakończeniu tej historii. Kryzys, w który Fokas wpędził jeszcze niedawno całkiem sprawnie funkcjonujące imperium, przez następne lata miał się tylko pogłębiać, a niedługo po swej koronacji nowy imperator z wątpliwą przyjemnością oglądał z murów swej stolicy dymy nad ogniskami perskich żołnierzy obozujących po azjatyckiej stronie Bosforu. Obalenie Fokasa stanowić miało dla Herakliusza dopiero początek trwającej przez prawie dwie dekady drogi krzyżowej, w trakcie której dokonywał nadludzkich wysiłków celem ocalenia swej ojczyzny. I choć owo powierzone mu przez opatrzność zadanie wykonał, a kończący wojnę z Persami traktat podpisał, stojąc ze swymi wojskami na przedpolach stolicy Króla Królów w Ktezyofnie, to wkrótce z pustyń Arabii wyłonili się spragnieni podbojów i zjednoczeni nową wiarą koczownicy, którzy korzystając z zamieszania, stworzyli własne imperium, zaczynając nową erę w dziejach świata.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

REKLAMA

Pobyty w terminach:
01.12 – 20.12.2023
oraz 03.01 - 25.02.2024

LECZENIE I REHABILITACJA

POBYTY: Zdrowy Kręgosłup, Neurologiczny,
Dla Aktywnych, Biodra, Kolana, Bark, Antystresowy, Kardiologiczny z diagnostyką.

Szwedzki stół, 15 albo 20 zabiegów na 7 dni pobytu

• Wstęp na basen z atrakcjami do 90 minut dziennie • Diagnostyka fizjoterapeutyczna i laboratoryjna •
• Specjalistyczne konsultacje lekarskie •

*możliwa dopłata

Turnus Świąteczny 20.12 - 27.12.2023, Turnus Noworoczny 27.12.2023 - 03.01.2024

tel. 54 416 70 00 www.podtezniami.pl
Klinika Uzdrowiskowa „Pod Tężniami" im. Jana Pawła II, ul. Warzelniana 7, 87-720 Ciechocinek

eprasa.pl 1606071830

LESZEK ŻEBROWSKI

KOMUCHOŻERCA

Opodatkowanie wsi

Przez kilka pierwszych miesięcy okupacji niemieckiej wieś nie była jeszcze opodatkowana, ale szybko to się zmieniło. III Rzesza potrzebowała coraz większych dostaw żywności z krajów podbitych i pobierała stale rosnące podatki w naturze z całą bezwzględnością. W dodatku „pobierano" również ze wsi niewolników, z przydziałami dla niemieckich bauerów do eksploatacji w ich gospodarstwach. Byli to tzw. pracownicy przymusowi.

Gdy polskie tereny zostały w latach 1944 i 1945 „wyzwolone" przez Armię Czerwoną, terror ekonomiczny wobec wsi jeszcze się zwiększył, co wydawało się niemożliwością. Ale takie były wymiary „kontyngentów". Wierzyć się nie chce, ale odpowiednie lokalne uchwały dołowych instancji PPR nakazywały pobierać ze wsi: „Mlika – dwa razy jak za Niemca. Miensa – trzy razy więcej. Zbożów – cztery razy więcej". Skąd ci ludzie mieli brać takie ilości produktów, aby zaspokoić oczekiwania komunistów? Dlatego dochodziło do buntów, niszczenia wykazów gminnych, wreszcie do wstępowania zrozpaczonych chłopów do lokalnej partyzantki. A należy pamiętać, że za niewywiązywanie się z dostaw groziły obozy pracy i kary osadzenia w nich nawet do dwóch lat! Były to tzw. dostawy wojenne, z czasem przekształcone w „dostawy obowiązkowe", obejmujące głównie zboża, ziemniaki i zwierzęta rzeźne.

Zachowało się bardzo wiele meldunków i sprawozdań, że wymiary dostaw były bardzo drastyczne i przerastały swymi rozmiarami to, co wyciskali z polskiej wsi Niemcy. Na przykład komendant Obwodu AK Bielsk Podlaski raportował: „Kontyngenty niemieckie stają się dziś dla chłopa błogim, tęsknym wspomnieniem nadzwyczajnego umiaru". Specjalne ekipy, złożone z członków PPR i PPS, „pomagały" w terenie grupom operacyjnym UB, KBW i MO w procederze grabienia wsi. Po rozgromieniu opozycyjnego PSL (w wyniku „wyborów" w 1947 r.) i przymusowym przekształceniu tej partii w ZSL, które stało się dla komunistów „transmisją" ich władzy na wsi, drastyczne wymiary podatków w naturze zostały utrzymane. Był to bowiem sposób na pacyfikację wsi, stawiającej opór nowej władzy, a także najprostszy sposób zdobywania żywności, aby zaspokoić potrzeby ludności miejskiej.

Mijały lata, komuna umacniała się na potęgę, ale represje tego typu wobec ludności wiejskiej nie słabły. Wyrazem tego były „dostawy obowiązkowe", choć ich wymiar nieco się zmniejszał. Było to utrzymywanie – w ramach socjalizmu – gospodarki naturalnej, przypominającej feudalną eksploatację ludności wiejskiej.

Taką formę obowiązkowych świadczeń utrzymano w Polsce Ludowej aż do początku lat 70. XX w. ©℗

SŁAWOMIR KOPER

HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

Proces w Warszawie

Władysław Łokietek nie miał sił na pokonanie zakonu krzyżackiego i u schyłku panowania dodatkowo utracił jeszcze rodzinne Kujawy. W tej sytuacji jego następca Kazimierz próbował rozwiązań prawnych i jego wysłannicy złożyli oficjalną skargę do papieża, zarzucając zakonowi zarówno zbrodnie i nieprawne zagarnięcie Kujaw, jak i wcześniejszy podbój Pomorza Gdańskiego. W tej sytuacji 1 grudnia 1338 r. przedstawiciele Stolicy Apostolskiej ogłosili w Warszawie pozew przeciwko zakonowi, a w dokumencie umieszczono pierwszy oficjalny opis miasta. Niebawem też rozpoczęła się rozprawa sądowa, przeciwko której Krzyżacy złożyli oficjalny protest, co jednak nie przeszkodziło wysłannikom papieża w dalszym prowadzeniu postępowania. Przed sędziami pojawiło się ponad stu świadków opowiadających o krzyżackich rozbojach, a wśród nich byli książęta, duchowieństwo, rycerstwo i mieszczanie. Zachowane dokumenty procesowe są doskonałym źródłem informacji o tamtych czasach i prawdziwą kopalnią wiadomości o życiu na pograniczu polsko-krzyżackim w XIV w.

Warszawa nieprzypadkowo została wybrana na miejsce procesu. Miasto należało do książąt mazowieckich i zostało uznane za teren neutralny dla obu stron. Poza tym jej położenie gwarantowało dogodny dojazd dla świadków z Pomorza i Kujaw, a ci ludzie mieli najwięcej do powiedzenia na ten temat.

Proces w Warszawie był pierwszym ważnym wydarzeniem w dziejach miasta. Przez kilka miesięcy politycy europejscy nasłuchiwali informacji z miasta nad Wisłą, gdzie ważyły się losy Polski i zakonu. Wreszcie sędziowie papiescy orzekli, że Krzyżacy palili i rabowali kościoły, mordowali ludność i bezprawnie zajęli tereny należące do państwa polskiego. Nakazano im opuszczenie Kujaw i Pomorza oraz zapłacenie ogromnego odszkodowania.

Krzyżacy oczywiście się z tym nie pogodzili i odwołali się od wyroku. W tej sytuacji Kazimierz Wielki uznał, że zrobił wszystko, co było możliwe, i cztery lata później podpisał w Kaliszu pokój z zakonem. Władca był realistą, wiedział, że nie może sobie pozwolić na otwartą wojnę. W efekcie Krzyżacy opuścili Kujawy i ziemię dobrzyńską, ale zachowali Pomorze.

Uroczystość zawarcia pokoju odbyła się zgodnie z rycerskimi obyczajami. W połowie 1343 r. Kazimierz i wielki mistrz krzyżacki spotkali się w pobliżu Inowrocławia. Zbliżyli się do siebie konno i wymienili dokumenty pokojowe. Następnie wymienili pocałunek pokoju i każdy z nich pojechał w swoją stronę. ©℗

eprasa.pl 1606071830

Zabytki wchodzą do Internetu

Przez wieki naukowcy prowadzili badania humanistyczne w zaciszu swoich pracowni i instytutów, a rezultaty ich często żmudnych, wieloletnich badań były publikowane jako opracowania i monografie. Źródła, z których korzystali, przechowywano w archiwach, bibliotekach i muzeach, co naturalnie ograniczało ich dostępność. W ostatnim dziesięcioleciu dzięki digitalizacji i wykorzystaniu skanerów dokumentów zbiory archiwalne zaczęły być udostępniane szerszemu gronu odbiorców, przez Internet. Zaowocowało to ich wykorzystaniem przy opracowywaniu historii lokalnych społeczności, miejscowości czy wręcz pojedynczych rodzin.

Jednym z celów projektu DARIAH-PL było kontynuowanie tej tendencji i zaoferowanie naukowcom najnowocześniejszego sprzętu do digitalizacji źródeł – nie tylko starych ksiąg czy obrazów, lecz także pomników, kościołów, pałaców czy całych stanowisk archeologicznych. Dzięki temu zgromadzone dane w postaci modeli 3D czy chmur punktów mogą z jednej strony być poddane wnikliwej analizie przez specjalistów, z drugiej zaś udostępnione społeczeństwu.

Szesnaście instytucji naukowych z całej Polski, które uczestniczą w projekcie, skompletowało w ostatnich trzech latach zaawansowany sprzęt m.in. do skanowania laserowego, fotogrametrii, precyzyjnej fotografii cyfrowej, nagrywania i transmisji filmów wysokiej rozdzielczości 8 K i 12 K, pozyskiwania dźwięku przestrzennego i wirtualnej rzeczywistości. Opracowały one sposoby wykorzystania sprzętu pozwalające zarówno na spełnienie wymagań naukowców, jak i zaoferowanie go firmom, które prowadzą prace rozwojowe lub chcą po prostu kupić usługę przydatną do ich celów biznesowych. Udostępnienie nowej infrastruktury badawczej – zwanej Dariah.lab – społeczności biznesowej było warunkiem uzyskania przez projekt dofinansowania z UE. Fundusze unijne mają tu posłużyć nie tylko rozwojowi samej nauki i zbliżeniu ośrodków akademickich, lecz także zwiększeniu innowacyjności krajowego biznesu dzięki współpracy ze środowiskiem naukowym.

Digitalizacja obrazów w pałacu w Turwi

Skanery laserowe czy drony można wykorzystać do tworzenia czysto biznesowych produktów, choćby z branży turystycznej, architektonicznej czy rozrywkowej (gry komputerowe i wirtualna rzeczywistość). Z kolei kamery VR/360° i sprzęt dźwiękowy, które służą badaczom do dokumentowania zanikających obyczajów, jak w opisanej tydzień temu społeczności polskiej na Bukowinie Karpackiej, mogą być wykorzystywane do transmisji biznesowych wydarzeń czy spektakli artystycznych. Agencje reklamowe i telewizje komercyjnie skorzystają z dostępnej bazy sprzętowej Dariah.lab do tworzenia innowacyjnych treści multimedialnych i filmowych w nowych technologiach, choćby związanych z VR i 3D.

Różnorodność sprzętu i technik prezentacyjnych umożliwia zastosowanie wielu technologii jednocześnie. Ciekawy przykład stanowi wirtualna wycieczka po pałacu rodziny Chłapowskich w wielkopolskiej wsi Turew. Przygotowana została przez Poznańskie Centrum Superkomputerowo-Sieciowe – lidera projektu DARIAH-PL. Przy opracowaniu wycieczki wykorzystano jednocześnie skanery laserowe, drony, mikrofony dźwięku przestrzennego, kamery i aparaty cyfrowe wysokiej rozdzielczości. Wycieczka, m.in. w technologii VR, będzie wkrótce udostępniona internautom.

– To ekscytujące, jak po stuleciach rozdziału humanistyki i technologii historia nauki zatacza koło, by znów połączyć te dziedziny. Dzięki infrastrukturze Dariah.lab możemy mieć w tym swój udział. Cieszę się, że fundusze unijne pomagają w realizacji działań ważnych dla polskiego dziedzictwa kulturowego – mówi Joanna Kuszlik-Cichosz, zastępca dyrektora w Ośrodku Przetwarzania Informacji – Państwowym Instytucie Badawczym. OPI zorganizował konkurs na dofinansowanie infrastruktury naukowo-badawczej z Programu Operacyjnego Inteligentny Rozwój. Projekt „Cyfrowa infrastruktura badawcza dla humanistyki i nauk o sztuce DARIAH-PL" uzyskał w nim 99,8 mln zł dofinansowania UE.

Więcej informacji: https://lab.dariah.pl.

ARTYKUŁ SPONSOROWANY

Fundusze Europejskie Inteligentny Rozwój
Rzeczpospolita Polska
NCBR Narodowe Centrum Badań i Rozwoju
Unia Europejska Europejski Fundusz Rozwoju Regionalnego

eprasa.pl 1606071830

Przenicowana hiszpańska praworządność

Olivier Bault

Gdy nowy hiszpański rząd będzie forsował amnestię dla separatystów, Komisja Europejska raczej nie zareaguje. Mimo oburzenia i sprzeciwu organizacji zrzeszających sędziów

Już od ponad dwóch tygodni w wielu hiszpańskich miejscowościach trwały protesty uliczne, kiedy 20 listopada dotychczasowy premier Pedro Sánchez ogłosił skład nowego rządu, mając nadzieję na uzyskanie poparcia 179 posłów w Kongresie Deputowanych liczącym 350 miejsc. W tym samym czasie prawie codziennie dochodziło do starć protestujących z policją przed siedzibą jego partii socjalistycznej PSOE w Madrycie, gdzie pojawiali się przedstawiciele konserwatywnej partii Vox, w tym m.in. jej lider Santiago Abascal.

W sobotę 18 listopada setki tysięcy Hiszpanów wzięły udział w manifestacji w stolicy zwołanej przez organizacje obywatelskie z poparciem Vox i centroprawicowej Partii Ludowej (PP). Według niektórych była to największa taka manifestacja od ćwierć wieku. Na ulicach powiewały flagi hiszpańskie i europejskie. Portugalski europoseł, socjaldemokrata Paulo Rangel, obiecywał manifestującemu tłumowi: „W Parlamencie Europejskim, w Brukseli, we wszystkich krajach Europy, będziemy was wspierać w stawianiu oporu i nie pozwolimy, aby Hiszpania, z powodu politycznego oportunizmu, przestała być światowym punktem odniesienia dla wolności, demokracji i współżycia". Mówił o demokracji i rządach prawa będących w niebezpieczeństwie za przyczyną zapowiedzianej przez Sáncheza ustawy o amnestii dla kilkuset katalońskich separatystów ściganych lub skazanych za przestępstwa związane z organizacją nielegalnego referendum niepodległościowego w Katalonii.

W BRUKSELSKIM HOTELU

Ustawa ta została uzgodniona przez wysłanników Sáncheza, którzy od jakiegoś już czasu prowadzili negocjacje w Brukseli z ukrywającym się od sześciu lat przed hiszpańskim wymiarem sprawiedliwości Carlesem Puigdemontem, byłym prezydentem wspólnoty autonomicznej Katalonii. Poparcie Puigdemonta i jego partii Junts per Catalunya (Razem dla Katalonii) miało dać Sánchezowi poparcie siedmiu posłów tej partii w hiszpańskim Kongresie Deputowanych, niezbędne do zaprzysiężenia nowego rządu i utrzymania się przy władzy.

Carles Puigdemont zbiegł z Hiszpanii jesienią 2017 r., po zorganizowaniu nielegalnego referendum niepodległościowego w zarządzonym przez siebie regionie. Żyje w Brukseli (Belgia odmówiła jego ekstradycji), gdzie dostał się do Parlamentu Europejskiego w wyborach z 2019 r. W czerwcu tego roku hiszpański Sąd Najwyższy potwierdził ważność postępowania prowadzonego przeciwko byłemu prezydentowi Katalonii za przestępstwa sprzeniewierzenia funduszy publicznych (chodzi o ich nielegalne wykorzystywanie do organizacji referendum) i nieposłuszeństwa wobec prawa. Oznacza to, że w Hiszpanii Puigdemontowi wciąż grozi kara do 12 lat pozbawienia wolności.

Ugoda między PSOE Sáncheza a partią Puigdemonta została podpisana 9 listopada w brukselskim hotelu. Oprócz amnestii dla wszystkich tych, którzy zostali objęci postępowaniem karnym lub dostali wyroki związane z organizacją nielegalnej konsultacji w sprawie niepodległości Katalonii w 2014 r. lub nielegalnego referendum niepodległościowego w 2017 r., ugoda przewiduje utworzenie komisji parlamentarnych, które mają przyglądać się decyzjom sądowym i działaniom prokuratorów w poszukiwaniu rzekomych przypadków dopuszczania się przez nich „lawfare". Określenie to, które pada w podpisanym porozumieniu, to mieszanka angielskich słów „law" (prawo) i „warfare" (działania wojenne). Ma sugerować, że w postępowaniach prowadzonych przeciwko katalońskim separatystom mogło dojść ze strony niektórych prokuratorów i sędziów do instrumentalizacji prawa na rzecz walki politycznej.

Ponadto wspólnota autonomiczna Katalonii ma uzyskać dostęp do większej niż dotąd części podatków pobieranych na jej terytorium, a rząd centralny ma dodatkowo umorzyć jej prawie 15 mld euro długu. W alarmującym komunikacie opublikowanym w połowie listopada agencja ratingowa Moody's oceniła, że jeśli inne wspólnoty autonomiczne będą domagały się równego traktowania, to może to kosztować budżet centralny aż 45 mld euro.

W wyborach do parlamentu zwołanych na 23 lipca przez dotychczasowego premiera Pedra Sáncheza po porażce obozu lewicy w majowych wyborach samorządo-

eprasa.pl 1606071830

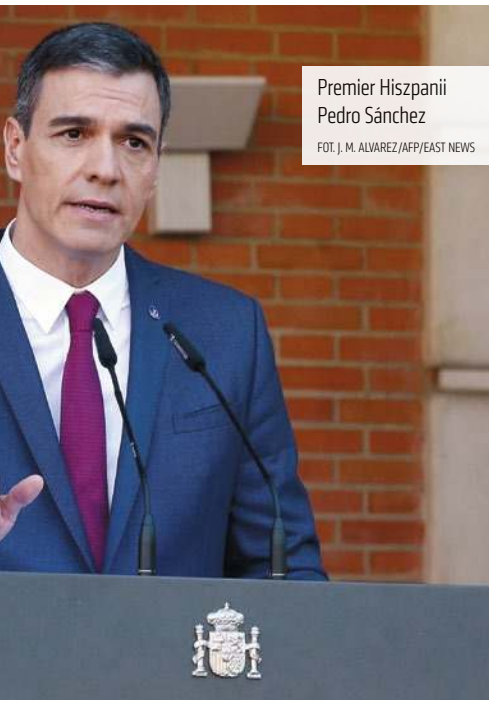

Premier Hiszpanii Pedro Sánchez
FOT. J. M. ALVAREZ/AFP/EAST NEWS

wych, wbrew oczekiwaniom, prawica nie otrzymała wystarczającej większości, aby na poziomie centralnym mogła powstać koalicja PP z Vox. Szefowi PP Núñezowi Feijóo, który pierwszy otrzymał od Króla Filipa VI możliwość powołania rządu, zabrakło czterech głosów do bezwzględnej większości w drugim głosowaniu w Kongresie Deputowanych, izbie niższej Kortezów, pod koniec września. Tak naprawdę od początku wiadomo było, że to Sánchez utworzy nowy rząd.

– Znajdujemy się w sytuacji, w której Sánchez, aby pozostać na czele hiszpańskiego rządu, zależy od Bildu – partii politycznej, w którą przekształciła się ETA [dawna baskijska organizacja terrorystyczna – przyp. red.] – oraz od Junts, partii Carlesa Puigdemonta, który zbiegł po nieudanym zamachu stanu w Katalonii – powiedział „Do Rzeczy" pod koniec lipca Antonio O'Mullony, redaktor naczelny prawicowego portalu informacyjnego „La Gaceta de la Iberosfera". – Sánchez powinien być w stanie uzyskać większość, ponieważ nie ma żadnych skrupułów – zapewniał już wtedy O'Mullony.

Pedro Sánchez doszedł do władzy w 2018 r. dzięki wotum nieufności, w którym socjaliści obalili centroprawicowy rząd Mariano Rajoya z pomocą skrajnej lewicy oraz baskijskich i katalońskich nacjonalistów. I to właśnie dzięki tej koalicji Sánchez utrzymuje się u władzy już od ponad pięciu lat, wdrażając coraz bardziej skrajnie lewicowe ustawy pod presją swoich sojuszników i posuwając się coraz dalej w ustępstwach na rzecz katalońskich i baskijskich separatystów.

W kampanii wyborczej Sánchez zarzekał się, że pod jego rządami nie będzie żadnej amnestii dla katalońskich separatystów. W mowie do Kongresu Deputowanych w dniu przedstawienia składu nowego rządu 20 listopada mówił już jednak o konieczności tworzenia frontu progresistów, aby przeciwstawić się „reakcjonistycznym" siłom prawicy.

SĘDZIOWIE PROTESTUJĄ

Przeciw daleko idącym ingerencjom w działanie wymiaru sprawiedliwości, zagrażającym zasadzie niezależności sędziów oraz zasadzie równości obywateli wobec prawa, zaprotestowały Sąd Najwyższy, krajowa rada sądownictwa CGPJ oraz cztery główne organizacje sędziowskie.

W wywiadzie dla dziennika ABC przewodniczący hiszpańskiej rady sądownictwa stwierdził, że rewizja działań prokuratorów i sędziów przez parlament w poszukiwaniu przypadków „lawfare" oraz bezpośredni nadzór parlamentu nad interpretacją ustawy o amnestii przez sądy będą jaskrawym pogwałceniem zasady podziału władz.

W tym przypadku apele wystosowane przez hiszpańską prawicę do unijnych instytucji, tak skłonnych reagować na podobne apele ze strony polskiej czy węgierskiej opozycji lewicowo-liberalnej, mają jednak małe szanse powodzenia. Znamienna była reakcja frakcji socjalistów w Parlamencie Europejskim, która na swoim oficjalnym profilu na X (dawny Twitter) tak skomentowała żądanie debaty na temat praworządności w Hiszpanii sformułowane przez Europejskich Konserwatystów i Reformatorów, wśród których zasiadają posłowie Vox i PiS, oraz przez Europejską Partię Ludową, której hiszpańska PP jest członkiem obok PO i PSL: „Naprawdę żałujemy, że EPL (PP) opuszcza istniejącą proeuropejską większość, aby zawrzeć sojusz ze skrajną prawicą, taką jak EKR (Vox). Ich współpraca przy przenoszeniu mowy nienawiści z Hiszpanii do Brukseli jest smutną próbą odwrócenia uwagi opinii publicznej od ich porażki w zdobyciu większości, tworzeniu mostów i poszanowaniu woli Hiszpanów i demokracji".

W podobnym duchu wypowiadali się hiszpański socjalista Juan Fernando López Aguilar, autor raportu Parlamentu Europejskiego oskarżającego Polskę o łamanie praworządności i europejskich wartości w ramach procedury z art. 7 czy przedstawiciele skrajnej lewicy skupionej we frakcji GUE/NGL.

Co do Komisji Europejskiej, pierwsze jej reakcje ograniczyły się do listu z pytaniami wysłanego przez komisarza do spraw sprawiedliwości Didiera Reyndersa. Nowy minister sprawiedliwości Félix Bolaños, choć stwierdził jednoznacznie, że planowana ustawa o amnestii jest wewnętrzną sprawą Hiszpanii, konsultuje się z unijną egzekutywą po to, aby napisać ustawę w sposób, który nie wymusi jej interwencji. Doświadczenie pokazuje, że nie będzie to trudne, gdyż Komisja nie będzie skłonna przeszkadzać rządowi nadającemu na tej samej fali, co liberalno-lewicowa większość w Brukseli. Unijnym instytucjom na czele z Komisją nie przeszkadzało, kiedy Sánchez mianował swojego ministra sprawiedliwości na stanowisko prokuratora generalnego, choć ponowne połączenie tych dwóch funkcji w Polsce było w ich oczach atakiem na demokrację i praworządność i choć protestowały przeciw tej decyzji hiszpańskie środowiska prawnicze. Podobnie fakt, że od roku 1980 to parlament wybiera sędziów zasiadających w hiszpańskiej radzie sądownictwa, nie spowodował wstrzymania funduszy dla finansowania hiszpańskiego KPO i nie skłonił Komisji do zażądania wprowadzenia instytucji testu niezawisłości i bezstronności sędziów w hiszpańskim wymiarze sprawiedliwości.

Według portalu Euractiv nieoficjalnie już wiadomo, że po odpowiedzi hiszpańskiego rządu na list od komisarza Reyndersa Komisja nie zamierza interweniować w hiszpańskie sprawy, o ile koncepcja „lawfare" nie zostanie zapisana wprost w ustawie, a interesy finansowe Unii będą chronione. Takie to proste, kiedy jest się po stronie tych, którzy popierają federalizację Unii oraz prawa LGBT+ i nie przeszkadzają zanadto w napływie nielegalnych imigrantów.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 1606071830

Wojna pozycyjna

Maciej Pieczyński

Konflikt na Ukrainie coraz bardziej przypomina wojnę pozycyjną z czasów pierwszej wojny światowej. Żadna ze stron nie jest dziś w stanie wygrać. A przez to przegrywają obie. Więcej traci jednak obrońca niż agresor

FOT. KOSTYA LIBEROV/LIBKOS/GETTY IMAGES

Od dłuższego czasu front na Ukrainie właściwie stoi w miejscu. Do największych przełomów dochodziło jeszcze w 2022 r. Pod koniec marca Rosjanie wycofali się spod Kijowa, dzięki czemu niemal do minimum zmniejszyło się zagrożenie dla samego istnienia państwa ukraińskiego. W maju, po długotrwałym oblężeniu, skapitulował Mariupol. Rosjanie połączyli Donbas z Krymem, odcinając Ukrainę od Morza Azowskiego. We wrześniu Ukraińcy przeprowadzili brawurową kontrofensywę w obwodzie charkowskim, wyzwalając w całości jego terytorium. W listopadzie Rosjanie wycofali się z Chersonia – jedynego miasta obwodowego, zdobytego po 24 lutego. Długo zapowiadana kontrofensywa ukraińska niemal nie ruszyła z miejsca. Ukraińcy ostrzeliwali Krym, ale nie byli w stanie zbliżyć się do półwyspu. Natarcie w kierunku południowym stało się mocno utrudnione, gdy Rosjanie wysadzili tamę na Dnieprze w Nowej Kachowce, zalewając wodą ogromne obszary. Od dłuższego czasu walki skupiają się głównie wokół Donbasu. Po wielu miesiącach okupionego ogromnymi stratami oblężenia Rosjanie zdobyli Bachmut. Teraz zażarte walki toczą się o Awdijiwkę. Obie strony ponoszą spore straty, tyle że Rosjanie mogą sobie na to pozwolić, Ukraińcy – nieszczególnie. Generalnie od zeszłej jesieni, czyli od kontrofensywy charkowskiej i chersońskiej, na froncie trwa impas. Żadna ze stron nie przesuwa się znacząco, żadna ze stron nie jest w stanie wygrać.

Na początku listopada gen. Wałerij Załużny obszernie skomentował sytuację na froncie na łamach brytyjskiej prasy. Udzielił wywiadu i napisał dwa artykuły dla „The Economist". W tych tekstach głównodowodzący Sił Zbrojnych Ukrainy potwierdził, że konflikt przeszedł z fazy manewrowej do fazy wojny pozycyjnej i że taki obrót spraw działa na korzyść Rosji, która dzięki temu zyskuje możliwość odbudowy i rozbudowy swojej potęgi militarnej.

Załużny otwarcie przyznaje się do błędów, które popełnił, planując i prowadząc ukraińskie kontruderzenie. „Jeśli zajrzeć do podręczników NATO i naszych obliczeń, to cztery miesiące powinny wystarczyć, żebyśmy dotarli do Krymu, walczyli na Krymie, wrócili z Krymu, a potem znowu poszli na Krym i wycofali się z niego" – samokrytycznie ironizował. Przyznał też, że na początku kontrofensywy zmieniał dowódców, składy brygad, jednak zmiany te nie przyniosły oczekiwanego rezultatu.

Przełomem w jego myśleniu o konflikcie miał się okazać powrót do lektury z czasów studiów w akademii wojskowej. A konkretnie – do książki „Przełamywanie umocnionych linii obrony". Napisał ją w 1941 r. sowiecki generał, analizując bitwy podczas pierwszej wojny światowej – czyli konfliktu, który kojarzy się przede wszystkim z wojną pozycyjną. Jak relacjonuje Załużny, właśnie ta lektura uświadomiła mu, że front na Ukrainie się zatrzymał podobnie jak ponad 100 lat temu. Tak jak podczas pierwszej wojny światowej wyrównany poziom technologiczny po obu stronach sprawił, że przełom na czyjąkolwiek korzyść jest w tej chwili niemożliwy. To zaś powoduje impas. Siły Zbrojne Ukrainy znalazły się w ślepym zaułku. Żeby się z niego wydostać, Kijów potrzebuje wielkiego skoku technologicznego.

Konstatacja o tym, że wojna się przeciąga, na czym zyskuje głównie Rosja, nie prowadzi jednak jeszcze do wniosku, że w interesie Kijowa są jak najszybsze rokowania z agresorem. Przeciwnie. Wódz naczelny SZU proponuje konkretne rozwiązania, które miałyby sprawić, że ukraińscy żołnierze przestaną tkwić w okopach i ruszą do kolejnej, tym razem skutecznej kontrofensywy. W jego ocenie Ukraina musi zdobyć przewagę w powietrzu, uzyskać nowoczesny sprzęt do rozminowywania, zwiększyć skuteczność obrony przeciwartyleryjskiej i walki radioelektronicznej. Wreszcie: zwiększyć swoje możliwości mobilizacyjne. Celem kolejnej kontrofensywy powinno być osiągnięcie granic z 1991 r. Czyli pełne odzyskanie integralności terytorialnej. Naczelny dowódca SZU wprost przyznał, że się pomylił. Zakładał bowiem, że wykrwawienie armii rosyjskiej zmusi Moskwę do rozmów pokojowych. „To był mój błąd. Rosja straciła co najmniej 150 tys. poległych. W jakimkolwiek innym kraju taka liczba ofiar zatrzymałaby wojnę" – stwierdził Załużny. Ponadto jego zdaniem broń otrzymana od Zachodu nie jest wystarczająca do zwycięstwa nad Rosją. Co jednak istotne, Załużny od razu zaznaczył, że nie chce się skarżyć i narzekać: „Oni [Zachód – przyp. red.] nie mają obowiązku nam niczego dawać. Jesteśmy wdzięczni za to, co mamy. Ja tylko stwierdzam fakty".

ZGRZYT Z PREZYDENTEM

Wypowiedzi Załużnego wywołały nerwową reakcję Zełenskiego. Wiceszef biura prezydenta Ihor Żowkwa stwierdził, że wojskowi nie powinni publicznie komentować sytuacji na froncie. Sam Zełenski zaprzeczył, jakoby sytuacja ta była patowa. W ubiegłym tygodniu skrytykował Załużnego na łamach brytyjskiego „The Sun". Tym razem jednak odniósł się nie tyle do oceny sytuacji na froncie, ile do ambicji politycznych, które przypisywane są Załużnemu. Głównodowodzący SZU uwzględniany jest w różnych rankingach popularności czy nawet w sondażach prezydenckich.

Zgrzyt między generałem a prezydentem dodatkowo wywołał spekulacje na temat pozawojskowej przyszłości Załuż-

eprasa.pl 1606071830

nego. Mówi się o tym, że jeśli prezydent zwolni naczelnego dowódcę ze stanowiska, to temu ostatniemu nie pozostanie nic innego, jak wykorzystać swój autorytet i rzucić wyzwanie „słudze narodu" w wyborach, które prędzej czy później się odbędą. Sam Załużny tych głosów nie komentuje. Niemniej już teraz wywołują one nerwowość Zełenskiego. „Jeśli prowadzisz wojnę z myślą, że jutro będziesz zaangażowany w politykę lub wybory, to w słowach i na linii frontu zachowujesz się jak polityk, a nie jak wojskowy. Uważam, że to ogromny błąd" – stwierdził Zełenski w wywiadzie dla „The Sun".

Konflikt na linii prezydent – głównodowodzący jest faktem. Zapewne jednak nie miałby miejsca, gdyby Ukraina zdecydowanie wygrywała wojnę. Wówczas władza polityczna i władza wojskowa nie miałyby powodów do nerwowości, szukania winnych, wzajemnych oskarżeń. Zełenski jest w pewnym sensie w podobnej sytuacji co Putin. Oczywiście nie chodzi w żadnym wypadku o kwestie moralne. Ofiara pozostaje ofiarą, agresor pozostaje agresorem. Niemniej obaj postawili na jedną kartę. Putin postawił na wojnę, której celem początkowo był podbój całej Ukrainy, obecnie zaś – przynajmniej utrzymanie zdobyczy terytorialnych, uzyskanych po 24 lutego 2022 r., nie mówiąc już o Krymie. Zełenski natomiast postawił na walkę do ostatniej kropli krwi o każdy centymetr ziemi ukraińskiej, na walkę, w której nie ma mowy o kompromisach i ustępstwach. Szermując retoryką o „obronie Zachodu" przed wschodnim zagrożeniem, używał szantażu moralnego, wymuszając nieograniczoną pomoc, a w praktyce powoli zniechęcając swoją roszczeniową i agresywną postawą wielu partnerów. Tym trudniej jest mu więc spojrzeć prawdzie (i sojusznikom) w oczy i przyznać, że wojna przeszła w fazę pozycyjną. Impas na froncie oznacza bowiem, że pomimo wielomilionowej finansowej i wielotonowej sprzętowej pomocy Zachodu hucznie zapowiadana ukraińska kontrofensywa po prostu się nie powiodła. Wsparcie ze strony sojuszników w dużej mierze zostało zmarnowane, okazało się inwestycją bez pokrycia. Załużny tego wprost nie powiedział, co prawda, i powiedzieć z pewnością nie zamierzał. Przyznał jednak, że wskutek wielu czynników plan nie został zrealizowany. Poprosił też o więcej, zapewniając, że jeśli Zachód tę prośbę spełni, to tym razem już na pewno Ukraina wyzwoli wszystkie okupowane terytoria.

NACISK NA ROZMOWY?

Niechcący jednak może się szczerość głównodowodzącego przyczynić do tego, czego z pewnością nie chciał swoimi wypowiedziami osiągnąć. Zachód, zmęczony wojną, zniecierpliwiony brakiem efektów, może w końcu zmusić Ukraińców do rozmów pokojowych z Rosją. Załużny, używając analogii do pierwszej wojny światowej, apeluje do Zachodu, by pomógł Ukraińcom opuścić okopy i przejść do natarcia. Jednak na wyobraźnię Niemców czy Francuzów ten historyczny przykład może zadziałać w niezbyt pożądany dla Kijowa sposób. Nie ma przecież żadnej gwarancji, że kolejne transze pomocy sprawią, iż Ukraina przełamie impas. Jest natomiast ryzyko, że Zachód będzie dalej inwestował nie tyle w kontrofensywę, ile właśnie w wyniszczającą, wieloletnią i bezsensowną wojnę pozycyjną. Ta zaś nie opłaca się nie tylko Ukrainie, lecz także jej sojusznikom. A skoro sam Załużny przyznał, że korzysta na niej głównie wytrzymała i dysponująca wciąż ogromnym potencjałem Rosja, to może warto ją zakończyć. Nie ryzykowną kontrofensywą, tylko rozmowami.

Oczywiście sam Załużny przyznaje, że takie rozmowy kiedyś będą konieczne. Nie mówi tego Zełenski, nie wychodząc ani na chwilę z roli niezłomnego, bezkompromisowego wojownika, ale z pewnością zdaje sobie sprawę z tego, że taka chwila musi kiedyś nadejść. Nie ma jednak wątpliwości, że ustalenia będą w dużej mierze potwierdzeniem stanu posiadania na dzień rozpoczęcia rozmów. Ukraina musi więc zadbać o swoją pozycję negocjacyjną, która w tej chwili nie wygląda różowo. Ponad 18 proc. terytorium wciąż znajduje się pod okupacją. W zasadzie jedyną nadzieją na ustępstwa ze strony Kremla, niewymuszone jednoznaczną klęską militarną, byłaby zmiana władzy. Wojna w największym stopniu obciąża Putina, jest jego autorskim projektem, który Putin musi prowadzić do końca, żeby nie stracić twarzy. Jego ewentualny następca nie miałby takich zobowiązań i mógłby teoretycznie pójść na drobne ustępstwa, byle odblokować kontakt Rosji z Zachodem. To jednak perspektywa wciąż raczej odległa. Obecnie Kreml nie ma żadnego powodu, by wycofać się z zajętych ziem.

Opinia publiczna nad Dnieprem wciąż nie jest gotowa do ustępstw. Podobnie media tę opinię formujące. Przeważa wola walki do końca. Wypowiedzi Załużnego nie zostały odebrane jako defetyzm. Przeciwnie – komentatorzy starają się przekonywać, że choć trwa wojna pozycyjna, to naprawdę wystarczy zwiększenie zachodniego wsparcia zgodnie ze wskazówkami głównodowodzącego, aby udało się Rosję pokonać. Jednak przełomem może okazać się już uświadomienie sobie, że kontrofensywa utknęła. Jeśli do porażki przyznaje się sam naczelny dowódca, to musi to dać do myślenia również zwykłym Ukraińcom. W tej chwili nie ma żadnych perspektyw przełamania impasu. A gdy Zachód zakręci albo przynajmniej przykręci kroplówkę finansową, ustępstwa na rzecz agresora staną się koniecznością. Naczelny dowódca armii wziął na siebie odpowiedzialność za fiasko militarne. Trudno sobie wyobrazić w tej chwili, aby podobną odwagą cywilną wykazał się również prezydent. Szczególnie że niezadowolenie z jego polityki rośnie. Jeśli usiądzie do stołu rozmów, to straci jedyny swój kapitał polityczny, czyli wizerunek niezłomnego wojownika (bo wizerunek skutecznego negocjatora z Zachodem już stracił). A stąd już prosta droga do utraty władzy.

Można sobie jednak wyobrazić, że Zachód spełni prośby Załużnego i zainwestuje w kolejną kontrofensywę. Albo że przynajmniej (przy założeniu, że Trump nie dojdzie do władzy w USA) będzie wspierał Ukrainę w dotychczasowym wymiarze, de facto finansując wojnę pozycyjną, aby przynajmniej dalej powstrzymywać rosyjski imperializm przed rozwinięciem skrzydeł. To jednak w praktyce oznaczać będzie zamrożenie wojny. Scenariusz podobny do tego z lat 2014–2015, tyle że bez porozumień mińskich. Front nie będzie się przesuwał ani w jedną, ani w drugą stronę. Walki i ostrzały będą coraz rzadsze. Na Ukrainie będzie się pogłębiał kryzys gospodarczy. Zapał obrońców będzie stygł i przechodził we frustrację. Podobnie może być z zapałem agresorów. Ci jednak są zdyscyplinowani, nie buntują się, robią to, co car każe. Ukraińcy są zaś, jak wiadomo, skorzy do buntu. Długo jeszcze przed wybuchem niezadowolenia powstrzymywać ich będzie świadomość, że wewnętrzne spory działają na korzyść Moskwy. W końcu jednak mogą stracić cierpliwość.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 1606071830

Władimir Putin i Hubert Seipel
FOT. MIKHAIL KLEMENTYEV/RIA NOVOSTI/EPA/PAP

Jak Rosja wspiera „wolne media”?

Jan Bogatko z Berlina

Setki tysięcy euro dla niemieckiego „publicysty” za ciepłe słowa o Putinie to dużo, ale tylko w porównaniu z „grantami” dla tzw. wolnych mediów w Polsce z kasy banku GLS. To normalna praktyka w socjalistycznej „demokracji”

Tak naprawdę to wcale nie Kolumb odkrył Karaiby. Dokonał tego Rockefeller w latach 50. ubiegłego wieku. Za nim pociągnęli inni piękni i bogaci. A chwilę potem zazieleniły się w tropikach oazy podatkowe. I namnożyły się firmy mieszczące się w skrytce pocztowej. Wreszcie w zacisznych portach archipelagu pojawiły się jachty rosyjskich oligarchów, np. Aleksieja Mordaszowa. W każdym razie do czasu ogłoszenia tak niechcianych sankcji na bojarów Putina.

NIKT NIE WIEDZIAŁ?

Sankcje sankcjami, ale firma skrytka (jedna z wielu) byłego współwłaściciela niemieckiej firmy turystycznej TUI (siedziba w Hanowerze) ma się dobrze. To właśnie karaibska De Vere Worldwide Corporation, z siedzibą na brytyjskich Wyspach Dziewiczych, zawarła umowę o sponsoringu z Hubertem Seiplem, wyróżnianym licznymi nagrodami niemieckim dziennikarzem telewizyjnym oraz autorem książek, m.in. sponsorowanego dzieła „Potęga Putina. Dlaczego Europa potrzebuje Rosji”. W hamburskim wydawnictwie Hoffmann und Campe, które wydało rozchodzącą się jak świeże bułeczki agitkę o Putinie, nikt o setkach tysięcy euro dla renomowanego dziennikarza nie wiedział. Tak zapewniał stację ZDF i redakcję magazynu „Spiegel” rzecznik oficyny.

„Deed of Sponsorship” to tytuł dokumentu z 2018 r., zapewniającego honoraria dziennikarzowi, który pracował kilkanaście lat temu m.in. dla renomowanej stacji telewizyjnej ZDF. Seipel jak rzadko kto latami przekazywał Niemcom miły, przyjazny wizerunek „demokraty czystego jak diament”, jak to Putina określał Gerhard Schröder, socjalista, były kanclerz Niemiec. I nie była to pierwsza umowa Seipla z rosyjskim sponsorem!

„Ja, Putin” to tytuł dokumentu stacji telewizyjnej ARD (pierwszy program niemieckiej telewizji publicznej) z 2012 r. Ten film Huberta Seipla jak rzadko który wpłynął na ukształtowanie wizerunku Putina w Niemczech – utrzymują dzisiaj tamtejsze media. Dziennikarz pokazuje Putina jako troskliwego polityka, niezmordowanie dbającego o swój wielki kraj. Niemcy postrzegają odtąd Putina oczyma Seipla. Jak niegdyś postrzegali Hitlera oczyma Leni Riefenstahl. Dokument Seipla produkowała stacja Norddeutscher Rundfunk (NDR). Na pytania mediów odpowiada dziś, jak to jest w zwyczaju, że nic nie wiedziała dotąd o jakiejkolwiek umowie sponsorskiej. Seipel mówi z kolei, że… nikt nigdy go o nią nie pytał.

NDR chce przeprowadzić śledztwo w tej sprawie. Co ono wykaże? Pewnie nic, ale będzie można wskazać na dobrą wolę wielkiej stacji telewizyjno-radiowej w Hamburgu. Zajmą się tym śledztwem Steffen Klusmann i Michael Kühn, radca prawny NDR.

OPŁACONY, ALE NIEZALEŻNY?

Jak afera Seipla ujrzała światło dzienne? Jak zwykle, przypadkiem. Zaskakującego z pozoru odkrycia dokonano

eprasa.pl 1606071830

w ramach projektu „Cyprus Confidential". W okresie minionych miesięcy ponad 270 dziennikarzy z 69 redakcji przebadało pozyskane z Cypru, dotąd skrywane dane. Operację przeprowadzono pod patronatem i kierownictwem International Consortium of Investigative Journalists (ICIJ) z siedzibą w Waszyngtonie oraz redakcji śledczej paper trail media z Monachium. W gronie partnerów medialnych znajdują się zarówno stacja ZDF oraz magazyny „Spiegel" i „Standard", ORF, szwajcarski dom medialny Tamedia, jak i „Washington Post", „Guardian" czy „Le Monde".

W końcu Seipel (na pewno nie bez konsultacji z adwokatem) przyznał, że Aleksiej Mordaszow, druh Putina, finansowo wsparł jego projekty wydawnicze. Ale zdecydowanie zaprzecza, by dał się kupić kremlowskiej propagandzie. Naiwnie Seipel powołuje się na fragment w umowie z rosyjskim sponsorem, która jest dostępna w sieci, w której strony stwierdzają brak zobowiązań dotyczących książki, jej treści i układu. Jasne. Nie ma bardziej tolerancyjnych umów sponsorskich od tych z Kremlem. Zupełnie nie rozumiem, jak taki uczciwy i niezależny dziennikarz, jak Hubert Seipel, jeszcze w 2021 r. zaprzeczał, jakoby brał z Rosji jakieś pieniądze (jak w wywiadzie dla stacji „SWR"), kiedy jego peany na cześć Putina zaczęły rodzić pierwsze podejrzenia. Prawdę mówił! Cypr nie należy przecież do Rosji. A Wyspy Dziewicze już zupełnie nie.

Lewicowy hamburski magazyn „Die Zeit" mówi o Hubercie Seiplu „rosyjska łódź podwodna". Czyżby obawiał się zatopień? Czy polecą głowy? Gdzie? W stacji NDR? „Dziennikarz Hubert Seipel pracował dla NDR i kazał za to zapłacić druhowi Putina". Tym samym NDR zalicza kolejny skandal (po zarzutach kumoterstwa i politycznej stronniczości). To są media publiczne, a nie prywatne stacje telewizyjne. Od nich wymaga się przecież solidności! Seipel to autorytet, ikona wolnych mediów!

Oczywiście, że ma prawo do wolności słowa. Tym bardziej że nie wybiega przed szereg. Miliony telewidzów w Niemczech wsłuchiwały się w niego jak w guru, kiedy mówił o Rosji. I o Putinie. Dziesiątki tysięcy Niemców z zachwytem czytały jego oba bestsellery: „Putin, rzut oka od środka na władzę" (2015) czy „Potęga Putina. Dlaczego Europa potrzebuje Rosji" (2021).

Czyżby tezy, stawiane przez niemieckiego dziennikarza, nie budziły nigdy wątpliwości? Günter Berg, wydawca pierwszej z książek Seipla w oficynie Hoffmann und Campe, wspomina, że Seipel nigdy nie skrywał swego stosunku do Putina. Zarazem jednak nie zwracał uwagi na ciemne strony Rosji albo ich nie dostrzegał. Ale – mówi Berg – Seipel nie był w tej sprawie kimś wyjątkowym w Niemczech: „Wielu w SPD jeszcze dwa lata temu myślało podobnie". Ja dodam: I nie tylko w SPD! I nie tylko dwa lata temu! Niemieccy politycy wszystkich opcji – z nielicznymi wyjątkami – uwielbiają Rosję. „To nasz sąsiad" – mówią z wyrazem uznania w głosie.

„Die Zeit" stawia pytanie, które zajmuje mnie od początku afery Seipla: Za co Hubert Seipel otrzymał tak dużo pieniędzy z Rosji? A może dla Kremla to tylko grosze?

Przecież jeśli pisał to, co naprawdę myślał, to po co brał pieniądze od Kremla? Czy jest on skorumpowany? I od kiedy płynęły te pieniądze? Nie na wszystkie z tych pytań łatwo odpowiedzieć. Ale przyglądając się dziennikarskiej aktywności Seipla, ukazuje się dość wyraźny obraz. Tempo spotkań dziennikarza z Putinem przybiera od 2009 r., kiedy po raz pierwszy przeprowadza z nim wywiad. Seipel podróżuje do Rosji coraz częściej, towarzysząc Putinowi tygodniami. Żadnemu z zachodnich dziennikarzy nie udało się zbliżyć się do Putina aż tak. W efekcie dokument, emitowany w ARD w 2012 r., przyniósł Seiplowi wielką sławę.

Po tym sukcesie kolejne daty: dziennikarz robi następny film dokumentalny, tym razem o Syrii, i udaje się mu – a do niedawna Seipel to przecież zawodnik nikomu nieznany – rozmawiać z głównymi aktorami, jak Siergiej Ławrow, szef dyplomacji na Kremlu, syryjski dyktator Baszar al-Asad czy Kofi Annan, były sekretarz generalny ONZ, wówczas rozjemca z ramienia ONZ w wojnie syryjskiej. Potem Rosja zajmuje Donbas, gdzie toczy się dziwna wojna. I znowu Seipel przeprowadza wywiad z Putinem. ARD emituje wywiad pod koniec 2014 r. i zaprasza jego autora do talk-show na temat Rosji prowadzonego przez wybitnego prezentera, Güntera Jaucha, w którym udział biorą znane osobistości. Oglądalność? 5,5 mln telewidzów!

PROSOWIECKIE SYMPATIE

W tym miejscu wrócić trzeba do postawionego wyżej pytania: Skąd się bierze olśniewający i niekwestionowany sukces „rozumiejącego Putina" Huberta Seipla? Odpowiedź jest boleśnie prosta: jego książki i filmy wpisywały się (i wpisują się nadal) w oczekiwania niemieckiej lewicy. I nie chodzi tutaj tylko o polityków w północnych Niemczech (np. o Manuelę Schwesig z SPD, patronkę Nord Stream 2), lecz także o dziennikarzy, w tym również w NDR. Niemieccy dziennikarze to w zdecydowanej większości zwolennicy ugrupować lewicowych, w tym także skrajnej lewicy (nawet organizacje terrorystyczne w Niemczech jeszcze przed zjednoczeniem, utrzymywane przez Związek Sowiecki i NRD, cieszyły się poparciem wielu dziennikarzy).

Z przeprowadzonych niedawno w Niemczech badań wynika, że prawie 34 proc. dziennikarzy pracujących dla powszechnie znanych mediów jest sympatykami i wyborcami Zielonych. Zieloni dzisiaj to nie jest już partia trampkarzy, lecz stronnictwo zamożnej, nowej średniej klasy w Niemczech. Jest ona antychrześcijańska, a zwłaszcza antykatolicka, proaborcyjna, antyamerykańska i nadal prosowiecka. Ma ona stare powiązania z Rosją nie tylko z czasów Marszów Wielkanocnych.

Dalej jest SPD. Partia Olafa Scholza wlecze się wprawdzie w ogonie preferencji wyborczych, ale nadal popiera ją prawie 21 proc. dziennikarzy pracujących w wielkich mediach. Nawet komuniści są liczącą grupą dziennikarzy, co widać nie tylko w twórczości Gabriele Lesser, korespondentki TAZ w Warszawie.

CDU/CSU i FDP to w krajobrazie medialnym w Niemczech margines. Marksistowski marsz przez instytucje w Niemczech dawno się już zakończył. Dwie trzecie tatusiów dziennikarzy to pracownicy umysłowi i urzędnicy państwowi (w Niemczech nadal istnieje ta kategoria z II Rzeszy). Rosja dobrze inwestuje w dziennikarzy, takich jak Seipel. I na pewno nie jest on wyjątkiem.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 1606071830

RZYMSKI CESARZ LGBT

Cesarz Heliogabal przez swoje skandale seksualne i religijne został zamordowany w wieku 18 lat. Ze względu na sprzeczne przekazy (miał mieć cztery żony, a także prostytuować się z mężczyznami) jego tożsamość płciowa pozostawała zagadką. Ale już przestała być. Muzeum w hrabstwie Hertforshire w Wielkiej Brytanii skonsultowało się z organizacjami LGBT i uznało, że na jego wystawach Heliogabal przedstawiany będzie jako „ona", a eksponaty z nim związane mówić będą o „władczyni Rzymu". Historycy są tym zniesmaczeni. Cóż, historycy z definicji zajmują się przeszłością, a postępowość to przyszłość.

FOT. JOSÉ LUIZ BERNARDES RIBEIRO/CC BY-SA 4.0

KTO SZYJE BUTY ROSJANOM

Oficjalnie Europa i wiele innych krajów próbują ekonomicznie podkopać Rosję. W rzeczywistości interesy z tym krajem wciąż są prowadzone. Ukraińscy dziennikarze śledczy zbadali obuwie rosyjskich żołnierzy znajdowane na polu walki. W ten sposób odkryli, że czterej producenci obuwia dla rosyjskiej armii kupili komponenty do ich produkcji – takie jak skórę, klej i części do maszyn obuwniczych – z krajów UE. Wartość tych towarów wyniosła ponad 4 mln dol. Największymi dostawcami okazali się włoska firma Conceria Cervinia Spa, białorusko-niemiecka spółka Belintertrans Germany Gmbh oraz niemiecka firma Neuhaus Gmbh.

PREZYDENT NĘKAŁ WIELORYBA?

Były prezydent Brazylii Jair Bolsonaro po złożeniu urzędu został oskarżony już m.in. o wspieranie próby zamachu stanu, przywłaszczenie klejnotów i przedstawianie fałszywego certyfikatu szczepienia przeciw COVID-19. Teraz policja i prokuratura prowadzą dochodzenie w sprawie... nękania przez niego wieloryba. Powód? W sieci pojawiło się nagranie, na którym ktoś przypominający z wyglądu Bolsonaro celowo podpływał blisko zwierzęcia.

ASTRONAUTKI ZGUBIŁY TORBĘ

We wnętrzach kobiecych toreb mieści się cały kosmos, a czasem to torby znajdują się w kosmosie. Dwie astronautki – Niemka Jasmin Moghbeli i Amerykanka Loral O'Hara – przebywające na Międzynarodowej Stacji Kosmicznej na początku listopada odbyły spacer kosmiczny. Jak ujawniła NASA, podczas spaceru kobiety zgubiły torbę z narzędziami. Według USA Today wartość zgubionych narzędzi sięga 100 tys. dol. ©℗

Łukasz Zboralski

JACEK PRZYBYLSKI

GLOBALNE OCHŁODZENIE

Gotówka w konstytucji

Liczba płatności bezgotówkowych w Europie systematycznie rośnie. Komisja Europejska nie ukrywa zaś, że chce wprowadzenia cyfrowego euro. Plany Brukseli budzą spore kontrowersje, a krytycy tego pomysłu obawiają się, że UE chce monitorować wszystkie nasze zakupy, zbliżając Unię do krainy Orwellowskiego Wielkiego Brata.

Jak poinformował czeski portal Echo24.cz grupa czeskich senatorów zaproponowała, aby do konstytucji tego kraju dodać zapis stanowiący o tym, że każdy Czech ma prawo pozostać w trybie off-line i że mimo rozwoju elektronicznych form płatności ma prawo do wykonywania płatności za pomocą papierowego pieniądza.

Proponowany przez senatorów zapis w konstytucji broniący osób, które nie chcą całego swojego życia przenosić online, to nie tylko pomysł Czechów. W sierpniu 2023 r. również kanclerz Austrii Karl Nehammer stwierdził, że chce, aby prawo do posługiwania się gotówką zostało zagwarantowane odpowiednim zapisem w konstytucji. Jak bowiem słusznie przekonywał, prawo do płatności gotówką ma wiele wspólnego z prawem do prywatności. Przeciwnikami prawa do ochrony papierowego pieniądza są zaś w Austrii socjaldemokraci.

W czerwcu obecnego roku słowacki parlament przyjął poprawkę, która głosi, że każdy ma prawo płacić za zakupy towarów i usług gotówką. Słowacy wiedzą, co robią. Nieopatrznie zbyt szybko, bo już w roku 2009 weszli do strefy euro, za co zapłacili ogromnym spadkiem poziomu zamożności. Nic więc dziwnego, że reagują alergicznie na samą myśl o tym, że w przyszłości mogliby płacić wyłącznie „cyfrowymi euro". ©℗

eprasa.pl 1606071830

SENSACYJNA, OPARTA NA FAKTACH

KULISY GŁOŚNYCH SPRAW I ARESZTOWAŃ

WSTRZĄSAJĄCE RELACJE

ROZMOWY Z EKSPERTAMI I LUDŹMI Z WYMIARU SPRAWIEDLIWOŚCI

PONAD 500 NAZWISK I FIRM

AUTORAMI SĄ DOŚWIADCZENI DZIENNIKARZE ŚLEDCZY

Bezprawne areszty, popisowe zatrzymania, stawianie zarzutów bez pokrycia w dowodach. Tasiemcowe rozprawy sądowe, prawdziwe historie o twardym zetknięciu się z więziennymi realiami.

Bohaterami tej książki są ludzie sukcesu, rozpoznawalni biznesmeni z pierwszych stron gazet, jedni z najbogatszych Polaków, którzy w jednej chwili znaleźli się w środowisku zupełnie dla siebie obcym, znanym im dotąd jedynie z filmów kryminalnych.

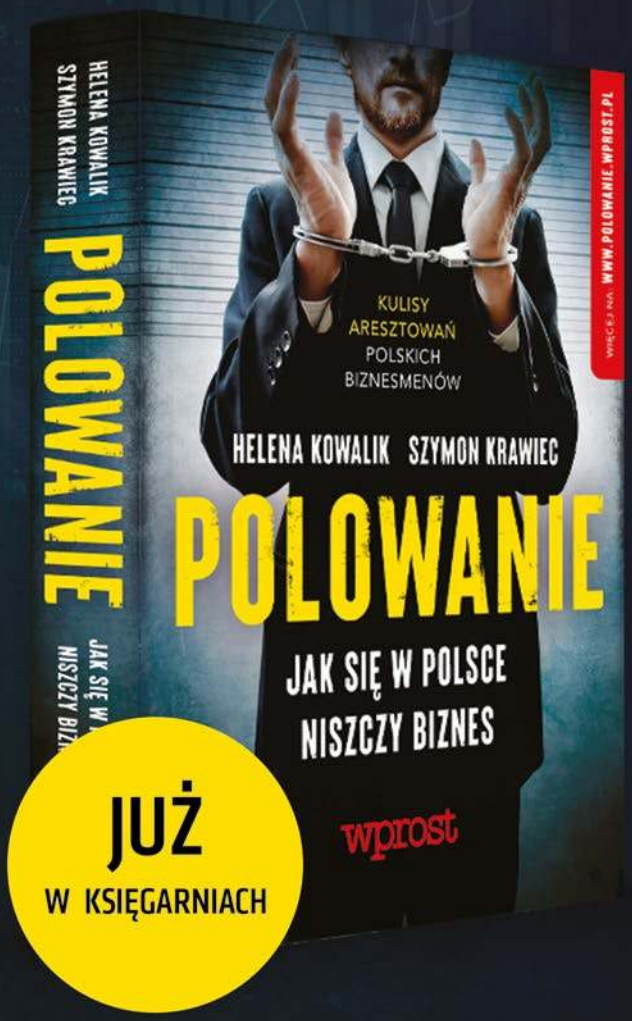

JUŻ W KSIĘGARNIACH

Zamawiając książkę wraz z PDF na stronie

KSIAZKA.WPROST.PL

Otrzymasz gratis praktyczny poradnik stworzony w oparciu o porady adwokatów i osobiste relacje osób zatrzymanych.
W przypadku chęci zakupu większej liczby książek, prosimy o kontakt
+48 539 953 631 , +48 508 040 664

PARTNERZY:

Polska Rada Biznesu · ZPP · WEI · Fundacja Court Watch Polska · Fundacja Pomyśl o przyszłości · Comparic.pl · My Company Polska · Towarzystwa Biznesowe · BRIEF

eprasa.pl 1606071830

Żegnaj, metropolio?

Łukasz Zboralski

Polacy od lat migrowali z mniejszych miejscowości do dużych miast. Teraz molochy porzucają. Wolą ciszę, spokój i przyrodę. Czy mniejsze ośrodki stają przed szansą szybkiego rozwoju?

Płock jest jednym z miast, które zyskało mieszkańców uciekających z Warszawy

FOT. ADOBE STOCK

Czy przypominają sobie państwo czołówkę serialu bijącego kiedyś rekordy popularności – „Cudowne lata"? To tam na tle piosenki wykonywanej przez Joe Cockera przesuwały się idylliczne obrazy sąsiadów przed domami z trawnikami. Przedmieścia. Ich powab zawsze odkrywali mieszkańcy miast, gdy ich sytuacja finansowa się poprawiała. Suburbanizacja to znany mechanizm. W pewnym momencie ludzie robiący kariery w dużych ośrodkach mają dość hałasu, gonitwy, pośpiechu. Chcą mieć więcej przestrzeni i spokoju. I wyprowadzają się z dużych miast na ich przedmieścia.

Te procesy były najdłuższe i najbardziej widoczne w USA, ale także w Polsce przez ostatnie dekady było widać – są nawet badania wykonywane na podstawie zdjęć lotniczych – że największe polskie miasta „rozlewają się" na obrzeżach. Znikają łąki, pola rolnicze, a pojawiają się całe nowe osiedla.

MIGRACJA ODWRÓCONA

I nie byłoby nic dziwnego w tym cyklu powtarzającym się w krajach, w których podnosi się zamożność. Koło migracji było znane: mieszkańcy polskich wsi i miasteczek szukają nowego życia i lepszych zarobków w dużych ośrodkach, bogacą się i potem często osiadają pod miastem.

Jednak gdy migracjom wewnętrznym przyjrzeli się badacze Instytutu Pokolenia, odkryli nowy trend – nie tylko zamożni, którzy zmęczyli się dużym miastem, z niego uciekają. Upowszechnienie się pracy zdalnej i hybrydowej (tu „pomogła" pandemia COVID-19) i coraz lepsza sieć transportowa w Polsce spowodowały, że coraz więcej osób może wybrać jako miejsce do życia miejscowości położone na peryferiach dużych miast. I rzeczywiście wielu to robi.

Skala takiej migracji badana na podstawie logowań telefonów w sieciach komórkowych w godz. 22–6 okazała się zdecydowanie wyższa niż ta, która wynikała z oficjalnych danych GUS. Porównano szacunki dotyczące liczby osób przebywających w strefie nocnej poszczególnych dzielnic Warszawy oraz liczby osób dorosłych przebywających w strefie nocnej na terenie 32 wybranych gmin województwa mazowieckiego z danymi na temat liczby mieszkańców z Narodowego Spisu Powszechnego (NSP 2021). W przypadku Warszawy szacunki na podstawie danych GPS były 7 proc. wyższe niż dane ze spisu powszechnego, a w przypadku 32 wybranych gmin o 9 proc. wyższe.

Prowadząc analizy opisane w raporcie „Dyskretny urok miast i miasteczek. Dokąd przeprowadzają się mieszkańcy metropolii?", badacze Instytutu Pokolenia (Marta Borowska-Stefańska, Michał Kowalski, Szymon Wiśniewski) przyjrzeli się szczegółowo Warszawie, Trójmiastu i Wrocławowi oraz powiatom je otaczającym. Z analiz tych wynika, że zjawisko migracji do mniejszych miejscowości dotyczy znaczącej liczby Polaków.

„W ciągu analizowanych czterech lat z Warszawy wyjechało przeszło 180 000 mieszkańców, z Wrocławia – 48 688 mieszkańców, a z Trójmiasta – 27 407 (kolejno: 10 proc., 7,2 proc. i 3,6 proc. ogółu ludności tych ośrodków według stanu z 2021 roku)" – czytamy w raporcie.

W tym okresie z powiatów ziemskich aglomeracji warszawskiej wyjechało w sumie 104 459 osób, aglomeracji wrocławskiej – 24 372 i aglomeracji trójmiejskiej – 26 203 osoby. Stanowiło to odpowiednio 8 proc., 4 proc. i 4 proc. ogółu ludności tych ośrodków według stanu z 2021 r.

Oczywiście temu kierunkowi migracji pandemia „pomogła" nie tylko dlatego, że w wielu firmach okazało się, iż można

eprasa.pl 1606071830

wykonywać pracę zdalnie (i nie opłacać wielkich powierzchni biurowych). W grę wchodziła też trauma lockdownów. Ludzie, którzy zostali przez rząd zamknięci w mieszkaniach w blokach, chcieli się zabezpieczyć. Za cenę mieszkania w centrum miasta mogli kupić często mały domek lub segment z ogródkiem w miejscowości niewiele oddalonej od metropolii. Tam przynajmniej mogliby wyjść do własnego ogródka (bo do lasu, jak pamiętamy, państwo też potrafi zabronić wejścia).

Z GRÓJCA DO BIURA

Z miast uciekali w tym czasie głównie ludzie młodzi i w średnim wieku. Bardzo często to ci, którzy zaczęli całkiem zdalnie pracować albo wpadają tylko do biura w centrum miasta np. raz w tygodniu.

Dokąd wyjeżdżali? Na przykład głównymi kierunkami migracji z Warszawy, poza jego aglomeracją, były: Radom, Garwolin, Ciechanów, Grójec, Gostynin, Sochaczew i Płock. Przeniosło się do nich kolejno: 9,73 proc., 5,95 proc., 5,4 proc., 4,48 proc., 3,36 proc., 3,31 proc i 2,26 proc. ludności zmieniającej miejsce zamieszkania poza aglomerację warszawską i osiedlającej się w obrębie województwa mazowieckiego. Do pozostałych gmin wyjechało 65,5 proc. migrującej grupy.

Większość uciekających z Warszawy poza aglomerację osiedlała się w miejscowościach zamieszkanych przez mniej niż 50 tys. mieszkańców (87,5 proc.). Z tej grupy aż 77,7 proc. osiedliło się w gminie mającej poniżej 20 tys. mieszkańców. Takie niewielkie gminy na Mazowszu zasiliło więc w ostatnich latach 32 052 migrantów z Warszawy.

To jeszcze ciekawszy obraz z perspektywy małych gmin. Otóż migranci, którzy do nich przyjechali ze stolicy, stanowią np. w przypadku Grójca aż ponad 10 proc. mieszańców. Niewiele mniej w przypadku Garwolina – 9,3 proc. ogółu mieszkających to uciekinierzy z Warszawy.

Ci zaś, którzy wyjeżdżają poza województwo mazowieckie, trafiają do miast – najczęściej osiedlali się w Lublinie, Białymstoku, Katowicach i Łodzi.

Z kolei z Wrocławia ludzie migrowali najczęściej do gmin: Jelenia Góra, Legnica, Świdnica, Kłodzko, Lubin, Strzegom, Nowa Ruda, Wałbrzych, Szklarska Poręba i Dzierżoniów. Z Trójmiasta uciekali do gmin: Starogard Gdański, Tczew, Słupsk, Chojnice, Kościerzyna i Malbork.

Część ludzi, których poszukiwania pracy wygnały z rodzinnych miejscowości, teraz może do nich powrócić – pracować i być bliżej rodziny. Część osiada w mniejszych miejscowościach wokół aglomeracji. W dużym mieście nadal zarabia, ale pieniądze wydaje już często tam, gdzie głównie przebywa – w raporcie wskazano m.in., że migranci zdecydowanie częściej korzystają tam z obiektów sportowych. Zapewne będą też w małych miasteczkach korzystać z rozmaitych usług – od gastronomii do fryzjera. To może dawać nadzieję na silniejszy rozwój mniejszych ośrodków. Przed samorządowcami jest ogromna szansa – ci, którzy przyciągną najwięcej uciekających z dużych miast, zyskają najbardziej.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

REKLAMA

W kilka minut straciła oszczędności życia. Jak nie dać się oszukać?

Na wnuczka, na policjanta, na wypadek, na wyjątkową okazję, na zwrot długu, na kuriera, na aktora z zagranicy. Oszuści są zawsze o krok przed policją i służbami, prześcigając się w wymyślaniu nowych pomysłów na kradzież. Dlatego tak ważne jest uświadamianie o zagrożeniach, jakie mogą nas spotkać każdego dnia. Szczególnie narażone na działania przestępców są osoby starsze, samotne czy nieporadne. Jak nie dać się oszukać? Co zrobić, jeśli padniemy ofiarą przestępstwa?

Wystarczyło dosłownie kilka minut, by pani Halina spod Warszawy straciła oszczędności swojego życia. Pewnego październikowego poranka zadzwonił do niej nieznany numer. Po drugiej stronie słuchawki odezwał się mężczyzna, który podał się za jej wnuczka. Poinformował „babcię", że dzwoni od kolegi, ponieważ chwilę wcześniej miał poważny wypadek i jego telefon uległ zniszczeniu. - Na szczęście nikomu nic się nie stało, ale oba samochody są zupełnie zniszczone - relacjonował w słuchawce roztrzęsiony „wnuczek". Poprosił przejętą emerytkę, by pożyczyła mu 50 tys. zł, które miały pokryć koszty związane z wypadkiem. Kobieta chcąc pomóc wnuczkowi zgodziła się na pożyczkę. Oszust poinformował, że pieniądze odbierze kolega, bo on sam musi zostać na miejscu zdarzenia.
Kilka minut później mężczyzna był w domu pani Haliny i odebrał od niej 50 tys. zł w gotówce. Dopiero kolejnego dnia, gdy wnuczek się nie odezwał, kobieta postanowiła zadzwonić do rodziny. Szybko okazało się, że nie było żadnego wypadku, a pieniądze trafiły w ręce przestępców.

Jak nie dać się oszustom?

Choć o podobnych przypadkach głośno jest od wielu lat, osoby starsze wciąż dają się nabrać i tracą w ten sposób oszczędności życia. Dlatego niezwykle ważne jest zapobieganie i uświadamianie o możliwych zagrożeniach. Porozmawiaj ze swoimi bliskimi, uprzedź rodziców, dziadków, sąsiadów o metodach działania oszustów. Specjaliści zwracają uwagę, że przestępcy najczęściej dzwonią i informują, że natychmiast potrzebują pieniędzy. Sposobów na wyłudzenie jest niezwykle dużo:

- na wnuczka - osoba, która dzwoni podaje się za wnuczka i opowiada zmyśloną historię; zawsze prosi o natychmiastową pożyczkę
- na policjanta - osoba, która dzwoni podaje się za policjanta i przekonuje, że odbierający musi pomóc w akcji policji / zatrzymaniu groźnego przestępcy i przekonuje, by oddać pieniądze w celu ich zabezpieczenia
- na wypadek
- na kuriera
- na wyjątkową okazję
- na zwrot długu
- na aktora z zagranicy

Jeżeli otrzymasz podejrzany telefon - zadzwoń do bliskich i opowiedz im o sytuacji, nawet w sytuacji, gdy dzwoniący poprosi o zachowanie dyskrecji – taka sytuacja nie może być tajemnicą! Nie możesz dodzwonić się do rodziny lub bliskich? Zadzwoń na numer alarmowy i powiadom policję o zdarzeniu.

Fundusz Sprawiedliwości pomaga osobom pokrzywdzonym przestępstwem

Jeżeli jesteś ofiarą lub świadkiem przemocy nie bój się prosić o pomoc. Każde dziecko zasługuje na szczęśliwe i bezpieczne dzieciństwo, a każdy dorosły na spokojne i bezpieczne życie. Każdy pokrzywdzony przestępstwem, świadek oraz osoba im najbliższa może skorzystać z bezpłatnej pomocy w ramach Funduszu Sprawiedliwości. Jest ona udzielana w Lokalnych Punktach i Okręgowych Ośrodkach Pomocy Pokrzywdzonym Przestępstwem, których na terenie całej Polski jest 305. Pomoc realizowana jest przez specjalistów, którzy pomogą rozwiązać nawet najtrudniejsze sprawy - są wśród nich m.in. prawnicy, psychologowie, psychoterapeuci i psychiatrzy, doświadczeni także w pracy z dziećmi i młodzieżą. Placówkę blisko miejsca zamieszkania można znaleźć na stronie:
https://www.funduszsprawiedliwosci.gov.pl/pl/znajdz-osrodek-pomocy/

Do dyspozycji poszkodowanych jest także Całodobowa Linia Pomocy Pokrzywdzonym Przestępstwem (222 309 900), adres e-mail: info@numersos.pl oraz specjalny czat online.

Nie bądź obojętny, reaguj na przemoc!
Nie bój się prosić o wsparcie!

eprasa.pl 1606071830

PIOTR GABRYEL

PROSTO ZYGZAKIEM

Oto podatek Morawieckiego

Dobrze by się stało, gdyby wszystkie podatki zawsze nosiły nazwy od nazwisk tych polityków, którzy „sprowadzili je na świat". Czyli zmusili nas, podatników, do ich płacenia.

Dobrze by się stało, gdyby podatki nosiły nazwy od nazwisk swoich „ojców" (lub „matek") choćby po to, żeby we wdzięcznej pamięci obywateli każdy taki podatek na zawsze został zapamiętany wraz z nazwiskiem jego autora. Autora, któremu owi wdzięczni obywatele mogliby za każdym razem, gdy go uiszczają, choćby w myślach, gorąco za jego wprowadzenie „podziękować". Może byłby to jakiś – choć niewielki – hamulec, mitygujący polityków, którzy z taką łatwością obarczają nas podatkami, żeby miarkowali się we wprowadzaniu nowych i podwyższaniu wymiaru już istniejących.

Najlepiej odwołać się do przykładu podatku Belki – wprowadzonego w 2002 r. przez ministra finansów Marka Belkę i natychmiast nazwanego jego imieniem – czyli do haraczu nakładanego już od ponad dwóch dekad na wciąż niewielkie, nadal nad wyraz skromne oszczędności Polaków. Podatku Belki, który szczególnie mocno daje się we znaki dziś – w czasach szalejącej inflacji i niskich odsetek od lokat bankowych – jeszcze mocniej i bez skrupułów pogłębiając straty polskich ciułaczy. I za każdym razem, gdy nie ma wyjścia i trzeba go uiścić, zmuszonym do tego płatnikom przed oczami staje twarz Marka Belki. Któremu wypada pogratulować tylu ciepłych uczuć, co dnia kierowanych pod jego adresem.

Rzecz jasna, takich podatków, które zawsze powinny mieć w nazwie nazwisko ich politycznego promotora, było w historii Polski bez liku – jak podwyższony do 23 proc. VAT, który powinien zostać okrzyknięty VAT-em Tuska.

A w przyszłym roku – za sprawą zgody premiera Morawieckiego – dojdzie nam kolejny, tym razem unijny: podatek od samochodów spalinowych. Najpierw, od 2024 r., będzie to podatek pobierany przy rejestrowaniu nowych aut spalinowych, a od 2026 r. – egzekwowany także co roku od każdego już zarejestrowanego auta spalinowego. Czyż podatek ten nie powinien zostać natychmiast, już teraz, nazwany podatkiem Morawieckiego? Żeby pod żadnym pozorem nie zapomnieć o jego autorze?

Choć, rzecz jasna, odchodzący premier ma na swoim koncie niemało innych podatków, które także śmiało mogłyby nosić jego imię – takich jak doliczany do rachunków za prąd podatek „mocowy", jak podatek od deszczówki, jak podatek od plastiku itd.; nie zapominając – bo żadną miarą się o nim zapomnieć nie da – o podatku zdrowotnym w wysokości 9 proc. od dochodu, którego za sprawą Morawieckiego nie da się już nawet odliczyć od podatku. ©℗

ŁUKASZ WARZECHA

NOTATNIK MALKONTENTA

Polska kontra Ukraina

Wkrótce do protestu polskich przewoźników blokujących przejścia graniczne z Ukrainą dołączą rolnicy. Dotychczasowe negocjacje z udziałem przedstawicieli UE nie przyniosły rezultatu. To bowiem decyzja UE – wraz z jej przedłużeniem – pozwala ukraińskim przewoźnikom kursować po Unii bez zezwoleń do połowy 2024 r. Przedstawiciele rządu Zjednoczonej Prawicy głosowali w Radzie UE za pierwotną wersją umowy UE-Kijów, a następnie za jej przedłużeniem. Co właściwie nie powinno nawet zaskakiwać, bo był to tylko jeden z wielu przypadków, gdy rząd PiS działał na rzecz interesu ukraińskiego kosztem polskiego. Wskutek decyzji Brukseli liczba dokonanych przez Ukraińców przewozów wyniosła już w tym roku ponad milion, podczas gdy w czasie obowiązywania pozwoleń było ich trzykrotnie mniej przez cały rok.

> **Tylko obecność policji sprawia, że nie doszło jeszcze do bijatyk między Ukraińcami a Polakami**

Sytuacja z przewoźnikami ukraińskimi przypomina tę z rolnikami i ze zbożem: nie ma tu mowy o równej konkurencji, ponieważ Ukraińcy nie są zobowiązani do przestrzegania unijnych regulacji, ale dostali dostęp do całego unijnego rynku. Można sobie tylko zadać pytanie: Czy gdyby liderem sektora TLS (transport, logistyka, spedycja) w Unii byli nie Polacy, ale Niemcy, zezwolenia dla przewoźników zostałyby równie chętnie i łatwo zniesione?

Na granicy wrze. Tylko obecność policji sprawia, że nie doszło jeszcze do bijatyk między Ukraińcami a Polakami. Nowa władza (in spe) na temat sporu milczy. Szefem Komisji Spraw Zagranicznych Sejmu został natomiast skrajnie proukraiński Paweł Kowal.

Jednak ten spór jest symptomem czegoś poważniejszego. To przykład pokazujący, do jakiego stopnia sprzeczne z polskim interesem jest wciąganie Ukrainy do UE – co przecież w swoich programach mają zarówno PiS, jak i nowa koalicja. Ukraina jest dla nas konkurencją na wielu polach, a jej przystąpienie do UE sprawi, że Polska będzie dodatkowo poszkodowana: nie tylko zostaniemy od kolejnej perspektywy budżetowej płatnikiem netto (co stanie się nawet bez przystąpienia Ukrainy do Unii), lecz także naszymi pieniędzmi będziemy zasilać naszego bezpośredniego konkurenta. ©℗

eprasa.pl 1606071830

Poznaj najważniejsze wydarzenia mijającego tygodnia na polskiej scenie politycznej. Na rozmowy w Telewizji Republika zaprasza Rafał Ziemkiewicz.

REPUBLIKA

Salonik POLITYCZNY

RAFAŁA ZIEMKIEWICZA

Niedziela
11:00

RepublikaTV @RepublikaTV Telewizja Republika @RepublikaTV

Telewizję Republika odbierać można drogą satelitarną, przez sieci kablowe oraz przez dostępną telewizję naziemną z lokalnych nadajników MUX w Katowicach, Warszawie, Gdańsku i Wrocławiu, a także w Internecie na stronie www.tvrepublika.pl.

eprasa.pl 1606071830

W mieście Grindavik w ciągu kilku tygodni grunt pod zabudowaniami obniżył się o ponad metr, utworzyły się też głębokie szczeliny (na zdjęciu) FOT. BJORN STEINBEKK/AP/EAST NEWS

Wybuchowa wyspa

Adam Zubek

Ożywiły się w tym roku wulkany europejskie. Od Islandii przez podneapolskie Pola Flegrejskie do sycylijskiej Etny. Przez cały listopad najbardziej dramatyczne sygnały docierały od wulkanologów islandzkich

Najpierw się mocno zatrzęsło. O wiele mocniej niż zwykle. Bo do wstrząsów o magnitudzie 1–3, prawie nieodczuwalnych, Islandczycy są przyzwyczajeni. Tym razem, w piątek 10 listopada, najsilniejszy wstrząs osiągnął 5,2, co natychmiast zaalarmowało wulkanologów. Źródło zostało szybko zlokalizowane, bo ta część półwyspu Reykjanes (południowo-zachodni kraniec wyspy), choć od 800 lat spokojna, jest pod stałą kontrolą badaczy. Nawiasem mówiąc, to region najchętniej odwiedzany przez turystów, bo nagromadzenie „wulkanicznych atrakcji" jest tu wyjątkowe (m.in. bajkowa Blue Lagoon – Błękitna Laguna).

NIEPOKOJĄCE ZWIASTUNY

Niestety, w kolejnych dniach ziemia trzęsła się coraz częściej – w sobotę 11 listopada naliczono ok. 1 tys. wstrząsów. Zdaniem wulkanologów nagromadzenie magmy związane z pobliskim masywem wulkanicznym Fagradalsfjall jest już tak płytko, że erupcja jest nieunikniona. Zarządzono ewakuację pobliskiego miasta Grindavík. W ciągu kilku tygodni grunt pod zabudowaniami obniżył się o ponad metr, utworzyły się też głębokie szczeliny.

Czego można się spodziewać po wulkanie Fagradalsfjall? Przebudził się w marcu 2021 r. Kolejne znaczące erupcje wystąpiły w sierpniu 2022 r. i latem 2023 r. Trzeba jednak powiedzieć, że tak jak w wypadku większości zjawisk wulkanicznych na Islandii nie należy się spodziewać „wybuchu" wulkanu. Islandzkie wulkany, podobnie jak wulkany hawajskie, według skali eksplozywności (VEI), rzadko wychodzą poza wartość „0". Należą do typu efuzywnego, czyli do wulkanów w miarę spokojnie, dostojnie wylewających swoje lawy.

eprasa.pl 1606071830

W dodatku wykorzystują do tego celu nie tylko typowe stożki, góry wulkaniczne, lecz także często wielokilometrowe szczeliny, a więc wielkość islandzkich wulkanów należy określać nie w metrach wysokości, ale w metrach (kilometrach) długości. To prawda, że potrafią niekiedy zbudzić się z drzemki w sposób eksplozywny, ale dominują tu szczelinowe wypływy lawy, która rozlewa się szeroko, tworząc rozległe płaskowyże. Nie brakuje przy tym widowiskowych wyrzutów lawy na wysokość nawet kilkuset metrów. Te zjawiska są zawsze wielką atrakcją turystyczną. Ale nie oznacza to, że podobnie jak inne wulkany na świecie nie mają skłonności zabójczych.

POPIOŁY NAD EUROPĄ

Wielu z nas pamięta sytuację z roku 2010, gdy wybuch wulkanu Eyjafjallajökull zablokował na wiele dni ruch lotniczy nad Europą, powodując miliardowe straty. Przyczyną była kolosalna ilość popiołów i pyłów uwolnionych do atmosfery. Z obserwacji naukowych wynika, że do intensywnej produkcji popiołów przyczynia się kontakt gorącej, płonącej lawy w wodą. A o to na Islandii nietrudno, ponieważ wiele kraterów, podobnie jak właśnie Eyjafjallajökull, znajduje się pod lodowcami. A poza tym na tej stosunkowo niedużej wyspie właściwie z każdego krateru jest blisko do morza. W kontakcie z lawą woda wrze i gwałtownie parując, rozrywa na drobne strzępki stygnącą lawę. Z nich tworzą się wysokie niekiedy na kilka kilometrów pióropusze dymów i popiołów, a najdrobniejsze cząstki, o rozmiarach poniżej 0,05 mm, formują się w rozległe chmury, które wędrują najczęściej nad Europę. A to z kolei za sprawą charakterystycznej dla tej części Atlantyku cyrkulacji atmosferycznej (słynny niż islandzki).

Można więc powiedzieć, że gdy budzą się wulkany Islandii, to niemal pewne jest nadejście nad Europę chmur wulkanicznych. W przeszłości zdarzało się to często, ale nikt ich nie zauważał, nikomu też nie przeszkadzały aż do czasu, gdy pojawiły się samoloty odrzutowe.

To samo zjawisko, a więc podlodowcowa erupcja wulkanu, może być przyczyną powodzi. Tym bardziej niebezpiecznej, bo zupełnie nieoczekiwanej. Woda, wymieszana z drobnym materiałem piroklastycznym, może podczas takich spływów przemieszczać się z prędkością kilkudziesięciu kilometrów na godzinę, niszcząc praktycznie wszystko na swojej drodze (zjawisko zwane laharami). Stanowi to wielkie zagrożenie dla ludzi. Podczas erupcji wulkanu Laki w 1783 r. gigantyczne ilości wody zniszczyły wiele miejscowości.

Wulkany islandzkie potrafią doprowadzić nie tylko do lokalnych powodzi. Mogą też zagłodzić mieszkańców wyspy. Coś takiego wydarzyło się w latach 1783–1784 za sprawą wulkanu Laki. Erupcja z wulkanu długiego na 25 km trwała prawie rok i uruchomiła kolosalne ilości lawy. Ludzkość nigdy nie odnotowała takiego zjawiska w aż tak dużej skali. Lawa rozlała się na powierzchni porównywalnej z powierzchnią Warszawy (ponad 500 km kw.).

Jednak tym, co doprowadziło do katastrofalnych skutków, nie tylko dla Islandczyków, była chmura gazów i popiołów. Popioły pokryły całą wyspę i wielkie obszary morza. W następstwie zniszczenia łąk oraz zatrucia wód powierzchniowych zabrakło paszy dla owiec, koni i bydła. Szerzący się z tego powodu głód spowodował śmierć ok. 10 tys. ludzi (20–25 proc. ludności kraju).

Jakby tego było mało tego, uwolnionych zostało ok. 120 mln ton dwutlenku siarki (ok. trzech razy więcej niż współczesna roczna produkcja przemysłowa w Europie), co doprowadziło do spadku temperatury w Europie o ok. 1–3 st. C. Skutkiem były ciężkie zimy oraz lata nieurodzaju. Spadek plonów, większa śmiertelność zwierząt gospodarskich spowodowały na kontynencie kilkuletnie perturbacje gospodarcze i – w rezultacie – niepokoje społeczne. Uważa się, że rewolucja francuska była ich następstwem. Trwająca osiem miesięcy erupcja Laki stała się klęską narodową Islandii. Noszono się nawet z zamiarem przeniesienia całej ocalałej ludności do Danii.

ŚWIETLANA PRZYSZŁOŚĆ

Islandię, mimo tych trudnych doświadczeń, czeka jednak świetlana przyszłość. Gdybyśmy zajrzeli, powiedzmy za jakieś kilkaset tysięcy, może milion lat, do aktualnych wówczas atlasów, to okazałoby się, że w tej części świata króluje potężny kontynent, znacznie większy od obecnej Europy, która, zmarginalizowana, zostałaby zepchnięta gdzieś dalej na północ. Takie wnioski można wysnuć z teorii tektoniki płyt, popularnie zwanej teorią wędrówki kontynentów. Co ma sprawić, że Islandia urośnie? Odpowiedzią jest niezwykłe geograficzno-geologiczne położenie wyspy.

Islandia jest położona w osi grzbietu śródatlantyckiego. Ten grzbiet, ciągnący się na całej długości oceanu i będący fragmentem światowego systemu ryftowego, jest sam w sobie czymś w rodzaju liniowego wulkanu. Z rozpadliny przebiegającej środkiem grzbietu, zwanej ryftem, powoli, ale nieprzerwanie wydobywa się lawa, budując po obu stronach rozpadliny nowe pasma dna oceanicznego. Ten właśnie proces jest odpowiedzialny za oddalanie się Europy od Ameryki z prędkością 5 cm na rok. I to ten sam proces jest również odpowiedzialny za niezwykle aktywny wulkanizm Islandii, która jest jedynym fragmentem tej podwodnej śródatlantyckiej struktury wyniesionym ponad poziom morza. Jak to się stało, że zamiast spokojnej erupcji, którą obserwujemy wzdłuż całej podwodnej części grzbietu, nad powierzchnią oceanu pojawiła się tak „wybuchowa wyspa”?

Geolodzy są przekonani, że to za sprawą tzw. pióropusza płaszcza – niezwykle intensywnego strumienia ciepła wznoszącego się pionowo z głębi Ziemi. Takich miejsc odkryto na kuli ziemskiej ok. 20. Objawiają się one na powierzchni tzw. plamami gorąca i zwykle kopułowatymi nabrzmieniami o wysokości do 2 km i średnicy do tysiąca kilometrów. To właśnie to niezwykłe połączenie aktywnego ryftu śródoceanicznego z plamą gorąca zrodziło wyspę zbudowaną wyłącznie z lawy i mieszczącą na powierzchni trzykrotnie mniejszej od Polski 130 wulkanów, w tym 18 czynnych. Ale oprócz tego procesu, który działa jakby rozciągająco na ten mały na razie skrawek lądu, trwa przecież nieprzerwanie dobudowywanie wyspy na jej obrzeżach. Wszystkie produkty wulkaniczne trafiające do morza sprawiają, że Islandia jest z roku na rok coraz większa. Ale na utemperowanie jej wybuchowego charakteru nie możemy liczyć.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 1606071830

MERCEDES EQA 350 4MATIC

FOT. JAP

Najmniejszy z napędzanych prądem crossoverów w rodzinie Mercedesa jest cichy, dynamiczny i komfortowy. Czy jednak najtańszy „elektryk z gwiazdą" nadaje się do jazdy w zimowych miesiącach? Poniżej wynik testu przeprowadzonego zimą, gdy termometr wskazywał od –8 do +3 st. C, a trzymane poza garażem auto każdego ranka pokryte było lodową pokrywą (co widać na zdjęciach z przejażdżki na skraju lasu).

Samochód w kolorze złotego różu z długimi świetlnymi pasami przyciąga wzrok. Kompaktowy SUV w testowanej wersji 350 4matic ma ukryte pod maską 292 KM. Maksymalny moment obrotowy wynosi zaś 520 Nm. Takie parametry pozwalają na przyspieszenie od zera do 100 km/h w 6 s. Elektryczny napęd docenia się, nie tylko startując spod świateł, lecz także gdy trzeba sprawnie zmienić pas lub szybko i bezpiecznie włączyć się do ruchu na miejskich arteriach.

Mercedes EQA 350 4matic został stworzony do miasta i właśnie w miejskiej dżungli czuje się najlepiej. Nie oznacza to jednak, że nie można nim wyjechać na trasę. Precyzyjny układ kierowniczy sprawia, że mimo stosunkowo dużej masy własnej auta (nieco ponad 2,1 t) przyjemnie pokonuje się nim kręte odcinki dróg krajowych (trzeba jednak uważać z prędkością, bo może być nieco podsterowne). Na autostradzie auto też daje radę, choć przy 140 km/h maksymalny zasięg na jednym ładowaniu topnieje w oczach (prędkość maksymalna w tym modelu to 160 km/h).

Mercedes obiecuje średni zasięg na poziomie 456 km w trybie mieszanym. W mieście zimą realny zasięg bliższy jest 360 km. Na drogach krajowych zimowy zasięg to ok. 330 km przy prędkościach w granicach 90 km/h i ok. 250 km przy prędkości ustawionej na tempomacie na 120 km/h. Nawet przy mocno niesprzyjających warunkach pogodowych da się więc tym modelem nie tylko podróżować po mieście, lecz także wyskoczyć gdzieś na weekend. Przy dłuższych trasach postój na podładowanie akumulatora nie musi trwać bardzo długo. Gdy podczas zimowego testu podłączyłem auto do ładowarki, komputer pokładowy pokazywał, że bateria jest naładowana w 26 proc., a zasięg wynosi 92 km. Po 15 minutach ładowania z mocą 79 kW bateria była już naładowana w 54 proc., co powinno pozwolić na przejechanie 192 km. Po kolejnym kwadransie poziom naładowania baterii wzrósł do 76 proc., a zasięg do 275 km. Czas ten można jeszcze skrócić przy użyciu mocniejszej ładowarki (maksymalna moc ładowania to jednak tylko 112 kW).

Na pochwałę zasługują znakomity system infotainment z ekranem o wysokiej rozdzielczości, nowoczesne systemy bezpieczeństwa, a także stosunkowo przestronne, nowocześnie zaprojektowane wnętrze. Prześwit pozwala też na zjechanie z asfaltu. Niestety, pojemność bagażnika (340 l) sugeruje, że jeśli chcemy wyruszyć tym autem na weekend, to tylko we dwoje. Zresztą miejsca z tyłu i tak nie są aż tak wygodne jak przednie fotele.

Ceny nowego EQA zaczynają się od 218,9 tys. zł (w wersji 250 i silnikiem o mocy 190 KM). Za najmocniejszą wersję 350 4matic trzeba zapłacić co najmniej 258,2 tys. zł.

JABRA ELITE 8 ACTIVE

Odporność na pył, pot oraz wodę, skuteczny system aktywnej redukcji hałasu (ANC), ergonomiczna konstrukcja oraz wytrzymała bateria – to największe zalety najnowszych bezprzewodowych słuchawek dokanałowych duńskiej firmy Jabra, przeznaczonych dla miłośników aktywnego życia.

Pogoda za oknem nie rozpieszcza. Deszcz, wiatr, śnieg, chlapa. W takich warunkach lepiej nie używać słuchawek, które wyzioną ducha po pierwszym upadku do kałuży lub w śnieżną zaspę. I właśnie dla osób, które nie zamierzają odkładać regularnych treningów nawet w ulewnym deszczu, przeznaczony jest model Elite 8 Active. Według Jabry to najwytrzymalsze słuchawki na rynku, które spełniają nawet kryteria wojskowe (uzyskały certyfikat certyfikat MIL-STD-810H). Są odporne na upadki (mogą spaść z 1 m i nic im się nie stanie), a także na zanurzenie w wodzie (do głębokości 1,5 m). Deklaracje marketingowców duńskiej firmy potwierdza oficjalny stopień ochrony słuchawek: IP58.

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Z myślą o aktywnych użytkownikach ważące po niecałe 5 g pchełki pokryto również antypoślizgowym silikonem. W tym modelu odporniejsze niż zwykle jest także kompaktowych rozmiarów etui (IP 54), choć akurat do wody lepiej go już nie wrzucać.

W modelu Elite 8 Active skutecznie działa system aktywnej redukcji hałasu (ANC), który za pomocą jednego przycisku można przełączyć w tryb Hear Through (dzięki temu np. podczas joggingu po mieście poza muzyką słychać też wszystkie dźwięki otoczenia). Jak przystało na słuchawki True Wireless Stereo, z górnej półki cenowej, jakość dźwięku jest bardzo dobra, choć dla audiofilów lepszy będzie opisywany już na łamach „Do Rzeczy" (42/2023) model Jabra Elite 10.

Na pochwałę zasługuje wytrzymała bateria. Dzięki niej całkowity czas odtwarzania muzyki z wyłączoną redukcją hałasu na jednym ładowaniu wynosi nawet 56 godzin, a z włączonym ANC 32 godziny. Dobrze, że etui można ładować nie tylko poprzez kabel, lecz także bezprzewodowo.

Słuchawki poprzez Bluetooth szybko łączą się zarówno ze smartfonami z system Android, jak i iOS. Sterowanie za pomocą przycisków jest intuicyjne. Warto również na telefonie zainstalować darmową aplikację Jabra Sound+, w której znajduje się korektor dźwięku, a także sporo dodatków (np. funkcję znajdowania zagubionych słuchawek).

Cena: 849 zł. ©℗

eprasa.pl 1606071830

JACEK KOMUDA

PRZEWODNIK TURYSTYCZNY PO I RZECZYPOSPOLITEJ

Górka księcia w Oleszycach

Dzieje pałacyku Sieniawskich w Oleszycach pod Jarosławiem są typowe dla podobnych obiektów w Rzeczypospolitej. Narodzony jako drewniano-murowana wieża mieszkalna lub dwór wieżowy, przekształcony w dworek myśliwski, zamieniony w murowany pałac, odnowiony w XIX w., a potem spalony przez Sowietów i rozebrany w czasach PRL. Jego los pokazuje, jakie piękne zabytki istniały w małych miasteczkach i wioskach w całej Polsce, zanim zabrały je wojna i komuna. Początki wspomnianego sięgają XV w., kiedy właścicielami Oleszyc byli Komarniccy zwani też Ramszami. Zbudowali oni w XV w. drewnianą lub częściowo murowaną wieżę obronną zwaną zameczkiem, którą Tatarzy zdobyli i spalili w 1498 r. Być może pozostałościami tej budowli są stare cegły „palcówki" odnalezione w czasie badań archeologicznych w ruinach pałacyku.

RYS. QBA

Po 1570 r. zameczek – zapewne drewniany – przeszedł w ręce rodu Sieniawskich, z których wywodził się późniejszy hetman polny koronny, towarzysz Jana III Sobieskiego spod Wiednia – Mikołaj Hieronim Sieniawski, który wzniósł w tym miejscu barokowy dwór wzorowany na podobnej rezydencji króla w Jaworowie. Umiejscowiony na szczycie wzgórza usypanego podobno przez tatarskich jeńców. Według legendy nosili oni ziemię w czapkach. Dwór miał łamany, polski dach i cztery alkierze na rogach budowli. Był jednocześnie obronnym fortalicjum – zapewne otoczonym parkanami; inwentarze podają, że broniły go siedem armatek i liczna broń palna.

Po śmierci Mikołaja dwór wraz z majątkiem odziedziczył jego syn Adam Mikołaj Sieniawski, od 1702 r. hetman polny, uczestnik bitwy pod Wiedniem, zwolennik króla Augusta II Mocnego i niestety – jeden z filarów stronnictwa moskiewskiego w Rzeczypospolitej. Po abdykacji Augusta II Mocnego myślał nawet o koronie polskiej, w czym miałby go wspomóc car Piotr I. Wkrótce wrócił jednak do popierania króla, a w 1706 r. w pałacyku w Oleszycach odbyło się spotkanie z wysłannikami władcy ze Stanisławem Denhoffem i agentem saskim Spiegelem, dotyczące powrotu Augusta na tron polski. W czasie wojny domowej Sieniawski uwięziony został przez konfederatów tarnogrodzkich, a Sejm Niemy ograniczył jego hetmańskie uprawnienia.

Adam Sieniawski rozbudował dwór, przydał mu nowoczesne fortyfikacje bastionowe, a przede wszystkim ok. 1725 r. wzbogacił ogród, sprowadzając do niego goździki i zawilce, a także wiele roślin, takich jak melony hiszpańskie, arbuzy tureckie, karczochy, kalafiory, wówczas rzadkie, majeranek, lawendę, cykorię, szałwię.

Po śmierci Sieniawskiego i jego żony klucz oleszycki odziedziczyła ich córka Maria Zofia, żona Stanisława Denhoffa, a potem Augusta Czartoryskiego. W latach 40. przebudowali oni drewniany dwór na murowany pałac, którego model – po późniejszych dobudowach – podziwiać można dzisiaj na miejscu. Była to mała, ale luksusowa rezydencja magnacka, w sali wielkiej zwisał wielki szklany żyrandol, ściany obito płóciennymi szpalerami malowanymi w chińskie wzory. Były tam też gdański kredens, liczne obrazy, osiem pieców kaflowych i 12 kominków. Ściany obito brokatami, atłasami i płótnem, na którym namalowane były rozmaite obrazy wzorowane na malarstwie holenderskim z XVII w.

W 1761 r., jak podają Tymoteusz Furgała i Dariusz Sałek w monografii pałacu, mieszkała tutaj Izabela z Flemmingów Czartoryska z mężem Adamem Kazimierzem Czartoryskim, niedoszłym królem Polski; kochanka wielu magnatów i władców – w tym króla Stanisława Augusta i ambasadora Rosji Nikołaja Repnina, pisarka wspierająca sztukę. Znudzona życiem w pałacyku wymyśliła sobie zabawę – kazała owijać się w długie pasy płótna i staczać na dół z szańców.

Później majątek odziedziczyła córka Czartoryskiego – Zofia, a po powstaniu listopadowym mieszkał tutaj jego uczestnik Tytus Działyński, z żoną, którego Moskale skazali na karę śmierci. Zniósł pańszczyznę, prowadził działalność oświatową, pomagał okolicznym chłopom. Pałac przeszedł później w ręce Stanisława i Anny Potockich, którzy z kolei sprzedali dobra Potulickim, a wraz ze ślubem Elżbiety Potulickiej z Władysławem Sapiehą przeszły one na własność tego rodu.

Koniec majątku i dworu był taki sam jak wielu innych rezydencji na ziemiach II Rzeczypospolitej. Jego ostatni właściciel, Aleksander Józefat Sapieha, stracił go po wkroczeniu oddziałów sowieckich w 1939 r. W pałacu urządzono kwaterę wojsk pogranicznych i NKWD, w piwnicach więzienie, majątek zaś rozszabrowano. 22 czerwca 1941 r. pałac został zaatakowany przez oddziały niemieckie i spłonął. Po wojnie nadawał się do odbudowy, ale rozebrano mury, pozostawiając go w stanie trwałej ruiny, którą można oglądać w Oleszycach i dziś. ©℗

eprasa.pl 1606071830

ANNA POPEK Z D. CHRUZIK
I MAGDALENA M. KRUPA Z D. CHRUZIK

SIOSTRY GOTUJĄ

Karczochy na cholesterol

Zanim karczoch zakwitnie na fioletowo i będzie troszkę przypominał kwiat ostu, jest doskonałym warzywem o wspaniałych właściwościach prozdrowotnych. Wyglądem przypomina trochę szyszkę, jest bardzo dekoracyjny i występuje często jako motyw w architekturze i sztuce w krajach basenu Morza Śródziemnego.

Już w czasach Arystotelesa cieszył się dobrą sławą, polecano go jako roślinę wspomagającą trawienie, co potwierdziły późniejsze badania. Współcześnie wyciągi z karczocha stosowane są w profilaktyce chorób wątroby, obniżają cholesterol i trójglicerydy, działają przeciw drobnoustrojom.

W Polsce nie jest to warzywo bardzo popularne, natomiast we Włoszech – gdzie znajdują się jego największe uprawy w Europie – przyrządzane jest na wiele sposobów i bardzo cenione przez szefów kuchni.

Ważna jest jakość karczochów – wybierać należy zwarte, pękate, bez brązowych przebarwień. Nie należy też trzymać ich za długo w lodówce. Na początek można pójść na skróty i kupić karczochy w słoiku w zalewie.

Karczochy po hiszpańsku

Podajemy dzisiaj hiszpański przepis, ponieważ w Hiszpanii karczochy także są bardzo popularne. To danie szybkie w przygotowaniu i efektowne w smaku. Gdy mamy ochotę na coś więcej niż kanapkę, a mniej niż kolację, będzie idealne!

Kupujemy hiszpańską długo dojrzewającą szynkę jamon, kroimy ją na drobne kawałeczki.

Lekko podsmażamy na oliwie, dodajemy kilka ząbków czosnku – uważamy, aby go nie przypalić, bo będzie gorzki!

Odsączamy karczochy z zalewy, przekrawamy na pół i układamy na patelni rozciętą częścią w dół. Podsmażamy chwilę, aby lekko się zarumieniły.

Do tego chleb jako dodatek i kolacja gotowa! Lampka czerwonego wina może być dobrym uzupełnieniem. ©℗

FOT. ADOBE STOCK

JOANNA BOJAŃCZYK

NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU

Król zaciska pasa

Oglądając serial „The Crown" i szybując na wysokościach wysokich uczuć w wyższych sferach, nie mogłam się powstrzymać od myśli na niższych poziomach. Wręcz trywialnych. Takie np. pytania: Jak często trzeba odkurzać hektary dywanów w pałacu Buckingham? Jak ogrzać groźne baszty Balmoralu z jego salami wysokimi na sześć metrów? Kto gasi światło w setkach komnat i czy aby nikt nie zapomina? Nad tym, kto płaci rachunki za to wszystko, już się nie zastanawiałam. Wiadomo, british taxpayer.

Podatnicy się powyższymi sprawami interesują, w końcu we własnym żywotnym interesie. Aby dawać dobry przykład ludowi, oszczędzać musi sama władza, i to na każdym odcinku. Służba nie drużba, jest się na ciągłej obserwacji. „To nie Wersal!" – tymi niezbyt wersalskimi słowy dyscyplinuje król Karol III niesubordynowanych domowników oraz personel pałacowy do pilnowania, żeby 40 tys. lamp w pałacu Buckingham (podaję za gazetą „The Express") było gaszonych przed nocą.

Jego królewska wysokość, przyznają państwo, nie wygląda na kogoś, kto pasjonuje się najnowszymi trendami w modzie męskiej. Monarcha nie tylko nie zna, nie lubi i nie stosuje trendów, lecz także najbardziej lubi te ubrania, które już ma, a w ogóle nie znosi rozstawać się z czymkolwiek.

„Należę do tych, którzy nie znoszą wyrzucać" – wyznał kiedyś gazecie „Daily Telegraph". To chyba dziedziczne, bo podobny był jego ojciec. W roku 2008 książę Filip wzbudził zdziwienie, prosząc swego krawca, aby spodnie z roku 1950 przerobił mu na trochę bardziej aktualne. Podobnie postępuje Kate Middleton, która swoją garderobę poddaje recyklingowi i nie wstydzi się pokazywać w ubraniach, w których już była widziana. Posuwa się do tego, że nosi też ciuchy z sieciówek.

A marnowanie jedzenia? Niedługo po koronacji Karol III urządził w Clarence House przyjęcie pod hasłem Coronation Food Project. Chodziło o oszczędzanie i szanowanie żywności. To także dziedziczne – królowa Elżbieta II nie znosiła wyrzucania jedzenia. Nakładała sobie małe porcje, żeby nic nie zostawiać na talerzu. Resztki z kolacji wkładało się do plastikowych pojemników, zużyte wstążki, tasiemki i papier do pakowania Jej Królewska Wysokość odkładała do powtórnego użycia.

Doszło do tego, że Kate i William, rodzice George'a, Charlotte i Louisa, urządzili dziecinny pokój meblami z Ikei. To doprawdy zejście na poziom nędzy, której zaznała kiedyś nasza celebrytka Joanna Przetakiewicz, która w czasach na szczęście już minionych była zmuszona kupić meble z Ikei. W takich okolicznościach nie sposób nie zadać sobie pytania: Czy taka monarchia może przetrwać? ©℗

eprasa.pl 1606071830

JERZY KARWELIS

DEKAMERONKI

Ministry z zawodu

Tak jak w kultowej już komedii „Poszukiwany, poszukiwana" jeden pan był z zawodu dyrektorem, tak teraz mamy ministrów z przeznaczenia. Ruszyła bowiem giełda nazwisk nowego rządu, który ma stworzyć nową jakość, tak długo wyczekiwaną. Wśród wielu nazwisk, z których – zwłaszcza z pensum Platformy – można wywnioskować, że Donald Tusk się dobrze bawi (vide: Sikorski na szefa MSZ), wychodzi, że albo z tą ich ławką krótko, albo ktoś się komuś odwdzięcza. Mamy bowiem spektakularnych „ministrów z zawodu".

Pierwszy przykład to minister Bartłomiej Sienkiewicz – kiedyś od spraw wewnętrznych, dziś pasowany gabinetowo na ministra kultury. To znak nowego, wszak sztuka, a z nią kultura, przesunęła się w okolice aktów performatywnych z widocznym prowokatorskim kontekstem, więc obsadzenie gościa podejrzewanego o performance palenia budki strażniczej przy ambasadzie Rosji, w roli ministra od kultury, jest jak najbardziej na miejscu i na czacie, jak mówią młodzi. Będzie to godne, acz kompletnie à rebours, zastąpienie posągowego ministra Glińskiego, który może by i spalił całą ambasadę Rosji, ale nie zdążył, bo mu się suweren rozmyślił.

Drugie cacko to ministra Joanna Mucha, ta od – kiedyś – sportu. Jej możliwa nominacja na ministrę zdrowia jest jeszcze bardziej symboliczna niż kamarylne ruchy prawnuka noblisty. Toż jest dopiero kariera zawodowa, raczej za poduszczeniem Tuska, o podłożu sado-maso. On ma jednak skłonności do upiornych żartów, czego koronnym dowodem, po swoim skoku do Brukseli, było pozostawienie Ewy Kopacz jako sterniczki nawy państwowej. Też musiał mieć niezłą bekę. Tak i teraz – co prawda, na mniejszą skalę. Jak to mówią: „mucha nie siada" na byle czym, a więc objęcie przez nią nowego stanowiska jest nie tylko dowodem jej ambicji (ja wam poprowadzę każde ministerstwo!), lecz także bezradności nowego rządu. Nikt nie chciał wziąć tego resortu. Poważnie – nikt.

Kwalifikacje nowej ministry są tu jak najbardziej na miejscu, wszak resort zdrowia to kwintesencja sportów ekstremalnych i tu oba ministerstwa się łączą. Ja mam inną propozycję – niech zostanie minister Niedzielski, on chętnie weźmie. Powie – jak agent Tomek – jak go ten straszny PiS zmuszał i obejmie tekę. Wszak zdrowie Polaków jest kwestią ponad podziałami, a teraz moda na pojednanie (nawet strzykawką) idzie z wyżyn marszałkowania Sejmem. Nie bójcie się – nie na długo. Będą igrzyska, a coraz mniejsze kromki chleba będą dzielić zaufani ministrowie. Z zawodu. ©℗

JAN POSPIESZALSKI

#WARTO

Pfizer i oligarchiczne superpaństwo

Informacja, że Pfizer pozywa Polskę o 6 mld zł za nieodebrane i niezapłacone 60 mln dawek, zbiegła się w czasie z głosowaniem w PE nad zmianami traktatów. I choć sprawy te mają różny kaliber i różną skalę konsekwencji, to łączy je nie tylko zbieżność w czasie. Istota roszczeń farmaceutycznego giganta paradoksalnie jest znakomitą ilustracją sposobu funkcjonowania nie tylko drapieżnego koncernu.

Postepowanie procesowe, o ile będzie prowadzone starannie, powinno wyjaśnić szczegóły kontraktu Ursuli von der Leyen z Pfizerem. Przecież to nie polski rząd, lecz szefowa Komisji Europejskiej w imieniu UE negocjowała z koncernami zakupy preparatów. Szczegóły umów są tajne, część za plecami Komisji Ursula von den Leyen prowadziła przez SMS-y. Niestety, ani Biuro Europejskiego Rzecznika Praw Obywatelskich czy Europejski Trybunał Obrachunkowy, ani prokuratura europejska, ani specjalna komisja śledcza PE nie uzyskały do nich dostępu. Nie dowiemy się, dlaczego ta – podobno świetna i bezpieczna – szczepionka, o tak zachwalanej skuteczności, została zakupiona w liczbie 4,5 mld sztuk (po 10 dawek na każdego obywatela UE, z noworodkami włącznie!), a cena dostaw wzrastała wraz z liczbą wykrywanych zakażeń.

W tle mamy jeszcze 320 mln euro dotacji od Komisji Europejskiej dla Uniwersytetu w Padwie, a tak naprawdę dla firmy Orgenesis, której szefem jest Heiko, mąż Ursuli. Firma prowadziła badania m.in. dla Pfizera. Choć sprawa śmierdzi na kilometr, to nie ma w strukturze UE instancji, która może zmusić szefową KE do zeznań czy odtajnienia dokumentów.

Gdy od 2022 r. Polacy odmówili przyjmowania szczepień, rząd przestał odbierać zakontraktowane zastrzyki. Ale renegocjować umowę trzeba było w trójkącie z Komisją i z producentami. Udało się uzyskać jakieś ustępstwa od Moderny, potem była nadzieja, że może z Pfizerem też się uda ułożyć. Nie udało się. W konsekwencji zawartego z pogwałceniem zasad przejrzystości kontraktu Polska będzie musiała zapłacić 6 mld zł.

Wygląda na to, że gorący kartofel wpadnie w ręce Tuska, a ten będzie w podwójnie trudnej sytuacji. Owszem, najłatwiej walić w PiS, ale wtedy trzeba przyznać – Morawiecki popełnił błąd, trzeba zapłacić i narazić się wyborcom. Brnąc w proces, szansą na wygraną może być doprowadzenie do ujawnienia lewizny i korupcji na szczytach UE. Czy tego chce Tusk? Tak czy inaczej cała awantura jest przykładem, czym jest KE – organ, któremu przekazujemy spore obszary naszej suwerenności. ©℗

eprasa.pl 1606071830

SŁAWOMIR JASTRZĘBOWSKI

ĆWIERKOT

A więc wojna!

Nie nadążam za postępem sejmowym. Stop. Cool pedagog Marcin Józefaciuk (ten z tatuażami) dostał się do Sejmu przebojem i uchylił takiego rąba tajemnicy o swym życiu, że jeszcze analizuję. Stop. Potrafi przebiec kilkaset kilometrów na bieżni, prawie nie je, jest neopoganinem, czerpie mądrości od szeptuch i wiedźm, wsadza sobie w uszy płonące trąbki, które usuwają mu „syfy" (użyłem jego określenia). Stop. Wsadzanie sobie płonących trąbek w uszy nazywa się konchowanie. Stop. Zamówiłem książkę, żeby się douczyć nowoczesności, „Prastara terapia jajem oraz konchowanie uszu". Stop. Trochę już przeczytałem o terapii jajem, która polega na wodzeniu jajem wokół głowy i ciała i w ten sposób zdejmuje się klątwy i złą energię. Stop. Nie wiem, czy pan Józefaciuk tego naucza dzieci. Stop.

Nieco inne moce posiada pani Aleksandra Wiśniewska, lat 29, która też dostała się do Sejmu i też z Łodzi, i też z list KO. Stop. Ratuje ludzi trochę jak superbohater w różnych zakątkach świata i nawet rozdziela walczących. Stop. Dużą popularnością cieszył się wywiad, w którym mówiła, że brała udział w negocjacjach w warlordami (chyba chodzi o szefów jakichś armii, czyli dużych zabijaków). Stop. Uważam, że trzeba się wsłuchiwać uważnie, chociaż kilku urzędników nieco sprostowało opowieści pani Aleksandry, jako nazbyt ubarwione i luźno trzymające się faktów. Stop. Pewnie zazdrość.

Pani Kamila Gasiuk-Pihowicz, którą źli ludzie nazwali myszką agresorką, została wybrana do Krajowej Rady Sądownictwa. Stop. Dzień przed obradami napisała na platformie X: „We wtorek pierwsze posiedzenie neoKRS z udziałem nowych przedstawicieli Sejmu, nielegalna 15 na długo zapamięta to spotkanie". Stop. Skończyło się tak, że pani Gasiuk-Pihowicz zadzwoniła na policję, bo stwierdziła, że na posiedzeniu KRS została obrażona i w dodatku podobno jej grożono. Stop. Wygląda na to, że i ona zapamięta to spotkanie (policja nikogo nie zatrzymała). Stop.

Adam Bodnar, były rzecznik praw obywatelskich typowany na ministra sprawiedliwości, stwierdził w jednym z wywiadów, że czeka nas rewolucja z sędziami, bo uchwałami Sejm ma stwierdzić, że sędziowie awansowani za czasów PiS albo ci, którzy za czasów PiS zostali sędziami, w zasadzie albo nie są w ogóle sędziami, albo tego niższego szczebla. Stop. Tyle że np. sędzia Sądu Najwyższego prof. Kamil Zaradkiewicz twierdzi, że „żaden akt, ustawa, uchwała, decyzja jakiegokolwiek organu [...] nie jest w stanie podważyć powołania na urząd sędziowski i żaden sędzia nie ma obowiązku ani nawet prawa podporządkowywać się tego rodzaju rozstrzygnięciom". Stop. A więc wojna! ©℗

Autor jest właścicielem portalu Salon24.pl.

DARIUSZ WIEROMIEJCZYK

SPODE ŁBA

Nauka od Afrykanów

Do ciekawych, acz dramatycznych wydarzeń doszło niedawno w Nigerii. Lokalny czarownik, opisany w portalu African News jako „tradycyjny uzdrawiacz", sprzedał wykonany przez siebie amulet, mający chronić właściciela przed wystrzelonymi w jego kierunku kulami. Kupujący, imieniem Mohammad Ali, zaczął jednak podawać w wątpliwość skuteczność zapewnionej mu ochrony. Niedowiarek, opisywany przez dziennikarzy jako „miejscowy wieśniak", zażądał wypróbowania zakupu, najlepiej w obecności świadków. „Tradycyjny uzdrawiacz" przychylił się do prośby kupującego i w towarzystwie trzech uznanych „ekspertów medycznych" zaprowadził go do pobliskiego lasu. Tam ustawiono nieufnego klienta pod palmą i sprawdzono, czy ma zakupiony amulet na sobie. Wystrzelona przez sprzedawcę kula karabinowa przebiła się jednak przez niewidzialną warstwę ochronną i ciężko raniła Mohammada Alego. Choć pomoc medyczna zjawiła się na miejscu eksperymentu niezwłocznie, to ofiara zmarła w drodze do miejscowego szpitala. Czarownik i dwaj świadkowie zdarzenia zostali aresztowani przez nigeryjskie władze.

Podobne zdarzenie miało miejsce w Nigerii w stanie Imo, latem roku 2018. Wtedy jednak ofiarą postrzału padł miejscowy czarownik, 26-letni Chinaka Adoezuwe. Zajmował się on wytwarzaniem amuletów o nazwie odieshi, mających chronić przed wszystkimi rodzajami broni palnej. Jak relacjonował wypadek jeden z mieszkańców wioski, „po przygotowaniu amuletu miejscowy lekarz poprosił pacjenta o odpowiednie ustawienie się pod ścianą, w celu wypróbowania skuteczności i sposobu działania specyfiku. Klient odmówił. Przekonany o skuteczności amuletu plemienny lekarz zabrał go, oddał pacjentowi pistolet i nakazał mu wykonać próbę na sobie".

Jak podawał brytyjski dziennik „The Sun", kula przebiła Adoezuwe na wylot. Podejrzliwy pacjent, imieniem Ijezi, został zatrzymany przez policję.

Trzeba z przykrością stwierdzić, że w nigeryjskich relacjach sprzedawców i konsumentów nastąpił, ze szkodą dla ostatnich, zdecydowany regres. Testowanie na kupujących sprzedawanego im środka jest tego dobitnym przykładem. Zanim zaczniemy jednak z neokolonialną wyższością pokpiwać sobie z obyczajów Afrykanów, przypomnijmy sobie, w jaki sposób społeczeństwa Europy kupowały i testowały na sobie sprzedawane im przez Big Pharmę szczepionki na COVID-19. Nigeryjski „tradycyjny uzdrawiacz" trafił po swoim eksperymencie za kratki. Sprzedawcom covidowych remediów z pewnością nic podobnego nie grozi. ©℗

eprasa.pl 1606071830

JOANNA SIEDLECKA

Z INNEJ PERSPEKTYWY

Tłusty pulpet konformizmu

Skierowany w marcu 1964 r. do premiera Cyrankiewicza List 34 – pierwszy pisarski protest przeciw zamordyzmowi w kulturze, kneblowi cenzury i braku papieru na książki oraz czasopisma – to znane i chętnie przypominane świadectwo odwagi literatów. Mało znany, wstydliwy i daleki od chwały jest natomiast tzw. Kontrlist 600 – masowy odpór znacznej części literackiego środowiska, które poparło władzę, potępiając swoich kolegów, sygnatariuszy Listu 34. Protest podpisali najwybitniejsi, m.in. jego inicjator Antoni Słonimski, Maria Dąbrowska, Stefan Kisielewski, Paweł Jasienica, Melchior Wańkowicz, Stanisław Dygat, Stanisław Cat-Mackiewicz, Paweł Hertz. Mimo to władza zareagowała dopiero wtedy, gdy nagłośniły go Radio Wolna Europa oraz zachodnia prasa. Generał Moczar publicznie groził, że ze Słonimskim nie będzie rozmawiał premier, ale sierżant milicji.

Nienawidzący intelektualistów Władysław Gomułka, ślusarz czy dekarz, wpadł w furię i rzucał kałamarzem. Stworzył pisarzom złotą klatkę, a tak mu odpłacają! Rozpoczął więc wobec sygnatariuszy represje. Najpoważniejsze wobec przeszło 70-letniego Wańkowicza, którego aresztowano, podejrzewając o przekazanie Listu za granicę, pozostałych ukarano zakazem druku, wstrzymaniem paszportu. Aby pokazać, że sygnatariusze Listu są małą, wyizolowaną grupą „politycznych warchołów" – potępianą przez własne środowisko – organizacja partyjna Związku Literatów, pod wodzą Kazimierza Koźniewskiego (TW „33"), urządziła wielką akcję, rozsyłając do tysiąca członków Związku apel o podpisanie Kontrlistu, protestującego przeciw „wrogim ośrodkom dywersyjnym, ingerującym w nasze, polskie sprawy, oczerniającym Polskę Ludową".

Pisarzy partyjnych wzywano na rozmowy, mimo to niektórzy z nich odmówili podpisu, np. Tadeusz Konwicki, Jacek Bocheński, Kazimierz i Marian Brandysowie. Podpisała jednak zdecydowana większość środowiska – przeszło 600 osób. Przeważył strach o własne sprawy – wydawaną właśnie książkę, paszport, dziecko zdające na studia, często też niechęć do kolegów, którzy drażnili władzę. Maria Dąbrowska nazywała więc Kontrlist Listem sześciuset iluś tam, Andrzej Kijowski – Listem 600 poddanych przeciw 34 wolnych, inni – volkslistą, spędem grafomanów, choć to ostatnie nie było prawdą. Wśród 600 było wielu pisarzy nikomu nieznanych, ale więcej było bardzo popularnych, np. Nienacki, Minkowski, Bratny, Niziurski oraz naprawdę znakomitych, np. Kazimiera Iłłakowiczówna, Wisława Szymborska, Jarosław Marek Rymkiewicz, Tadeusz Różewicz, Józef Hen, Igor Newerly, Jan Brzechwa, Julian Przyboś, wielu pisarzy krakowskich, np. Stefan Otwinowski, prezes oddziału, Kornel Filipowicz, mieszkańcy Krupniczej – Tadeusz Kwiatkowski, Jerzy Lovell, Jerzy Broszkiewicz. Haniebnie zachował się prezes ZLP Jarosław Iwaszkiewicz, bo nie tylko Kontrlist podpisał, lecz także szalał już po Liście 34: „W d…. mam to wszystko! Zagranica będzie trąbić, Gomułka się wścieknie, nie mamy teraz po co do niego chodzić!" – krzyczał. I jak zwykle, gdy tylko coś poważnego się w ZLP działo, uciekł swoim zwyczajem do ukochanych Włoch, a w wywiadzie dla „Życia Warszawy" nazywał List 34 antypolską hecą, w którą wciągnięto pisarzy.

Malała też lista sygnatariuszy Listu 34. Obok pisarzy podpisali go również wybitni naukowcy, ale po naciskach Moczara, grożącego im odebraniem katedr, 10 z nich przestraszyło się, pokajało, wycofując swoje podpisy, o czym poinformowali w liście do „Timesa", ubolewając, że wykorzystano ich nazwiska do antypolskiej kampanii. Zaprzeczyli też, że wobec sygnatariuszy Listu 34 stosowano jakiekolwiek represje. „Załamanie się profesorów bardzo obrzydliwe" – pisał Jerzy Giedroyc do Jerzego Stempowskiego (9.05.1964 r.). „Okazali się zwałaszonymi tchórzami, a ja myślałam, że środowisko pisarzy najgorsze" – komentowała w swoim dzienniku Maria Dąbrowska (27.04.1964 r.).

Masowy Kontrlist pokazał osamotnienie grupy Słonimskiego, a przede wszystkim stopień zastraszenia i zniewolenia środowiska. Był tłustym pulpetem jego konformizmu, choć minęły już czasy stalinowskie, zaczęła się tzw. mała stabilizacja i odmowa podpisu mogła spowodować co najwyżej restrykcje wydawnicze albo paszportowe, i to krótkotrwałe, w obawie przed Wolną Europą komuniści nie chcieli wielkich awantur. A Kontrlist okazał się szybko ich porażką, nie osiągnął wcale zamierzonych celów, bo sympatie Polaków i emigracji były po stronie sygnatariuszy Listu 34. Na Uniwersytecie Warszawskim i w polskim Londynie zorganizowano dla nich wiece poparcia, Antoniemu Słonimskiemu kłaniała się cała Warszawa, a po stolicy krążył o nim wierszyk: „Z matki obcej, krew jego dawne bohatery / A imię jego… trzydzieści i cztery". Został wodzirejem rodzącej się pisarskiej opozycji, a List 34 zapoczątkował kolejne listy protestacyjne do władz, „Dalej bracia, piszmy listy / Niech rozbrzmiewa wolny gęg" – ironizował Szpotański. I tak też się stało. ©℗

eprasa.pl 1606071830

KUZYN

FOT. W. CEJROWSKI LTD/JAROSŁAW SOSIŃSKI

Wojciech Cejrowski
korespondencja z USA

Miałem kuzyna (drugiego stopnia), który był schizofrenikiem. Potrafił skutecznie przekonać cię do każdego ze swoich pomysłów. Wszystkie były chore, ale on sam był przekonujący i ludzie po prostu brali to, co mówił, za dobrą monetę. Facet w garniturze, pod krawatem, w dobrych okularach opowiada ci coś z pełnym przekonaniem schizofrenika, z mocną wiarą, że ma rację. Ludzie mu wierzyli, a potem łapali się za głowę zadziwieni, że dali się aż tak wkręcić.

Zrobił komuś wykład z chemii i przekonał, że przepalony olej samochodowy to doskonały nawóz pod rośliny oleiste i w Ameryce stosują to od dawna. W ten sposób niszczył komuś zagon. Innym razem zniszczył komuś studnię: woda płynąca z kranu była rdzawa, więc kazał wlać odrdzewiacz wprost do studni i spuszczać wodę z kranu, aż się rury odrdzewią. Pies miał pchły, więc kuzyn zalecił sypać na psa popiół z pieca, bo owady nie lubią dymu i uciekną. Pies przeżył razem z pchłami, ale potem serdecznie nienawidził właściciela. Czyli kuzyn zepsuł psa.

Obserwowanie kuzyna nauczyło mnie ostrożności wobec „doskonałych pomysłów". Dziś coraz bardziej idiotyczne pomysły przedstawiane są jako zupełnie normalne albo mądre. Naród słucha ze spokojem, przyjmuje i wierzy, bo gdy facet w garniturze, pod krawatem, w dobrych okularach opowiada ci coś z pełnym przekonaniem, to mu odruchowo wierzysz.

***

Marszałek rotacyjny. Co to za koncepcja? Obłąkana.

Jestem ze wsi, więc słowo „rotacyjny" kojarzy mi się z maszyną do rozrzucania obornika. Z kolei w wielkich miastach „marszałek rotacyjny" naraża się na pseudonim Wibrator.

A czym jest premier rotacyjny?

Każdy z nas miał kiedyś problem z kiblem i wzywał hydraulika. Każdy miał kiedyś problem z hydraulikiem, który robotę rozgrzebał, zostawił i trzeba było wzywać następnego majstra. I każdy wie, że ten następny zaczyna swoją robotę od zakwestionowania wszystkiego, co zrobił jego poprzednik. „Premier rotacyjny" oznacza, że żaden premier nie będzie brał odpowiedzialności za działania premiera poprzedniego oraz żaden aktualny premier nie będzie się starał o dobry efekt własnej roboty, bo przecież za rok przyjdzie ktoś kolejny, z innej partii koalicyjnej, z innym programem i w ramach rotacji przejmie tę moją rozgrzebaną robotę. W tej sytuacji lepiej niczego nigdy nie kończyć, bo gdybym ja skończył cokolwiek, to mnie będą z tego rozliczali, a gdy zostawię rozgrzebane „do kontynuacji", to już nie mój problem, lecz kontynuatora. W tej sytuacji lepiej niczego nigdy nie kończyć…

Państwo polskie będzie państwem rozgrzebanym.

***

Rotacyjna prezydencja w Unii Europejskiej działa tak samo – napierniczą głupot, ale nigdy nie ma osoby odpowiedzialnej za napierniczenie, bo oni wciąż rotują. Pamiętają Państwo własną dumę narodową z polskiej prezydencji w Unii? Ja nie pamiętam ani dumy, ani czego dokonaliśmy konkretnie, ani nawet kiedy to było. Co oznacza, że tamta nasza prezydencja nie miała kompletnie znaczenia.

***

Poza rotacyjnym premierem mamy jeszcze premiera poprzedniego, czyli Morawieckiego, który wyskoczył z propozycją rządu pozapartyjnego, „w którym znajdą się postulaty innych ugrupowań".

Jak to rozumieć?

Morawiecki proponuje, by wyborcy PiS się wypchali, bo on teraz tworzy rząd, który nie będzie realizował programu PiS, ale jakiś inny, bardziej ogólnikowy, zawierający „postulaty innych ugrupowań". Aha… czyli ktoś głosował na PiS, bo kocha Ukraińców i chce im pomagać, ale teraz Morawiecki dogada się z ugrupowaniem, które Ukraińców zwalcza. Lub: ktoś głosował na PiS, bo nie lubi aborcji, ale Morawiecki dogada się z partią, która aborcję promuje.

Wśród rzeczy, które Morawiecki chce realizować, wymienił „równość płac kobiet i mężczyzn i zerowy VAT na żywność". Jestem za likwidacją podatków, więc zerowy VAT mi pasuje, ale zadam wredne pytanie: Kto będzie interpretował, co oznacza „żywność"? Na mojej wiosce mieszkają ludzie, którzy od lat żywią się wyłącznie alkoholem. Czy Morawiecki ich uszanuje i wprowadzi zerowy VAT na gorzałkę? Oraz czy moja yerba mate, którą piję zamiast śniadania i obiadu, to też będzie „żywność"?

Handluję żywnością w sieci, to coś wiem. Żywność występuje w liczbie mnogiej – na herbatach mam trzy różne stawki VAT zależnie od typu herbaty, miody podobnie itd. Morawiecki się w tym już dawno pogubił, jego urzędy skarbowe też. Prostym rozwiązaniem byłaby likwidacja podatku VAT na wszytko.

Ustawy o równości płac kobiet i mężczyzn to bardzo popularne hasełka, ale nie mają nic wspólnego ze sprawiedliwością. Czy kobieta, która jest wybitną pielęgniarką, ma zarabiać tyle samo co mężczyzna, który jest pielęgniarzem średnim? Marksistowskie bzdury. Pracodawca powinien wyceniać jakość wykonanej roboty, a nie płeć pracownika.

Kolejny pomysł Morawieckiego to stały wzrost płac. Brzmi ładnie, ale jakbym słyszał kuzyna...

W gospodarce rynkowej płaca zależy od tego, jak opłacalna jest dana produkcja – gdy cena danego produktu spada, wówczas nie da się podwyższać płacy pracownikom. Cena jabłek spada, bo jest wysyp – nie da się wtedy płacić ludziom więcej za zbieranie. Gdy władza wymusi na pracodawcach „stały wzrost płac", wówczas pracodawcy będą musieli stale podwyższać ceny za towary, którymi handlują. Proponując stały wzrost płac, Morawiecki proponuje stały wzrost cen na wszytko. Wykapany kuzyn – w garniturze, pod krawatem, w dobrych okularach opowiada ci coś z pełnym przekonaniem, że ma rację. A potem ty się łapiesz za głowę, że się dałeś wkręcić. ©℗

eprasa.pl 1606071830

TYGODNIK LISICKIEGO DO RZECZY

Uwaga: nowe ceny!

PÓŁROCZNA PRENUMERATA TYGODNIKA „DO RZECZY"

W PREZENCIE

KSIĄŻKI

KS. PATRICK J. PEYTON:
„WSZYSTKO DLA NIEJ",
SOHRAB AHMARI: „NIEZERWANA NIĆ"

ORAZ DOSTĘP DO E-WYDANIA

~~532~~ ZŁ

217,00 ZŁ

OSZCZĘDNOŚĆ 315ZŁ

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania
| Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | Każde wydanie trafi do Ciebie pocztą bez dodatkowych opłat
| W cenie dostęp do e-wydania, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:
WEJDŹ NA SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL, WYBIERZ I ZAMÓW W WYBRANEJ OFERCIE
WPŁATA NA KONTO: **UWAGA NOWY NUMER: 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006**
W tytule przelewu prosimy o podanie danych adresowych oraz adresu e-mail
ORLE PIÓRO sp. z o.o., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:
Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

ZOBACZ NASZE OFERTY: SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: **prenumerata@pmpg.pl** TELEFON: **508 040 664, 539 953 631 (pon-pt od 10:00 do 16:00)** INTERNET: **subskrypcja.dorzeczy.pl**

eprasa.pl 1606071830

Już co dziesiąty Polak posiada **kryptowaluty***.

A Ty?

zondacrypto

*źródło: PIE

eprasa.pl 1606071830